463
A

WIĘKSZOŚCIĄ!

124

Artur Gruszecki.

Większością!

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

TOM I.

ZWIĄZEK ZAWODOWY PRACOWNIKÓW KSIĄŻKI, PRASY I RADIA
RADA ZAKŁADOWA
„DOM KSIĄŻKI"
Kielce, ul. M. Buczka 23, tel. [illegible]
„DOM KSIĄŻKI"
Przedsiębiorstwo Państwowe
w Kielcach
Nr. 39

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

Zakład Filologii P. Kielce WSP
BIBLIOTEKA
Kielce

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Декабря 1901 года.

2972

229615

I.

— Stefku, która godzina? -- spytała męża pani Świetnoska, szczupła, wysoka, z twarzą pomarszczoną, patrząc ciemnemi oczyma na gościniec, widny z obszernego ganku dworu.

Zagadnięty przystanął, podniósł w górę głowę spuszczoną, spojrzał na żonę niebieskiemi, wypłowiałemi oczyma i nie wyjmując rąk z kieszeni marynarki, odpowiedział tonem opryskliwym:

— W jadalnym wisi regulator, mogłaś spojrzeć.

Zwróciła na niego ciemne oczy z lekką wymówką, ale rzekła łagodnie:

— Sądzę, że się późni...

Wyjął złoty zegarek, spojrzał:

— Już 5 minut po 2-ej; każ podawać obiad.

— Może zaczekamy jeszcze dziesięć minut — mówiła z wahaniem.

— Nie — rzekł może zbyt głośno — dość tego czekania... Od dwóch dni niema porządku w domu, ani obiadu, ani kolacyi na czas oznaczony, a wszystko przez twego gagatka, który nas sobie lekceważy—kończył gderliwie.

— Może nie mógł... może chory...

— Tak... tak... — zaśmiał się sucho i przedrze-

źniał. — Może hula, może gra, może tańczy... ojciec może czekać...—kończył z goryczą.

— A jeśli Władek nie mógł istotnie przyjechać?—broniła matka syna.

— Nie mógł!?—podniósł głos — od czegoż telegraf?... a zresztą wszystko mi jedno; każ dawać obiad.

Pani Świetnoska znów spojrzała na gościniec pusty, bielejący w słońcu południowem, i z westchnieniem szepnęła:

— Dobrze, mój Stefku—i poszła w głąb pokoju, w którego drzwiach oszklonych, wychodzących na obszerny ganek, stała w czasie rozmowy.

W cieniu ganku, wspartego na sześciu okrągłych, murowanych słupach, owiniętych dzikiem winem, przechadzał się w dalszym ciągu pan Świetnoski, właściciel wsi Bruśnika i dwóch sąsiednich folwarków: Wiktorówki i Sęka. Ile razy spojrzał na gościniec, ginący pod pagórkiem na zakręcie, chmurzył czoło, widząc go pustym; białą ręką gładził siwe, opuszczające się na usta wąsy, wyprostowywał swą postać skłonną do otyłości i po chwili znów rozpoczynał spacer, nasłuchując odgłosów z wnętrza dworu. Rozróżniał cieniutkie głosiki dzieci, napomnienia guwernantki, ciężkie kroki lokaja, który wreszcie wyszedł na ganek i meldował:

— Jaśnie panie, obiad podany!

— Nareszcie!—mruknął i wszedł przez otwarte na ganek drzwi do pokoju jadalnego.

Przy stole owalnym, wprost drzwi i okien, wychodzących na ganek, siedziała pani Świetnoska, obok niej usiadł mąż, miejsce naprzeciw było puste; dalsze miejsca zajmowały dzieci: chłopczyk lat ośmiu i dziewczynka około dziesięciu, pomiędzy niemi guwernantka, panna Berta, niemłoda, z wiecznym grymasem niezadowolenia.

— A gdzie Irenka? — spytał ojciec, zakładając serwetę za klapę marynarki.

Zaledwie dokończył tych słów, gdy otwarły się drzwi boczne, wiodące do dalszych pokojów, i weszła ładna brunetka, ubrana strojniej, aniżeli wymagał tego zwykły obiad w kółku domowem, i z progu zawołała głosem świeżym i przyjemnym:

— Mamo, nie czekamy na Władzia?

— Ojciec kazał—odpowiedziała, chmurząc się.

— Pół godziny mogliśmy zaczekać — dorzuciła panna Irena i poprawiając fałdy swej różowej, batystkowej sukienki, szła do stołu.

— Nie rezonuj, tylko siadaj, bo zupa ci wystygnie — mruknął ojciec, przygładzając wąsy i zaczął jeść.

W pokoju słychać było szczęk łyżek o talerze, głośne wciągania zupy przez dzieci i nieustanne brzęczenie much. Lokaj, stojący przy kredensie, śledził uważnie jedzących.

Pierwszy skończył pan Świetnoski, odsapnął głośno, otarł wąsy i spytał żony:

— A to nakrycie obok mnie dla kogo?

— Dla Władzia—mruknęła cicho.

— Irenko, jak się sprawia twoja nowa pokojówka?—spytał córkę po chwili.

Irena białą, wydelikaconą ręką poprawiła niepoślusne włosy i nie podnosząc oczu odpowiedziała:

— Dotychczas ujdzie, jednak Magdusia była o wiele lepsza; szkoda jej...

— Wróci ona, wróci, niech tylko zazna biedy z mężem—uśmiechnął się, wybierając uważnie dobry kawałek mięsa z półmiska.

— To bardzo dziwne, że Magdusia wyszła zamąż za biedaka— odezwała się cicho guwernantka.

— Tak zawsze z kobietami — zaśmiał się głośno.—Każda leci, aby złapać męża.

— Stefku!—upominała żona.

— To zasada ogólna, a o obecnych wcale nie mówię—uśmiechnął się i spojrzał ironicznie w stronę guwernantki, która spostrzegłszy to, zaczerwieniła się,

twarz jej przybrała minę wielkiego niezadowolenia i rzekła do niego surowo:

— Teorya pana nawet w niższej sferze nie da się ściśle zastosować, cóż dopiero w inteligencyi.

— Hm... hm... to nie teorya, to praktyka — uśmiechnął się.

Pani Świetnoska, chcąc przerwać tę rozmowę, spytała:

— Które konie poszły dziś na kolej?

— Szpaki—odpowiedział, jedząc pieczeń.

— Te stare!?—zdziwiła się panna Irena. — Będzie Władziowi przykro, jeśli przywiezie z sobą jakiego kolegę lub znajomego. Czemuż nie gniade, wreszcie kasztany?

— Moja Irenko—mówił zgryźliwie — tamte konie posyłałem onegdaj i wczoraj. Konie się męczą, ludzie czas tracą, a panicza jak niema, tak niema.

— Może pan Świetnoski nie mógł dostać urlopu—wtrąciła guwernantka.

Rodzice i panna Irena spojrzeli na nią ze zgorszeniem i dopiero po chwili rzekła tonem suchym matka:

— Zbyt wysoko cenią naszego syna w namiestnictwie, aby potrzebował starać się o urlop. Jedzie, kiedy uzna za stosowne.

— Jeszczeby czego — oburzył się szczerze ojciec—aby Świetnoski zależał od jakiegoś tam skryby. Mówił mi Władek—zwrócił się do żony—że poprostu zawiadamia namiestnika o swym wyjeździe.

— Towarzyska uprzejmość, nic więcej — dodała panna Irena.

Na szczęście dla panny Berty, dzieci zaczęły się głośno spierać o ilość otrzymanego kompotu, zajęła się niemi skwapliwie, ażeby uniknąć dalszych objaśnień i zatrzeć swe niefortunne odezwanie się.

Wśród chwilowego milczenia spytała żona:

— Czy na Wiktorówce skończyłeś z burakami?

— Dziś, jutro...

— Masz dosyć robotników?

— Aż nadto, cisną się, jak zwykle na przednówku—westchnął zachmurzony.

— To bardzo dobrze, mój Stefku... żeby to na żniwa tylu robotników...

— Byle zapłacić dobrze, chłopstwo się zleci, jak muchy do miodu, bo im tylko brać pieniądze. Czy takiego chłopa zaboli głowa, zkąd ja wezmę pieniędzy, czy zastanowi się nad ceną i kosztami? Takim wszystko jedno, aby wziąć pieniądze i przepić w karczmie.

— Święta prawda—potwierdziła żona. Nastało chwilowe milczenie. Pan Świetnoski siedział chmurny i jakiś zaniepokojony. Żona patrzyła na niego badawczo i cicho wzdychała, domyślając się kłopotów pieniężnych, tylko dzieci śmiały się wesoło, nieopatrznie, mało zważając na upomnienia guwernantki.

Pan Świetnoski, odłożywszy nóż i widelec, rozkazał lokajowi:

— Zobacz, czy nie przyjechał pan Stępalski?

Lokaj wkrótce wrócił:

— Był, jaśnie panie, a dowiedziawszy się, że obiad, pojechał na folwark.

— To dobrze... Jak wróci, dasz mi znać.

— Słucham, jaśnie panie — i znów stanął przy kredensie.

— Powinien był czekać, jeśli kazałeś mu przyjechać—odezwała się żona po francusku.

— Hm... zapewne, ale ty sama wiesz, jak z naszymi ludźmi trudno: krzycz, łaj, oni swoje; dobrze jeszcze, jak się trafi uczciwy.

— Uczciwość swoją drogą, a posłuszeństwo swoją.

— Masz słuszność, skarcę go.

— Papa wogóle jest za dobry dla oficyalistów— dodała córka.

— To trudno, przecież i oni są ludzie — bronił się pan Świetnoski.

— Ale kto służy, ten musi słuchać rozkazów— mówiła żona — a ty ofukniesz, skrzyczysz i wszystko zostaje, jak było.

— Dajno pokój, już ty mnie nie ucz, jak mam z ludźmi postępować — a po chwili, kosztując ostrożnie, z rozmysłem leguminę, dodał: — Co też brakuje temu sufletowi?... jakiś tłuszcz?... gorycz?...

Panie próbowały smaku i wreszcie spróbowała żona:

— Zdaje ci się... suflet jest zupełnie dobry.

— Dobry—powtórzyła panna Irena -jednak coś w nim jest...

Po chwili zastanowienia, ponownego smakowania, zawołał pan Świetnoski:

— Ależ to stęchlizną czuć!—i odsunął talerz.

— Ledwie, ledwie—potwierdziła żona—a ty zaraz nie jesz.

— W jakim celu mam się truć? — zaśmiał się z przymusem.

— A zaraz truć!— gromiła żona.— Powiedz poprostu, że jesteś wybrednym smakoszem.

— O, daleko mi do smakoszowstwa przy takim kucharzu i dozorze—zadrwił mąż.

— Ani moja, ani kucharza wina w tym razie— odpowiedziała surowo.

— Więc moja!? to doskonałe! — śmiał się głośno.

— Twoja, bo od ciebie zależy, ażeby spiżarnia była sucha; na wilgoć nic nie poradzę.

— A niech będzie i moja—machnął ręką i zwrócił się do lokaja:—kawa!

— Gotowa, czy podać?

— Przygotuj stolik na ganku, tu zbyt duszno— i czekał końca obiadu.

Zaledwie lokaj wyszedł na ganek, wrócił do pokoju, mówiąc:

— Jędrek wraca z kolei.

Wiadomość ta zrobiła wrażenie, wszyscy odru-

chowo poruszyli się na krzesłach, zaś pan Swietnoski rzekł z ukrytym niepokojem:

— Sam wraca?

— Zdaje się, że ktoś jedzie w powozie.

Przez otwarte okna i drzwi słychać było głuche dudnienie powozu na bitym gościńcu. Pan Świetnoski wstał i miarkując swe kroki, poszedł na ganek. Stanął w drzwiach, nad oczyma ułożył rękę w kształcie daszka, wpatrywał się przez chwilę, wreszcie odwrócił się do pokoju, mówiąc dobitnie:

— Władek jedzie.

— Sam? — zawołała z odcieniem rozczarowania panna Irena, a jednocześnie rozkazała lokajowi pani Świetnoska:

— Powiedz w kuchni, aby obiad dla młodego pana był gorący... a wracaj natychmiast.— Wstała od stołu i szła na ganek.

Najpierw porwały się dzieci z krzeseł i wybiegły pierwsze, za niemi panna Irena i guwernantka.

Przed ganek z trzaskiem bicza zajechał powozik i zgrabnie wyskoczył z niego młodzieniec. Szybko przebiegł cztery schody, ucałował rękę matki, przywitał się z ojcem, a ocierając twarz zapyloną, rzekł tonem lekkiej wymówki:

— Wlokłem się temi szkapami, jak z mazią.

Spojrzano na konie zmęczone, zasapane, robiące ciężko bokami.

— Widzę po koniach, że gnałeś i to w taki upał—mówił ojciec niezadowolony.

— Jasny panicz kazał — usprawiedliwiał się niepytany stangret.

Lokaj zdejmował z powoziku ręczny kuferek, a pan Świetnoski rozporządzał:

— Jedź wolno do stajni, konie wytrzeć, a gdy ochłodną, napój — furman ruszył — hej, a obroku nie dawaj.

— Słucham jaśnie panie — odpowiedział głośno i zamruczał—dużo też go dostają...

— A ze mną nie przywitasz się, Władziu? — zawołała panna Irena, podchodząc bliżej.

— Jestem, jak worek z mąką—i pokazał w uśmiechu białe, równe zęby, wychylające się z pod małego, ciemnego wąsika—uściskałbym cię, takaś ładna i świeża, ale zapylę ci sukienkę — i wyciągnął białą rękę z migocącym brylantem w pierścionku.

— A ze mną? — zawołały dzieci, podsuwając się.

Ucałował oboje obojętnie w czoła, mówiąc:

— Dla was mam karmelki—i skłonił się lekko guwernantce.

— Dlaczego się spóźniłeś?—spytał ojciec.

— Zaraz opowiem, tylko się umyję i pozbędę brudu—odpowiedział swobodnie.

— Chodź, Władziu, do mego pokoju — mówiła matka rozpromieniona - pewno jesteś głodny.

— Jak wilk—zaśmiał się — i zmęczony, jak po balu—i szedł za matką.

— Kiedy wyjechałeś ze Lwowa?— rzucił ojciec pytanie.

— Onegdaj.

— A dopiero dziś u nas? — zdziwił się szczerze—i dlaczego?

— Opowiem.

— Pozwólże, aby się umył, odpoczął, zjadł obiad—zrobiła uwagę matka — przecież nie ucieknie zaraz.

— Dobrze, już dobrze — skinął głową — a nie marudź długo.

Dzieci razem z boną poszły do ogrodu, rozciągającego się za dworem, panna Irena cofnęła się do dalszych pokojów; został tylko pan Świetnoski, kazał podać kawę, wyjął cygaro, spróbował, czy suche, zapalił zwolna i usiadł na krześle.

Roztargnionym wzrokiem wodził to po klombach kwiatów rozkwitłych, to po bielejącym gościńcu i falistych polach, pokrytych bujną zielenią zbóż.

Kiedy niekiedy wzdychał głęboko, tarł łysinę i krótkie siwiejące włosy, puszczał wielkie kłęby dymu i znów wpadał w głębokie zamyślenie.

Przez drzwi główne z przedpokoju wszedł cicho lokaj i stanął, widząc pana, siedzącego spokojnie, z głową podpartą na dłoni. Pragnąc zwrócić uwagę na siebie, zakaszlał zcicha raz i drugi raz.

— A co tam? — spytał pan Świetnoski, nie odwracając głowy.

— Jaśnie panie, przyjechał ekonom z Wiktorówki.

— Niech przyjdzie.

— Słucham—i zwrócił się na miejscu.

Pan Świetnoski poprawił się w krześle, nadpił kawy, obejrzał palące się cygaro i zwrócił twarz w stronę drzwi wchodowych.

Na palcach stąpając, przeginając się na tę i ową stronę, ze zmiętą czapką w ręce wsunął się na ganek niemłody mężczyzna, z twarzą silnie zarosłą, w szarej kurtce, ze stojącym kołnierzem, zapiętej wielkiemi guzikami kościanemi, w spodniach ciemnych, włożonych w cholewy wysokie, zapylone, i skłonił się w pas w stronę pana, mówiąc głosem, który starał się być cichym i giętkim:

— Sługa i podnóżek wielmożnego dziedzica.

— A to Stępalski... Cóż nowego?

— Bogu dzięki, wszystko dobrze—odpowiedział z nizkim ukłonem.

— Kiedy Stępalski kończy buraki?

— Dziś... i właśnie przyjechałem w sprawie wypłaty.

— Ileż tam się należy?

— Za dwa tygodnie robocizny—tu wyjął zmięty notatnik i nie zaglądając do niego, mówił dalej— około samych buraków należy się sto osiemdziesiąt sześć złotych reńskich.

— O! Tak dużo!—zdziwił się właściciel.

— Zaległe pensye parobkom, fornalom i służbie siedemdziesiąt dwa i centów sześćdziesiąt.

— A ordynarya wydana?

— Właśnie chciałem prosić łaski wielmożnego dziedzica, aby z głównego folwarku wydano żyta dla Wiktorówki.

Właściciel spochmurniał jeszcze bardziej, gdyż i w głównym folwarku w Bruśniku nie było ziarna, to też ofuknął ekonoma.

— To wina Stępalskiego! Trzeba było zatrzymać potrzebną ilość korcy... Do dyabła z takiem gospodarstwem bez rachunku!... Gdzie Stępalski miał oczy, wydając resztę? Teraz niech Stępalski sam kupuje żyto za drogie pieniądze!

— Wielmożny dziedzic kazał wydać kupcowi— bąknął zaczerwieniony ekonom.

— Ja?! A to mi się podoba... Kupiec zabrał swoje, a było kilkanaście kóp niemłóconych, gdzież ziarno?

— Był lichy wydatek, myszy pocięły — mówił ekonom, a pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

— Myszy!? Myszy!? — drwił właściciel. — Ziarno rozprysło się bokami, bo nie ma żadnego dozoru.

— Jak mi Boga przy skonaniu — i uderzył się silnie w piersi, aż lekki pył podniósł się z kurtki.

— Żadnych przysiąg—huknął właściciel—a żyta nie dam, niech Stępalski wykręci się sam.

— Dobrze, wielmożny panie—i skłonił się nizko. Po chwili milczenia odezwał się nieśmiało: — Chłopi napierają się o pieniądze...

— Jacy znów chłopi? — zawołał szorstko pan Świetnoski.

— A to ci, za robociznę...

— Ileż tam tego?

— Jak mówiłem, sto osiemdziesiąt sześć złotych reńskich.

— Jaki to dzień dziś mamy?

— Środa.

— Hm... hm... zapowie Stępalski wypłatę na niedzielę.

— Na niedzielę?—odkaszlnął — swoi mogą czekać, ale z innych wsi podniosą gwałt, wielmożny dziedzicu.

— Czy Stępalski zwaryował?—oburzył się właściciel.—Muszę sprawdzić rachunki, obejrzeć robotę... A ten mazgaj miłosierny płaciłby zaraz... Płaćże sobie Stępalski z własnej kieszeni! — kończył i pięścią uderzył w stół, że aż filiżanka zadzwoniła.

Ekonom, jak gdyby sam otrzymał to uderzenie, schylił się, głowę wcisnął pomiędzy ramiona i mówił prawie szeptem:

— Niech wielmożny dziedzic się nie gniewa, ale to chłopstwo takie rozzuchwalone i, po prawdzie, potrzebuje pieniędzy na przednówku.

— Potrzebuje?! — zaśmiał się nerwowo. — Któż nie potrzebuje pieniędzy? Już powiedziałem, niech przyjdą w niedzielę, a pieniądze będą.

— Słucham, wielmożny panie.

— Czegoż Stępalski stoi?—spytał po chwili.

— A to względem zaległej pensyi...

— Teraz znów pensye... A to skandal: nic, tylko płać i płać—narzekał szczerze.—Przyjadę w sobotę po południu... albo nie... już w niedzielę będzie wypłata robotnikom i służbie folwarcznej — odwrócił się i kończył pić kawę, a słysząc, że ekonom się nie ruszał, spytał:

— Co tam jeszcze?

— Potrzeba nam sznurów na wozowicę, smarowidła do wozów, trochę uprzęży, postronków...

— Dobrze... Niech mi Stępalski przygotuje wykaz...

— Mam przy sobie.

— Proszę mi dać; przejrzę.

Ekonom zbliżył się skradającym krokiem i położył na stoliku papier zapisany, cofnął się szybko i kłaniając się w pas odwróconemu panu, mówił:

— Do nóg upadam... ścielę się do stópek...

— Bywaj zdrów, Stępalski — mruknął właściciel.

Po chwili wziął papier do ręki, przejrzał obojętnie spis potrzebnych rzeczy, wyjął ołówek i dodał dwie usłyszane cyfry. Dwieście pięćdziesąt osiem złr. sześćdziesiąt centów. Zasępił się, gdyż to dopiero Wiktorówka, a przyjdą należności jeszcze z dwóch folwarków.

— Zkąd ja wezmę tych pieniędzy? Zkąd? A to głowa pęka...—i tarł bezwiednie łysinę, szarpał wąsy, a tak był zajęty, że nie zauważył wejścia żony z synem.

— Nad czem papa tak myśli? — roześmiał się syn.

— Gospodarskie sprawy — odrzekł i schował papier do kieszeni.—Cóż, zjadłeś już obiad?

— Właśnie podano; chodź, Władziu, bo ostygnie—przemówiła matka.

Usiedli we troje przy stole, ojciec palił cygaro, matka troskliwie dogadzała synowi, podsuwając mu przysmaki, wybierając lepsze kąski dla niego.

— Dlaczego się tak spóźniłeś?—spytał spokojnie ojciec.

— To cała historya... Wyjechałem onegdaj wieczorem, w wagonie spotkałem się z Fredziem...

— Z jakim Fredziem?

Syn wymienił znane hrabiowskie nazwisko i mówił dalej:

— Fredzio w prośby, abym wstąpił do niego na jednę tylko noc... hm... trudno odmówić, jadę... Tam zastajemy bardzo miłych towarzyszów, dopiero zabawa, strzelanie do gołębi, próbowanie broni...

— No i karty—dodał ojciec chmurny.

— Graliśmy, ale nie wysoko... wogóle bawiliśmy się doskonale.

— Tak doskonale—zadrwił ojciec—że nie miałeś czasu telegrafować do nas.

— Wybierałem się na każdy pociąg, ale mnie nie puszczano—mówił lekko zmieszany.

— Wiedziałeś przecież, że cię bardzo potrzebuję, skoro cię tak usilnie prosiłem o przyjazd—rzekł ojciec rozżalony — a jednak milszy ci był towarzysz przygodny.

— Trudno, mój Stefku—odezwała się matka.— Władzio musiał mieć wzgląd na swego gospodarza, hrabiego Ferdynanda, a prócz tego byli inni, same znane i wybitne osoby.

— Któż taki?—spytał z pewną nieufnością.

Syn wymienił kilka znanych osobistości i dodał:

— Zresztą, przyjechałem i jestem na usługi papy. Co mam zrobić?

— Pogadamy przy czarnej kawie, na osobności; to są sprawy majątkowe i pilne.

— Hm... nie wiem, czy co poradzę, bo już tak odwykłem od wsi, że wielu rzeczy nie rozumiem — dodał pan Władysław, musnął ciemne wąsiki i uśmiechnął się zadowolony z siebie.

— Do gospodarstwa nigdy zdatnym nie byłeś— zaśmiał się ojciec — i dobrzebym wyszedł, gdybym ciebie się radził; idzie o takie sprawy, na których powinieneś się znać.

— A, to co innego, bardzo chętnie, papo, i gdybym był przeczuwał, byłbym pieszo uciekł od Fredzia—kończył z udaną serdecznością.

— Jaki ten Władzio dobry—westchnęła rozczulona matka. — Może zjesz konfitur, bo ten suflet nie dobry dziś.

— Dziękuje mamie; psuje mnie mama swą dobrocią.

— Jedz tylko, jedz...

— Bo to widzisz, Władziu — westchnął ojciec głęboko — zeszły rok był lichy, a ciężary i wydatki nietylko nie zmniejszyły się, ale urosły.

— Dlaczego papa pozwala na to? — spytał syn z wymówką w głosie.

— Pozwala?!—roześmiał się sucho—dom musi być na tej samej stopie, bo i przyzwyczailiśmy się, i panna jest na wydaniu, no i niechbym tylko zmienił, zaraz gruchnie wokoło, że bankrutuję; to trudno, jak było, tak musi być—westchnął.

— Ojciec ma racyę—dodała matka.

— A dwóch chłopców w szkole, czy to nie kosztuje, a bona, a ubrania, a wyjazdy? Et. co tam gadać! Dodaj do tego procenty od długów hypotecznych, różne wydatki gospodarskie, liche ceny, a będziesz miał zaledwie wyobrażenie o moich kłopotach.

— No, tak, zapewne... a jednak majątek taki piękny, w dobrej glebie; wszyscy zazdroszczą papie.

— O, jest czego, i bardzo nawet! — zaśmiał się drwiąco.—Niechby kto spróbował jeden rok gospodarzyć, jak ja, od lat czterdziestu. Długi, podatki i wydatki, albo wydatki, podatki i długi, ciągle w kółku, jak w kieracie.

— Tak źle nie jest — uśmiechnął się syn — jest majątek, dwór, stajnie. Papa wygląda doskonale, dzieci kształcą się, Irenka pójdzie zamąż i dobrze będzie.

— Daj to Boże, ale coś nie dowierzam temu dobrze, coraz mi ciężej i gorzej — westchnął żałośnie.

— Czy to nie nawyknienie starości i odosobnienia owo narzekanie papy? — zaśmiał się wesoło. — Przyjechać do Lwowa, zabawić się, pokazać Irenkę światu, a troski miną.

— Gadasz, jak młody—uśmiechnął się ojciec.

— Ja sądziłem, że coś od papy dostanę, jakieś kilka setek, bo ze względu na stanowisko moje, wydaję dużo!

— O, teraz bardzo trudno, ani myśleć... może

jesienią po zbiorach — dodał, spostrzegłszy kwaśną minę syna.

— Pogadamy o tem, papo... a w jakiej sprawie mogę być użyteczny?

— Zaraz, mój kochany — spojrzał na pusty talerz i zwrócił się do żony: — Każ nam dać kawę w altance.

— Przyślę i likier, bo może kawa zbyt słaba— dodała matka.

— A ja przyniosę cygara — powiedział pan Władysław, wstając od stołu — mam prawdziwe hawańskie.

Po jego wyjściu odezwała się pani Świetnoska głosem uradowanym:

— Jaki ten Władzio dobry: przywiózł ci hawana, pamięta, że lubisz.

— Przywiózł dla siebie... hm... w jego wieku nie paliłem tak drogich cygar...

— Dobrze zrobi, czy źle, ty zawsze narzekasz— odpowiedziała rozdrażniona.—Czy i karmelki przywiózł dla siebie?

Mąż nie miał czasu odpowiedzieć, bo wszedł syn, wysmukły, w eleganckim ciemnym garniturze i podając ojcu piękny portcygar, mówił z uśmiechem:

— Prawdziwa przyjemność zapalić takie cygaro przy kawie i likierach; i świat i ludzie inaczej wyglądają.

Ojciec wziął cygaro, obejrzał uważnie, odciął koniuszek, zapalił, wciągnął nosem dym ulatający i rzekł z uznaniem:

— Wcale dobre, ale też drogie.

— Wysokość ceny zależy też od wysokości przyjemnych wrażeń; mama, naprzykład, nie dałaby i centa za to cygaro, a my płacimy drogo.

— Powiedziałeś wielką prawdę — uśmiechnęła się matka.

— Chodźmy już—zawołał pan Świetnoski.

Zaledwie zeszli z ganku na żwirową ścieżkę ogrodową, przybiegły pędem dzieci, wołając:

— Władziu, nasze karmelki!

— Oddałem mamie, aby podzieliła.

Ogród za domem składał się z drzew leśnych, tak liściastych, jak szpilkowych i był przedzielony główną aleją na dwie części, z których każda posiadała szerokie ścieżki, niegdyś żwirowane, dziś zarosłe trawą i zielskiem. Ta część ogrodu, rodzaj parku angielskiego, kończyła się zwartą ścianą wysokich świerków. Dęby, buki, graby, stare, omszone, z popękaną korą, rozłożyste, osłaniały dwór od północy, stawiając czoło wichrom i zamieciom śnieżnym, a podszyte leszczyną, bzem, kaliną, robiły wrażenie starego lasu, który się został wśród ludzi i pól uprawnych.

Zaledwie weszli do altany, ocienionej grabami, a już wniósł lokaj kawę i likiery, ustawił na okrągłym, kamiennym stole i szybko się oddalił.

Przez chwilę panowało milczenie; pierwszy przerwał je młody, pytając:

— O co idzie, papo?

— Hm... Mówiłem ci, że rok zeszły był bardzo nieszczególny i mam zaległości podatkowe...

— Tylko tyle?... To można przecież przewlec, niema nic pilnego.

— Już dwa razy to zrobiłem, ale starosta zasłania się dyrekcyą skarbu, powiada, że dłużej nie może czekać.

— Starosta? Zadębiński?—zdziwił się i uśmiechnął z lekceważeniem. — Przecież on powinien być wyrozumiały, bo jego ojciec w Przemyskiem goni ostatkami i napewno wykręca się od podatków.

— Może! Ale mnie ciśnie i lada chwila oczekuję egzekutora.

— Źle, że papa dopuszcza do tej ostateczności; taka sprawa podmywa kredyt.

Ojciec machnął ręką i rzekł z gorzkim uśmiechem:

— Eh, mój kochany, o kredycie w dzisiejszych czasach niema co i mówić; radź, co robić...

— Pojadę do starosty i uzyskam prolongatę...

— Mówiłem ci, że zasłania się dyrekcyą skarbu...

— Hm... Pojadę w takim razie do radcy skarbowego; chyba nie odmówi... No, a jak z ratami banku?

— Ten we Lwowie, ziemski, może poczekać; tam długa procedura... A sprawę banku wiedeńskiego oddałem adwokatowi; niech kręci, póki nie dostanę pieniędzy na raty.

— Jakto? Ani jeden, ani drugi bank nie został opłacony?—zdziwił się.

— Nie został, bo nie było z czego—mówił zirytowany. — Każda morga jest obciążona dwustu złr. hypotecznie, a gdzie wydatki domowe i gospodarskie? Powiadam ci, że ledwie dyszę.

— O, to źle—zamyślił się syn.

— Dawałem sobie radę tyle lat, dam i teraz, idzie mi tylko o to, aby usunąć te nagłe wymagania, a przedewszystkiem podatki.

Po dobrej chwili milczenia spytał młody:

— Czy papa liczy na zbiory tegoroczne?

W odpowiedzi wzruszył ojciec ramionami i uśmiechnął się z przymusem:

— Na zbiory? Coś nie coś się okroi i ze zbiorów, bo sprzedałem, zdaje się, nieźle, ale głównie liczę na las, i to jest drugi interes do ciebie.

— Cóż z lasem?

— Mam sto morgów i według uchwały ochrony leśnej, wyrąb rozłożony jest na lat 25. Mam jednak kupców na całość, podałem do starostwa o pozwolenie, ale chłopi w krzyk, że im krzywda z wyrębu...

— Bydło!—mruknął pan Władysław.

— I wyobraź sobie, tyle zrobili swemi prośbami, że starosta nie pozwoli mi lasu wyrąbać.

— Niepodobna! — oburzył się syn.—Zadębiński uległ chłopom?... Czy podał jakie przyczyny odmowy?

— Powtórzył za chłopami, że nie będą gdzie mieli zaopatrywać się w paliwo i budulec, a zresztą komunały o wilgoci, ochronie i t. d., i t. d.

— Hm... to dziwne.

— Powiedz raczej, że podłe i głupie! — zawołał podniecony ojciec. — Mnie, właścicielowi z dziada pradziada tego Bruśnika, nie wolno ścinać lasu... Jakiś Zadębiński daje mi nauki, wtrąca się pomiędzy mnie a chłopów moich, rozzuchwala ich, ośmiela. Cóż dziwnego, że się odgrażają i zdaje się im, że teraz mają nadzór nademną i gospodarstwem?... Co mi to za polityczny urzędnik, gdy swoją polityką sprowadzi rok 46 u nas? — kończył aluzyą do osławionej rzezi galicyjskiej.

— Hm... hm... cóż papa zrobi dalej?

— W tem cały sęk — odpowiedział, trąc dłonią łysinę—bo gdybym był las sprzedał, a dawali mi dobrą cenę, 300 florenów za morgę, byłbym dostał 24,000, oczyścił majątek z pomniejszych długów, poprawił gospodarkę, wyposażył Irenkę, a teraz choć głową o mur bij, interesy się pokrzyżowały, pogmatwały, zabagniło się wszystko.

— Kupcy wiedzą już o odmowie?

— Sprawa była za głośna, aby nie wiedzieli... cały powiat zdziwił się... i myślę zwrócić się do namiestnictwa, otóż i drugi interes do ciebie: tam chyba naprawisz to, co mi tu popsuł starosta?

— Dawno otrzymał papa odpowiedź ze starostwa? — spytał, popijając zwolna kawę i puszczając kłąb dymu.

— Cztery dni temu...

— Zrobię, co będę mógł — rzekł syn w zamyśleniu.

— To mało! — zawołał pan Świetnoski; — las, bądź co bądź, muszę sprzedać, inaczej może być źle z nami.

— Postaram się... znam wszystkich radców... chociaż o wiele bezpieczniej było nadrobić tę sprawę na miejscu, u Zadębińskiego... Szkoda, że papa nie dał mi znać wcześniej przed odmową...

— A kat jej się spodziewał—mruknął ojciec.— Czy mogłem nawet przypuszczać, aby on, syn szlachecki, tak sobie ze mną postąpił.

— Sam nie rozumiem jego postępowania... Chyba, że papa ma jakich wrogów, może poseł na sejm, może do rady państwa... i Zadębiński zląkł się interpelacyi, bo że nie zrobił tego dla chłopów, jestem pewny.

— Ale co ci w głowie, mój Władziu?—zawołał nie bez zdziwienia.—O ile wiem, nieprzyjaciół takich nie mam, zresztą kadencya sejmu dotychczasowego skończyła się, wybory będą wkrótce rozpisane, a rada państwa nie funkcyonuje...

— Kto kandyduje do sejmu z gmin wiejskich u nas? bo ksiądz Chromec umarł.

— Dlaczego pytasz?

— Widzi papa, taki kandydat, chcąc przypodobać się chłopom, mógł wpływać na decyzyę starosty.

— Wiesz, te wybory gmin wiejskich nie bardzo mnie interesują, i tylko tak, z boku słyszałem, że Zawierzycki kandyduje.

— Zawierzycki?! A to ciekawe... jakże z nim papa?

— Tak sobie, dosyć chłodno... Tam liczono na ciebie, a gdy się cofnąłeś, mają pretensyę do nas.

— No, zerwać nie zerwałem, ona mi się zawsze podoba, ale trudno, żebym ze Lwowa przyjeżdżał w konkury — roześmiał się — zresztą posag niewielki, a życie w stolicy drogie.

— Hm... wierz mi, Władziu, że wielki posag

i dobra żona bardzo rzadko chodzą z sobą w parze.

— Ale żona i brak pieniędzy, to nieszczęście gotowe—śmiał się rad z siebie.

U wejścia do altany stanęła pani Świetnoska i z przyjemnym uśmiechem na swej poważnej twarzy spytała:

— Czy nie przeszkadzam panom?

— Przeciwnie, mamo, będzie nam przyjemniej— zowołał wesoło.

Z pewnem wahaniem spojrzała na męża, który, spostrzegłszy to, rzekł tonem bardzo uprzejmym:

— Proszę cię, siadaj, tajemnic nie mam przed tobą, nie chciałem cię nudzić swemi kłopotami.

— Wchodząc, słyszałam, że mówiliście coś o małżeństwie.

— To tylko przygodnie, mamo, bo mówiliśmy o Zawierzyckim.

— Ach, o Zosi?! Nie zapomniałeś jej, mój Władziu?

— Właściwie nie o niej była mowa, lecz o nim. Podobno kandyduje do sejmu; to myśl wcale niezła.

— Ale jaki koszt szalony — krytykował ojciec.—Sam wybór drogo kosztuje, a potem pobyt we Lwowie...

— Opłaci się to sowicie Zawierzyckiemu — przerwał syn — wpływ jego w powiecie urośnie bardzo znacznie, wszyscy z nim będą się liczyli, i starostwo i sądy, nawet namiestnik...

— O, znów tak dalece—zawołał ojciec.

— Mój kolega Docieski — mówił podniecony — dziś jest już komisarzem i lada chwila pójdzie wyżej, tylko dzięki temu, że ojciec jego jest posłem. Na całym świecie protekcya dużo znaczy, a już w naszych urzędach politycznych decyduje ona o awansie.

— Tobie wystarczy, żeś Świetnoski herbu Gryf; to nie bagatela, mało który hrabia poszczyci

się taką starożytnością rodu — rzekł ojciec z odcieniem dumy.

— Wie papa, mam wielką ochotę pojechać do Zawierzyckich; zawsze dobrze podtrzymać stosunki sąsiedzkie.

— Hm... pojechać możemy, ale na co to się przyda, jeśli nie masz zamiaru się żenić? — wzruszył ramionami.

— Kto wie... jeśliby stary został posłem i dał posagu z 50,000...

— Władziu, Władziu! — upominała matka — ani on nie da takiego posagu, ani też mój syn nie może się sprzedawać.

— Któż mówi o sprzedaży, moja mamo?—obruszył się syn—idzie o uregulowanie życia; do borykania się z losem ja nie jestem stworzony; to rzecz dorobkiewiczów.

— Nietylko ich—westchnął ojciec.

— Po cóż masz jednak los sobie zawiązywać Zosią koniecznie?... Jesteś młody, elegancki, przystojny, masz nazwisko i przyszłość przed sobą, możesz mi dać inną synowę. Ci Zawierzyccy nie są w moim guście.

— Ja też nie z nimi brałbym ślub, lecz z Zosią, a zresztą to wszystko w obłokach — roześmiał się.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie odezwała się matka głosem cichym i chwiejnym:

— Gdyby nasze pieniężne interesy były w lepszym stanie, zaproponowałabym ci coś, Stefku; byłoby to z korzyścią dla Władzia i dla Irenki.

— Tylko nie żadne wyjazdy do wód. Wiesz, że ledwie starczy na dom—rzekł porywczo.—Gdybym las sprzedał, to możnaby pogadać, ale tak, to ani słowa.

— A jakże sprawa z lasem?—spytała zaciekawiona.

— Władzio obiecuje, że rekurs uwzględnią w namiestnictwie.

Spojrzała na syna, który dodał:

— Jestem prawie pewny, że papie pozwolą; w tem moja głowa.

— Ale kiedy?—spytał ojciec.

— Sam zawiozę rekurs i za tydzień, najdalej za dziesięć dni sprawa zostanie załatwiona.

— Daj to Boże!—westchnął.

— To byłoby bardzo dobrze — uśmiechnęła się matka.

— A propozycya mamy?

— Mówiłeś, Władziu, przed chwilą — zaczęła z pewnem ociąganiem się—że poseł ma wielkie wpływy... Nie rozumiem, dlaczego ty, Stefku, nie kandydujesz?

— Także coś nowego — zaśmiał się mąż — ja i poseł?! Któż dopilnuje gospodarstwa, zkąd pieniądze na wybór, na wyjazd, a wreszcie, gdzie mi na stare lata być posłem? Trzeba znać ekonomię, politykę, wszystkie sprawy krajowe, a już zapóźno, abym się uczył tego.

— Ach, posłem być nie jest wielką filozofią!— zawołał syn. — Idzie tylko o zdrowy rozum, bo referenci przygotowują wszystko, a poseł tylko głosuje. Naprawdę, myśl mamy jest wspaniała.

— Ale, ale dajcie mi spokój. Manekinem na pośmiech ludzi być nie chcę, a na posła jam niezdatny.

— Skromność zbyteczna—uśmiechnęła się z ironią — w czemże od ciebie lepszy taki Zawierzycki, albo też jacyś chłopi, lub mieszczuch?

— Hm... to prawda, ale też nikt w sejmie z nimi się nie liczy.

— Z papą musieliby się jednak liczyć, bo papa należałby do większości naturalnie, a takie zwarte koło popiera każdego ze swych członków. Mój papo

drogi, niechże papa kandyduje; sam Bóg natchnął mamę tą myślą.

— Dla dobra dzieci powinieneś Stefku to zrobić.

Siedział w milczeniu, patrząc przed siebie, jak gdyby obrachowywał i po chwili odpowiedział:

— Nie, to niemożliwe, bo niema pieniędzy.

— Gdyby jednak były, np. ze sprzedaży lasu— namawiała żona — bo przecież Władzio mówi, że pozwolenie pewne.

— Ależ najpewniejsze... niebo i ziemię poruszę, a pozwolenie przyjdzie — zawołał syn z zapałem.

— Póki niema pieniędzy, nie ma co gadać o kandydaturze.

— Jednak, mój Stefku, gdyby były... — prosiła żona.

— Niechże papa się zdecyduje—dogadywał młody.—Do posła nie śmiałby przyjechać egzekutor, starosta nie ośmieliłby się stawiać swego *veto*, wszyscy uwzględnialiby życzenia papy... Co do mnie, karyera byłaby zapewniona...

— Więc cóż, Stefku?—spytała miękko, z przymileniem.

Zanim odpowiedział, wszedł lokaj, meldując:

— Jaśnie panie, przyjechali kupcy.

— Jacy?

— A ci od lasu, jak mówili.

Zaczerwienił się, spojrzał na żonę i syna, jak gdyby od nich żądał rady i rzekł zwolna:

— Powiedz, że zaraz przyjdę.

Wstał, odrzucił niedopałek cygara, nałożył kapelusz i miał się ku wyjściu, gdy nagle zawołała żona:

— Stefku, nie odpowiedziałeś na moje zapytanie.

Wzruszył ramionami, odpowiadając zgryźliwie:

— Co mi tam poselstwo! Las jest ważniejszy; to kwestya życia.

Szedł szybko, zachmurzony, obmyślając rozmowę z kupcami i dopiero rozjaśnił twarz, gdy na ganku spostrzegł dwóch kupców, którzy z pewną obawą, ściskając nerwowo laski, patrzyli na leżącego przy drzwiach legawca.

— Kłaniamy wielmożnemu dziedzicowi — przemówili niemal równocześnie, uchylając nizko kapelusze zapylone.

— Dzień dobry, panie Rubinrot, dzień dobry panie Biegeisen—zawołał w odpowiedzi, wstępując na schody.

Pies, widząc ruch kupców, zerwał się i warknął w ich kierunku.

— Hektor, leżeć! Nie bójcie się, on nie kąsa... Cóż mi powiecie?

— My przyjechali w interesie, wielmożny dziedzic już wie.

— Tak, tak... chodźmy do kancelaryi...

Kupcy szybko zrzucali płócienne, szare płaszcze, wyjmując z kieszeni chustki, zapałki i inne drobne rzeczy. Zanim złożyli na ławce, jeszcze raz obszukali kieszenie i starając się uśmiechać, byli gotowi do wejścia.

— Proszę za mną—przemówił z progu.

Kupcy musieli przejść obok leżącego psa, który śledził każdy ich ruch; zawahali się i kupiec Rubinrot, nizki, szpakowaty szatyn, w zmiętym garniturze marynarkowym, rzekł zcicha:

— Ten pies może i gryzie...

Uśmiechnął się pod wąsem właściciel i zawołał:

— Hektor, marsz!

Z podwiniętym ogonem, patrząc podejrzliwie na kupców, pies zeszedł z ganku.

Kupcy, poprzedzani przez właściciela, weszli do

gabinetu, pokoju obszernego, oświetlonego dwoma oknami.

— Siadajcie, panowie.

Wskazał na dwa krzesła przy biurku, sam zaś usiadł na fotelu.

Ostre światło jasnego dnia padało wprost na twarze kupców, rzeźbiąc wyraźnie wielkie, spuszczone nosy, obwisłe, mięsiste powieki, uwidoczniając pył, osiadły na źle utrzymanych brodach, w uszach odstających i na podniszczonych ubraniach.

Pan Świetnoski, odwrócony od światła, rozparł się wygodnie na fotelu i spojrzał na kupców. Spojrzenia wszystkich trzech były badawcze, błyszczące ukrytym niepokojem.

Przez krótką chwilę milczeli, wreszcie zaczął gospodarz:

— Przyjechaliście panowie w dobry czas, bo właśnie dziś miałem pisać do mego ajenta w sprawie kupca na las, Prusaka jakiegoś, którego mi poleca mój ajent.

Kupcy nie zmienili wyrazu twarzy, tylko nieznacznie mrugnęli oczami.

— Po co wielmożnemu dziedzicowi szukać obcych — odezwał się pan Rubinrot — kiedy, chwała Bogu, są swoi. My przyjechaliśmy, aby kończyć interes.

— I ja chcę tego, bo już mnie znudziły te przewlekania; ale warunki?

— My już umówili wszystko — przemówił kupiec Biegeisen. — Znamy las, znamy wielmożnego dziedzica, tylko, co my słyszeli, że starosta nie pozwala rąbać.

— Głupstwo!—zaśmiał się głośno właściciel.— Właśnie syn mój, z namiestnictwa ze Lwowa, przyjechał przed chwilą z nowiną, że namiestnictwo dało już pozwolenie.

— Jakto z namiestnictwa? Co to jest? — spytał Rubinrot, trąc krótką brodę.

— Hm... rzecz bardzo prosta... Dowiedziałem się, że chłopi chcą podać prośbę do starostwa, aby wyrąb powstrzymać, więc, nie namyślając się długo, napisałem wprost do namiestnictwa. Mój syn jest tam wysokim urzędnikiem i zaraz załatwił sprawę, a dziś przyjechał z nowiną.

Po krótkiem milczeniu odezwał się kupiec Biegeisen:

— Czy możemy dopraszać łaski wielmożnego daiedzica, aby nam pokazał wielmożnego syna.

— A i owszem—zadzwonił i rozkazał wchodzącemu lokajowi: — Idź i poproś młodego pana do mnie.

— Proszę wielmożnego dziedzica, nas ten interes już dużo kosztuje... Wielmożny pan nie zechce naszej straty.

— Panie Rubinrot, od swoich warunków nie odstąpię.

— My tego nie chcemy, ale prosimy łaski, aby terminy płacenia zmienić, bo zkąd my tyle pieniędzy weźmiemy naraz, a ile nas procenty będą kosztować, zanim coś z lasu dostaniemy!

— Powiedziałem, że nie ustąpię z warunków i koniec—zdecydował ostro.

— Tu są spisane punktacye—rzekł kupiec, podając arkusz zapisany;—niech wielmożny dziedzic rzuci okiem.

Pan Świetnoski szybko czytał i nagle wyprostował głowę, spojrzał na kupców i zawołał:

— A to co nowego?! Umówiliśmy się, że przy zawarciu umowy dajecie 2,000 złr., przy podpisaniu u notaryusza 8,000, a tu co widzę?

Rzucił papier z gniewem, mówiąc:

— Z krętaczami nie chcę kontraktu. Ja wam sprzedaję w dobrej wierze, uczciwie, a wy zaczynacie od krętactwa. Teraz dajecie tylko tysiąc, u notaryusza cztery tysiące, a po wycięciu dwudziestu morgów pięć tysięcy. O, nie ze mną taka gra!

ANULOWANO

— Niech wielmożny dziedzic się nie gniewa, my tylko prosimy, bo nam ciężko dać tyle pieniędzy.

— A to nie dawajcie — mruknął z gniewem.— Macie do czynienia z uczciwym i honorowym człowiekiem, i ja nienawidzę krętactwa; prawda i szczerość w interesach to grunt.

— Wielmożny dziedzic ma zawsze racyę-- rzekł z pokorą Rubinrot.—Mówiłem naszym wspólnikom, że tak pisać nie wolno, oni chcieli, co ja miałem robić, my to zmienimy.

Pan Świetnoski wziął znów do ręki papier i czytał, wtem wszedł pan Władysław.

Na głęboki ukłon żydów ledwie skinął głową i spytał dźwięcznym głosem:

— Papa mnie wołał?...

— Tak jest... proszę cię, powiedz kupcom na las, z jaką nowiną przyjechałeś dziś?

Mówiąc to, spuścił oczy, wstyd mu było bowiem kłamstwa wobec syna i obawiał się, że syn, powiedziawszy prawdę, zepsuje cały interes.

Pan Władysław, z miną wielkiego pana, spojrzał na kupców i rzekł wyniosłym tonem:

— Wydział leśny namietnictwa przychylił się do prośby i zezwolił na wyrąb osiemdziesięciu morgów starodrzewu w Bruśniku pod warunkiem zalesienia ponownego.

— Co to jest zalesienie?—spytał nieśmiało Biegeisen.

— Na miejscu starego lasu — zaśmiał się swobodnie właściciel—musi rosnąć młody las.

— Niech i tak będzie, to nie nasz interes—dodał drugi kupiec.

— Czy mogę już iść? — spytał pan Władysław ojca.

— Możebyś przejrzał warunki — odpowiedział, unikając spojrzenia syna.

— Bardzo chętnie — i usiadł, biorąc arkusz zapisany.

Jeszcze raz omówiono wszystkie poszczególne punkty, już miano podpisywać przedugodną umowę, gdy odezwał się Biegeisen:

— Wielmożny dziedzic powiedział, że chłopi nie chcą, aby las rąbać... oni mogą zrobić strejk i nie zechcą wywozić drzewa; co my wtedy zrobimy?

— To prawda, wielmożny panie, co my zrobimy?—dodał Rubinrot.

— W takim razie poszukajcie innych furmanek— roześmiał się.

— To nie może być!—zawołał kupiec.—My nie możemy; co nam po drzewie w lesie?

— Ja panu dziedzicowi coś powiem — mówił z namysłem Rubinrot — my drzewo wywozimy zimą, a konie w zimie tylko jedzą, nic nie robią; to niechże oni coś zapracują; im wyjdzie to na zdrowie, a wielmożny dziedzic weźmie pieniądze.

— Nie rozumiem.

— To takie jasne — uśmiechnął się kupiec. — Wielmożny dziedzic da nam dwadzieścia podwód na drzewo.

— To niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe? My zapłacimy, my nie chcemy darmo, tylko wtedy, kiedy chłopi zrobią strejk...

Syn, obawiając się, że może umowa nie przyjdzie do skutku z tego powodu, odezwał się;

— Zdaje mi się, że papa może przyjąć ten warunek; kupcy mają racyę: konie w zimie nic nie robią, a zawsze dworskie furmanki uniemożliwią zmowę chłopów.

— Jaki to pański rozum — cmoknął kupiec, kiwając głową.

Dodano i ten warunek z oznaczeniem ceny.

Przedugodową umowę, poprawioną i uzupełnio-

nią, przygotowywał się podpisać pan Świetnoski, próbował dobroci pióra, a kupiec Rubinrot wyjął już wielki pugilares, aby odliczyć zaliczkę, gdy odezwał się Biegeisen:

— Jeszcze słowo, wielmożny panie.

Rubinrot szybko schował pugilares, patrząc badawczo na swego spólnika, a gospodarz spojrzał zdziwiony.

— My życzymy, aby wielmożny dziedzic żył jeszcze sto lat, ale co to szkodzi być na ostrożności?

— O cóż idzie?

— O co ma iść? To sobie taka formalność... Po ojcu idzie syn, a potem wnuki i prawnuki, to my prosimy, aby wielmożny syn podpisał i tę umowę i ten weksel, co go oddamy u notaryusza.

— Ale po co to? na co? — mówił pan Świetnoski.—Przecież w hypotece ja jestem tylko sam zapisany.

— Niech Bóg broni i zachowa, ale jak przyjdzie nieszczęście? — upierał się kupiec. — Potem kłopot, proces...

— Co mój ojciec zrobi, jest święte — rzekł dumnie pan Władysław.—Podpiszę na ślepo wszystko.

— Aj, jaki to syn!—zawołał Rubinrot.—Daj nam Boże każdemu takiego syna.

— Ten weksel jest właściwie niepotrzebny, bo wystarczy podpis na tymczasowej umowie — powiedział pan Władysław, biorąc blankiet do ręki.

— Wielmożny panie komisarzu — tytułował kupiec, jakkolwiek nazwany był koncepistą namiestnictwa — my mamy wielkie słowo honoru, że pozwolenie jest i my wierzymy, ale jakby, nie daj Boże, przyszło coś do głowy staroście, to po co płacić stemple? A tak i my bezpieczni i wielmożni panowie także.

— Zresztą, wszystko mi jedno, skoro papa się zgadza — zwrócił się do ojca.

— Podpisz, Władziu.

Nareszcie punktacye przedugodowe zostały wraz z wekslem podpisane, a kupiec Rubinrot odliczył drżącemi rękoma dwa tysiące guldenów! Za dwa tygodnie miał zjechać pan Świetnoski do miasta powiatowego i podpisać kontrakt notaryalny. Kupcy, w głębokich ukłonach, wysunęli się z pokoju, a ubierając się na ganku w swe płócienne płaszcze, szeptali:

— Nu, Biegeisen, jak myślisz, czy pozwolenie jest?

— Ono może i nie jest, ale będzie.

— A jeśli nie będzie?

— Co nie ma być? My ich zaskarżymy o oszustwo do sądu, do samego namiestnika; to ich głowa, nie nasza.

— To i chwała Bogu; dobrze, że skończyliśmy. A co mówisz o tym Prusaku i agencie?

— Co ja mam mówić? On kłamał, ale co nam to szkodzi?

— To prawda, co nam to szkodzi?

Równocześnie w kancelaryi, zaraz po wyjściu kupców, pan Władysław z grymasem niesmaku zbliżył się do okna i otworzył je szeroko, mówiąc:

— Pieniądz ich dobry, ale zapachy ich... brrrr...

— Dobre i złe często w parze chodzą — dorzucił ojciec sentencyonalnie, a po chwili dodał:— Mój Władziu, honor nasz jest w twoich ręku.

— Jakto? — spytał obojętnie, wyszukując dobre cygaro.

— Ufny w twoje zapewnienia, zaręczyłem im, że pozwolenie na wyrąb mamy.

— Przecież to samo i ja im powiedziałem.

— Słyszałem i podziwiałem twój spryt.

— Spryt? ten się nabywa z praktyki — uśmiechnął się zadowolony.

— Gdzieżeś tak praktykował? — spytał nie bez zdziwienia.

— Czyż papa myśli, że z 1,200 złr. mogę wyżyć we Lwowie?

— Masz długi?

— Niewielkie, ale mam, i właśnie chciałem prosić papy, aby mi dał 200 złr.; należą mi się jako porękawiczne — zaśmiał się.

— Dwieście? — zawahał się. — Tyle mam wydatków...

— Prócz tego sto złr. da mi papa na śniadanko z radcą wydziału leśnego, bo przecież zależy papie na pośpiechu, a kto smaruje, ten jedzie.

— Jakto, trzysta? Bójże się Boga, to dużo, bardzo dużo...

— Dużo? — zaśmiał się — a gdyby kupcy nic nie dali, gdyby nie zawierzyli memu zapewnieniu, musiałby papa i tak sobie poradzić.

— Hm... to prawda.

— Co jednak znaczy inteligencya, np. wobec przebiegłości tych kupców; postanowiliśmy dostać pieniędzy, no i dostaliśmy.

— Zlękli się Prusaka—uśmiechnął się ojciec—którym ich zastraszyłem, mówiąc, że chce las kupić.

— Tak... tak... konkurencya to stary, ale dobry sposób... Cóż, papo, z mojem porękawicznem?

— Tak ci pilno?

— Pieniądz leci, trzeba go chwytać.

— I potrzebujesz całych dwustu?

— O, nawet więcej, ale na razie dobre i dwieście.

— Cóż robić? — westchnął — pomogłeś mi, więc dam, ale pamiętaj o pozwoleniu.

Wyjął z biurka dwieście złr. i położył na stole. Pan Władysław spokojnie, bez pośpiechu, schował je starannie do ładnego pugilaresu i nie wkładając go w boczną kieszeń, spytał:

— Czy papa zaraz da sto złr. na śniadanie z radcą?

— Za wiele żądasz, ponieważ śniadanie nie będzie tyle kosztowało — odpowiedział chmurny. — Gdybym mógł, gdyby się u mnie przelewało, dałbym ci chętnie, ale opowiadałem ci, że rok był zły.

— Upewniam papę, że jeszcze dołożę do tych stu złr., taki radca jest wybredny i smakosz.

— Wybredny i smakosz!? — zaśmiał się z ironią. — Taki skryba, proszę, którego ojciec może buty łatał.

— O, nie papo, ten jest szlachcicem, wprawdzie czeskim, ale zawsze szlachcicem.

— Pewno smyczek ma w herbie — śmiał się, rad ze swego konceptu.

— Bądź co bądź, potrzebujemy go, papo, bo od niego zależy pozwolenie.

— Dobrze, już dobrze, dam ci na wyjezdnem.

W tej chwili weszła pani Swietnoska, a z twarzy i ruchów widać było niepokój, i zaraz z progu spytała:

— Załatwiłeś interes? zawarłeś umowę?

— Ależ naturalnie.

— Dali zaliczkę?

— Tak jest.

— Ile?

— Dwa tysiące, ale z tego twój synalek wziął trzysta — mówił z ironią.

Spojrzała trochę zdziwiona na syna, który wmieszał się do rozmowy z uśmiechem na ustach:

— W sprawach pieniężnych należy, papo, być ścisłym... Zarobiłem uczciwie, sam papa to przyznał, porękawiczne i wziąłem dwieście, dalsze sto jest wydatkiem na pozwolenie wyrębu.

— Bądź co bądź, trzysta już poszło — dodał ojciec.

— Jednak zostało ci, Stefku, tysiąc siedemset, a kiedy dają resztę?

— Za dwa tygodnie, o ile będzie pozwolenie, dadzą ośm tysięcy.

— To dobrze, to bardzo dobrze... a teraz proszę panów na kolacyę; pewno jesteś już głodny, mój Władziu.

— Chodźmy — powiedział pan Świetnoski, wstając — czuję, że mam apetyt; namęczyłem się z tymi kupcami.

W pokoju jadalnym, na stole, nakrytym świeżym, białym obrusem, w jasnem świetle wiszącej lampy błyszczały nakrycia, lśniła się porcelana, połyskiwały kieliszki.

— Cóż to dziś za święto? — spytał gospodarz.

— Podwójne — odpowiedziała żona — bo i Władzio przyjechał, i ty zdecydowałeś się być posłem.

— Słyszałam, papo, słyszałam — dodała szybko panna Irena — i bardzo się cieszę.

— Dajcież mi spokój, to gruszki na wierzbie— zaśmiał się. — Siadajmy do stołu, a ciebie, Władziu, proszę, byś częściej przyjeżdżał, odżywiłbym się, miałbym likiery do kawy i wino do kolacyi—żartował wesoło.

— Sądziłby kto — mówiła żona z wymówką— że ci żałuję; nie daję, a sam nie chcesz.

— Bo mnie nie stać na wybryki — uśmiechnął się. — Nie biorę pensyi z kasy rządowej.

— Ile jednak muszę się napracować za tę marną pensyę — rzekł pan Władysław, siadając obok ojca.

— Pracujesz?! — zaśmiał się. — Siedzi w zacisznym pokoju, na wygodnym fotelu i śuwa piórkiem, o to wielka praca!

Kolacya, obfita w dania, upłynęła swobodnie i wesoło, a gdy dzieci z guwernantką odeszły do swego pokoju, pozostali zasiedli w małym saloniku do herbaty.

— Mój Władziu — przemówiła matka—ty znasz

się na wyborach, powiedzże, jak trzeba się wziąć do tej sprawy.

— Jeśli papa chce kandydować... — zaczął pan Władysław.

— Ja wcale nie chcę — przerwał ojciec.

— Papa zrobi to dla mnie — zawołała panna Irena i zbliżywszy się do ojca, ucałowała go w rękę.

— I dla mnie, papo — prosił syn.

— Stefku, przecież dla dzieci możesz zrobić tę ofiarę — przemówiła żona. — Wymawiałeś się brakiem pieniędzy, teraz nie masz tej wymówki, zgódź się, bardzo cię proszę.

— No, zobaczymy, posłucham; mów, Władziu.

Przedewszystkiem trzeba się porozumieć z komitetem centralnym, ażeby on papę postawił jako swego kandydata.

— A jeśli już wybrał innego? — rzekł ojciec po chwili.

— Hm... to sprawę utrudni trochę; zależy zresztą, kogo postawił, papa może mieć większe szanse; o poparcie starostwa sam się postaram, i jakoś pójdzie... Zresztą można się porozumieć z kandydatem przeciwnym, skłonić do zrzeczenia się, zastraszyć rozstrzeleniem głosów; są na to różne sposoby. Wreszcie, po co przypuszczać, że komitet centralny ma już upatrzonego kandydata, kiedy o tem nie wiemy nic pewnego.

— Hm... no, a Zawierzycki, o którym mi mówiono ,.

— Może to plotka... Zawierzycki byłby niebezpieczny, bo jest prezesem rady powiatowej, ma pewne wpływy w gminach, ale wzięlibyśmy go; ja mam sposób na niego — kończył, a jego twarz przyjemna skrzywiła się do uśmiechu złośliwego tryumfu.

— Ty?! — zdziwił się ojciec.

— Tak jest, bo przecież milszy mi poseł ojciec, aniżeli poseł teść.

Matka, pełna zachwytu, spojrzała na syna, i korzystając z przerwy w rozmowie, odezwała się:

— Według twego zdania, mój Władziu, należałoby najpierw postarać się o komitet centralny, a potem...

— Decyduje naprawdę o wyborach starosta: mieć go za sobą, to połowa wygranej.

— Prawda, Władziu, że ty się postarasz o to?— dorzuciła panna Irena.

— Ja?... O tyle, o ile starosta nie otrzyma bezpośredniej wskazówki z namiestnictwa, aby przeprowadził wybór innego kandydata.

— Jakto, ty nie możesz przeprowadzić kandydatury papy w namiestnictwie? — spytała siostra z rozczarowaniem.

Pan Władysław spoważniał, przybrał minę dyplomaty i zniżając głos, mówił tajemniczo.

— Namiestnik jest odpowiedzialny wobec rządu za wybory, nie może przecież dopuścić, aby opozycya wzięła górę, musi dbać o powolność posłów... więc może ma swego kandydata pewnego, jakiegoś kuzyna, przyjaciela... może nie dowierzać papie, podejrzywać o radykalne, demagogiczne zachcianki.

— Ha... ha... ha... to dobre—śmiał się szczerze pan Świetnoski. — A wiesz, Władziu, ubawiłeś mnie, ha... ha... ha... ja i radykalizm... to doskonale...

I matka i panna Irena zaśmiały się, tak dziwaczną wydała się im myśl o radykalizmie właściciela Bruśnika z przyległościami.

— Ależ papo — mówił syn tonem wymówki — i ja wiem, że papa należy do koserwatystów, jednak zkąd ma o tem wiedzieć namiestnik?

— To mu powiedz—dorzucił ojciec.

— Jeśli o to zapyta mnie, papo...

— Mów dalej, Władziu — doradzała mu matka.—Mamy więc komitet centralny, starostwo, i...

— Dla pewności możnaby sobie zapewnić poparcie rady powiatowej, ale to nie jest konieczne, chociaż w tym wypadku, że papa po raz pierwszy kandyduje, należałoby to zrobić.

— Hm... Zawierzycki jest prezesem, więc od niego należałoby zacząć — mówił ojciec w zamyśleniu.

— Pomyślimy o tem — rzekł syn z uśmiechem pewnej dumy, pochlebiało mu bowiem, że wszyscy słuchają go z takiem nabożeństwem i uwagą.—Dalej trzeba sobie zapewnić żydów w miasteczku, no i księży przez biskupa, albo dziekana... to wszystko, a wybór pewny.

— Za wiele zachodów—westchnął ojciec.—Komitet, starostwo, rada powiatowa — liczył na palcach — to już pięć... a jeszcze wybory z gmin wiejskich.

— O, z tymi najłatwiej—zaśmiał się pan Władysław — kupuje się centnar kiełbas, beczkę wódki, dwie lub trzy beczki piwa, i głosują, jak im każe starostwo i księża, wreszcie rada powiatowa.

— Wszystko to dobrze—znów westchnął głęboko. — Ale tyle zachodu, wyjazdów, a potem te koszty na jedzenie i napoje... nie, nie mogę.

— Proszę papy, ja biorę na siebie komitet centralny, radę powiatową przez Zawierzyckiego, a w danym razie i starostwo, zostają papie: księża, żydzi i koszt kiełbas.

— Tyle zachodów, tyle zachodów—mówił z żalem—i na co to? poco?

— Wstydź się, Stefku, jesteś rozgrymaszony egoista. Więc nic nie możesz poświęcić dla dobra dzieci?—zawołała żona z wymówką.

Spojrzał na nią, jak człowiek nagle ze snu obudzony, i rzekł po chwili:

— A no, dziej się wola Boża, chcecie, abym był posłem, niech i tak będzie.

Wszyscy troje pośpieszyli do niego, ściskając i całując, a rozweselony syn przemówił:

— Mamo, warto wypić zdrowie papy kochanego...

Wkrótce wniósł lokaj wino; napełniono kieliszki.

— Niech żyje nowy poseł!

I znów nastąpiły uściski.

— A teraz do dzieła—rzekł pan Władysław.— Trzeba grunt zbadać, i zaraz jutro pojedziemy do Zawierzyckich.

— Jutro? A kto zapłaci podatki?

— Wyśle papa ekonoma, a my do Zawierzyckich, czy zgoda?

— Niech i tak będzie.

II.

Nazajutrz, pan Władysław, ubrany w smoking najnowszego kroju, uczesany bardzo starannie, z wąsikami sterczącemi do góry, jak nakazywała moda, wszedł do saloniku, w którym siedziała matka i siostra. Zobaczywszy go, zawołała panna Irena:

— Ależ wystroiłeś się, Władziu, jak w konkury!...

Na smagłej, gładkiej jego twarzy, odbijającej przyjemnie od nieposzlakowanej białości gorsu i kołnierzyka, zamajaczył uśmiech; rzekł z miną tajemniczą:

— Kto wie, czy to nie są konkury... Gdzież papa?—i szedł do lustra, aby jeszcze raz zbadać swój wygląd.

— Zaraz przyjdzie... ubiera się.

Pan Władysław badawczo przypatrywał się krojowi smokinga, poprawił wiązany krawat, przygładził

włosy, rozdzielone na połowę, poprawił rozstrzępione ciemne wąsiki, włożył monokl i uśmiechnął się do siebie.

— Władziu, popsujesz sobie oczy monoklem — odezwała się matka, przypatrując się z dumą smukłemu, eleganckiemu synowi.

— Doktór zabronił mi noszenia binokli, gdyż jedno oko widzi doskonale, a drugie gorzej... Monokl równoważy błędy natury.

— A nie zapomniałeś rękawiczek? — spytała siostra.

— Rękawiczek nie mogę zapomnieć — odparł z uśmiechem, wtem spoważniał, podniósł klapę smokinga i rzekł zmartwiony: — Brakuje mi perfum...

— Zaraz ci, Władziu, przyniosę... — zawołała panna Irena, wstając.

— Jakie masz?

— Fiołki...

— Dziękuję — mówił chmurny — używam tylko werbeny.

— Nie mam—mówiła z żalem.

— Weź, Władziu, tym razem fiołki — doradzała matka.

— Nie, moja mamo, fiołków lada kupczyk używa — znów podniósł klapę smokinga, nachylił się, i już weselszy przemówił—jeszcze jest zapach.

Następnie przytknął chustkę do nosa i mówił rozjaśniony:

— Chustka zachowała świeżość!

— Jesteś już gotów? — zawołał ojciec, wchodząc.

Ubrany w czarny anglez, z twarzą starannie wygoloną, z podkręconemi szpakowatemi wąsami, dość wysoki, barczysty, zażywny, spojrzał z uśmiechem politowania na szczupłego syna.

— Wyglądasz przy mnie, jak fryga — zaśmiał się.

— Otyłość nie jest zaletą — rzekła żona z lekką ironią. — No, jedźcie już, a wracajcie szczęśliwie.

Lokaj w żółtawej liberyi, z guzikami herbowemi, w białych rękawiczkach bawełnianych, ze stereotypowym uśmiechem na wygolonej twarzy, podał zręcznie letnie paltoty, szeleszczące jedwabną podszewką, wybiegł na ganek i skinął na stangreta, który zwolna objeżdżał klomb niecierpliwiącą się parą gniadych, rosłych koni. Stangret cmoknął.

Konie szarpnęły gwałtownie, lecz powstrzymywane ręką powożącego, szły równym kłusem i stanęły, jak wryte, tuż przed gankiem.

— A co? Jakie konie? — zawołał z uśmiechem tryumfu i zadowolenia.

— Dobrze dobrane—pochwalił syn

Pożegnawszy się z paniami, stojącemi na ganku, wsiedli do powozu, lokaj wskoczył zręcznie na kozioł, a pan Świetnoski przeżegnawszy się, zawołał:

— Ruszaj!

Droga prowadziła przez wieś, rozbiegającą się po obu stronach rzeczki, płynącej z lekkim szmerem po kamienistem łożysku. Chaty drewniane, budowane na węgieł, nizkie, były kryte tu i owdzie gontami; przeważały pokrycia słomą zczerniałą na słotach, omszoną od wilgoci. Spotkani chłopi szybko usuwali się na bok, zdejmując z pokorą kapelusze, kobiety schylały się w pas przed jadącymi. Z głośnem gdakaniem, rozpuszczając skrzydła, uciekały z drogi kury, chroniąc się za opłotki; nawet psy wiejskie, jak gdyby przejęte szacunkiem, tylko zlekka naszczekiwały dla zwyczaju i milkły.

Jadący w powozie nie odpowiadali na ukłony, patrząc obojętnie na puste stogi i stodoły, na mizerne dzieciaki z wielkimi brzuchami na cienkich nóżkach, na pobladłe z głodu przednówkowego twarze starszych. Dopiero na nizki ukłon pachciarza, zdejmują-

cego zrudziałą, aksamitną jarmułkę, pan Świetnoski skinął głową z uśmiechem przyjaznym, i objaśnił syna:

— Ten Szaja to niezłe żydzisko.

Spojrzał na niego uważniej pan Władysław, ale prócz typowych, semickich rysów, gęstej, długiej, pokłaczonej brody rudawej, zaniedbanego ubrania z chwiejącemi się sznurkami i zrudziałych, koszlawych butów nic nie spostrzegł.

— Żyd, jak wielu innych.

— O, nie, ten zna chłopów doskonale, służy mi wiernie i faktoruje prawie bezpłatnie.

— Taki może się przydać przy wyborach — dorzucił syn.

Powóz skręcał na prawo, konie zwolniły biegu, gdyż miano wjechać na licho utrzymany most drogi powiatowej, gdy obaj panowie dojrzeli w odległości dość znacznej niezwykłe, jak na wieś daleką od miasta, zjawisko. Ścieżką, obok drogi, w cieniu przydrożnych wierzb szedł młody mężczyzna, w szarym marynarkowym garniturze, dobrze skrajanym; w kapeluszu panama, z laseczką w ręce. Powóz zbliżył się szybko do idącego naprzeciw, spojrzeli uważniej. Idący zwrócił się również do nich, patrząc śmiało niebieskiemi oczyma. Jasna broda otaczała twarz młodą, energiczną, leciutko uśmiechnął się na zaciekawienie jadących i nie zmieniając kroku i ruchów, poszedł ku wsi.

— Kto to może być? — zamruczał pan Świetnoski, nie podobało mu się bowiem, że nieznajomy jest w jego wsi i że nie zdjął kapelusza.

— To z miasta... może znajomy ekonoma, albo pisarza — odezwał się syn.

— Taki wiedziałby, kto jedzie i byłby się ukłonił... nie, to chyba obcy... chociaż i to nie, bo był ubrany, jak na spacer krótki... kto on?

— Ach, wszystko jedno... dowiemy się później— rzekł syn.

— Hej ty tam! — zawołał głośno pan Świetnoski do lokaja. — Nie wiesz, kto poszedł?

Lokaj odwrócił się i odpowiedział z niezmiennym uśmiechem:

— Jaśnie panie, to przecież Stach Drewniak.

— Kto taki? — spytał powtórnie.

— Drewniak, jaśnie panie, syn gospodarza z Bruśnik.

— Drewniak?... Już wiem...

Jechali dalej; po chwili pan Władysław zapytał:

— Papa go zna?

— Znajomości z nim nie potrzebuję! A to zarozumialec jakiś... Widywałem go dzieckiem, gdy chodził do szkół.

— Ach tak... i ja coś sobie jak przez sen przypominam, kiedyś na wakacyach spotkałem go w Bruśniku.

— To ten sam... był w gimnazyum, jak mi mówiono, tylko, że ty byłeś w konwikcie u Jezuitów, więc rzadko mogłeś go widywać i ciebie nie zna... ale mnie, mój powóz, konie, zna doskonale.

— Czy to syn chłopa z Bruśnik?

— Tak jest... Wyobraź sobie, stary ma zaledwie sześć morgów i to nad rzeczką, która rok w rok zalewa mu część pola, i uparł się, głupi, oddać syna do szkół. Zadłużył się, zbiedniał... a teraz pewno ten synalek wstydzi się ojca, stroi się, dyabli wiedzą z czego, no i pana udaje.

— Tak, tak — potwierdził syn z westchnieniem — zamiast żeby zostać na gruncie, być pomocą ojcu, taki niedouczony wyrasta na dziwoląga, ni to Bogu, ni to ludziom z niego pociecha.

— Jeszcze szczęście, gdy nie wyrośnie na coś gorszego — westchnął ojciec.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Po jednej i drugiej stronie drogi rozciągały się pola uprawne, chłopskie, widne po zagonach obsianych różnemi zbożami,

zasadzone kartoflami i kapustą, a dalej szerokie dworskie łany. Lekki powiew wiatru pochylał wykłoszonem żytem, zakwitłą pszenicą, poruszał wiechami owsa; w świetle popołudniowego słońca zdawałoby się, że jakieś niezwykłe, zielone morze faluje lekko, przebłyskując w promieniach słonecznych, to ciemnemi modraknmi, czerwonawemi kąkolami, fioletowemi groszkami, to znów pali się płomiennemi makami lub złoci ognichą w owsach. Tu i owdzie biły się w zbożach przepiórki, zaszczebiotały szczygły, zapiszczały jednostajną piosenką podrywające się trznadle, ale głosy ich ginęły przy parskaniu koni, przy turkocie powozu.

Na jednym z dalszych pagórków bielały ściany zabudowań gospodarskich.

— Wszak to Wiktorówka?

— Tak jest, Władziu, dobry folwark; tam plantuję buraki, bo mi najbliżej do kolei...

— Jakież buraki w tym roku?

— Na oko ładne, ale dopiero dostawa pokaże, czy dadzą dochód, a tymczasem płać i płać... i teraz, w niedzielę, muszę wypłacić prawie trzysta guldenów.

— O, to dużo!... Czy robotnik tak drogi?

— Jakże nie ma być drogi, gdy rząd pozwala na emigracyę zarobkową do Niemiec, do Ameryki... a ty, obywatelu na wsi, bieduj, proś chłopa, aby raczył robić za twoje pieniądze, chuchaj i dmuchaj na niego, bo zaraz poleci w świat, ale podatki płać, bo egzukutor czyha tylko na komisowe — kończył z goryczą.

— Czyż starosta Zadębiński daje tak łatwo paszporty?

— Nie wiem, czy łatwo daje, czy nie, ale chłopi emigrują.

— Zdaje mi się, że w zeszłym roku wydał namiestnik poufny okólnik do starostów, aby powstrzy-

mywali emigracyę; zrobił to, naturalnie, w interesie większych właścicieli.

— U nas, w Galicyi—zadrwił ojciec—wszystko na papierze ładnie wygląda, ale tylko na papierze. Naprzykład taki okólnik, gdyby był ściśle wykonany, gdyby chłopi byli karani za opuszczanie wsi w czasie roboczym, o ileżby to dźwignęło gospodarstwo, powiększyło konsumcyę na miejscu, podniosło cenę produktów, ale nikt w to nie wejrzy i chłop robi zawsze, co mu się podoba.

— Papa mógłby tę sprawę poruszyć w sejmie... zyskałby papa odrazu popularność i wzięcie.

Ojcu pochlebiło to uznanie syna, mruknął też zadowolony.

— Hm... zobaczę, spróbuję, bo to sprawa dla nas bardzo ważna, powiem nawet: piekąca.

Zdala, na horyzoncie, zaznaczyły się powikłane linie drzew w rodzaju gaju gęsto zarosłego, to smukłemi, to znów rozłożystemi drzewami. Ojciec, wskazując ręką, rzekł:

— To Miłoszyce Zawierzyckich... ładny majątek i dobrze zagospodarowany.

Pan Władysław, który do tej pory przez monokl przypatrywał się okolicy, zrzucił go i wpatrzył się uważnie we wskazany punkt.

— Ile on ma ziemi?

— Zdaje mi się, że coś około tysiąca morgów... ale ma na to czworo dzieci; syn starszy kończy prawo i pewno wstąpi do urzędu, dwie córki w domu, a mały w gimnazyum chyrowskiem u Jezuitów.

— Czy majątek odłużony?

— Spytaj, który nie jest zadłużony? — zaśmiał się ojciec. — Jednak mówią, że Zawierzycki stoi niezgorzej.

Pan Władysław umilkł i obliczał. Jeśli Miłoszyce mają tysiąc morgów, są warte około 250,000 złr., odłużenie wynosi mniej więcej 120,000 złr.; licząc przeciętnie, zostawałoby 130,000 na czworo

dzieci, więc co najwyżej mogłaby panna dostać 30,000 złr. To nie jest zbyt zachęcające, nic zresztą pilnego, takich posagów znajdzie dosyć... Jednak ta Zosia jest ładna i ma coś bardzo miłego, pociągającego. Te jej włosy złotawe, usteczka miłe, uśmiech łagodny i oczy ciemno-błękitne, takie głębokie, a tak dziecinnie naiwne. Ona naprawdę jest ładnu, nawet piękna, taka smukła, niby szczupła, a jednak na ostatnim balu ręce jej i biust były bez skazy, jak utoczone z marmuru. Uśmiechnął się do tych miłych wspomnień, i zdawało mu się, że czuje jej bicie serca, patrzy w piękne oczy, przysłonione długiemi rzęsami, gdy w kotylionie mówi jej o miłości, tęsknocie, nadziejach i szczęściu przyszłem. Nie oświadczył się, był za ostrożny, ale słowa wyznania błąkały się jej i jemu po ustach. To był najpiękniejszy kotylion w jego życiu... Później już nigdy nie spotkał tak dobrej, pięknej, uroczej tancerki... Tylko jedna Zosia!

Z tych słodkich marzeń zbudził go głos ojca.

— Spojrzyj-no, Władku, jaki ten Zawierzycki ma rzepak!... A niechże go... Weźmie grubo, jeśli nie sprzedał na zielono.

— I u papy ładny rzepak.

— Ale, co tam mój, zjadły mi robaki; ten jednak gęsty, równy, obfity... Byłbym rad, aby mój zwrócił wziętą zaliczkę.

— Papa bawi się w zielone?—zaśmiał się drwiąco pan Władysław.

— A ty mój żółto-czarny—odpowiedział, robiąc aluzyę do barw austryackich—nawet i tej gry nie potrafiłbyś poprowadzić.

Skręcili na lewo, w piękną aleję lipową, kończącą się bramą wjazdową do dworu, który z pomiędzy gałęzi drzew błyszczał białemi ścianami.

Pan Władysław otrzepywał z pyłu kapelusz, przecierał monokl, porządkował ubranie z drobnostkową dbałością kobiety ładnej, chcącej się podobać i zrobić korzystne wrażenie.

— Po co te ceregiele? Jesteś i tak piękny — zażartował ojciec.

— Jak cię widzą, tak cię piszą—uśmiechnął się pan Władysław, przezierając się w lusterku od szczoteczki do wąsów, którą wyjął z kieszeni.

Stangret trzy razy strzelił z bata, prostując się na koźle, konie, ściągnięte lejcami, zgięły karki, żuły wędzidła, rwąc się do biegu, aż wreszcie wstrzymane silną ręką, stanęły, dygocąc, parskając i oddychając głęboko po długim kłusie.

Z otwartej werendy zbiegł lokaj i pomagał wysiąść panom, odpowiadając równocześnie na pytanie, czy pan jest w domu.

— Jaśnie pan na folwarku, zaraz wróci... Jaśnie państwo pozwolą może do salonu.

W otwartych oknach dworu to zjawiały się, to znów znikały twarze domowników, a z wewnątrz słychać było na werendzie pośpieszne kroki, ginące gdzieś w głębi dworu.

Weszli do salonu obszernego, narożnego, oświetlonego czterema oknami. Znali go obaj i nic w nim się nie zmieniło: te same meble, kryte trwałą, bogatą materyą, ta sama kanapa z trzema wyścielanemi medalionami, i podobnych dwanaście krzeseł, wprawdzie orzechowych, niefornirowanych, ale staromodnych, ciężkich, niezgrabnych. Na ścianach wisiały poczerniałe, trudne do zrozumienia obrazy bitew historycznych i dziwacznych krajobrazów z melodramatycznemi ruchami ludzi. Z całego salonu, z mebli, obrazów, dywanów, gablotek wiał jakiś chłód i powaga.

— Istna mucha w bursztynie—szepnął pan Władysław.

— Ho, ho, stary to dwór; te meble pamiętają inne, lepsze czasy—westchnął ojciec, siadając na wygodnym z poręczami fotelu.

Pan Władysław przechadzał się niespokojnie, nasłuchując odgłosów licznych kroków.

Wreszcie otwarły się drzwi, rozsunęły się ciężkie portyery i weszła kobieta niemłoda, w ciemnej sukni, z uśmiechem łagodnym, pełnym dobroci.

— A, powitać szanownego sąsiada, tak rzadki gość—przemówiła z wielką uprzejmością.

Pan Świetnoski podszedł posuwistym krokiem i całując podaną rękę, mówił może zbyt głośno:

— Nie z mej winy, pani marszałkowo — użył tytułu, nadanego przez grzeczność sąsiedzką jej mężowi, jako prezesowi Rady powiatowej — byłem tak dawno, ale gospodarstwo, kłopoty, interesy...

— Moje uszanowanie pani marszałkowej — zbliżył się pan Władysław.

Ledwie dostrzegalna zmarszczka zarysowała się na gładkiem czole, jednak z uśmiechem przyjaznym mówiła:

— Miło mi powitać pana — i szła do kanapy, gdzie usiadła, zapraszając gości.

— Gdzież Antoni? — spytał pan Świetnoski, siadając przy pani na fotelu.

— Wyjechał na folwark, zaraz wróci... Jakże tam w polu? urodzaj?

— Jak Bóg da... Ależ rzepak państwa prześliczny, aż oczy rwie.

— Podobno dobry... A pan Władysław dawno ze Lwowa?

— Wczoraj przyjechałem, a dziś uważałem sobie za obowiązek złożyć państwu moje uszanowanie.

— To bardzo uprzejmie ze strony paua... Cóż nowego we Lwowie?

— Nudny, nieznośny, brudny, jak zwykle w lecie... A u państwa wszyscy zdrowi?

— Dziękuję, zdrowi... A pani Świetnoska i Irenka? Dlaczegoż nie łaskawe na nas?

— Żona trochę cierpiąca, a Irenka pilnuje matki... Przesyłają ukłony i pozdrowienia... Wybierają się wkrótce do Miłoszyc, jak tylko zdrowie pozwoli.

— Bardzo proszę i czekam z upragnieniem. Co właściwie brakuje pani?

— Głowa, nerwy; albo wiem naprawdę? Zażywa proszki, pije wodę jakąś... To wiem, że słaba...

Wtem stuknęły drzwi i do salonu weszły dwie córki pani Zawierzyckiej, onieśmielone, zarózowione, przystanęły na chwilę. Starsza, panna Zofia, lat może dwudziestu, smukła blondynka, ubrana w lekką blado-niebieską sukienkę, i młodsza dwunastoletnia Julcia.

Pan Świetnoski powstał i zbliżając się, zawołał:

— Panna Zofia zawsze jak róża, zawsze piękna i świeża.. ale i Julcia urosła; pewno lalki w kąt poszły.

Pan Władysław złożył tak głęboki ukłon, że mu monokl wypadł z oka, następnie z miną bywalca salonowego podszedł do panny Zofii, uścisnął podaną rękę i rzekł tonem przyciszonym, jak gdyby onieśmielonym:

— Przypominam się łaskawej pamięci, tak dawno, tak bardzo dawno...

Wysunęła rękę szybko i odpowiedziała swobodnie:

— Dawnych, tak dawnych wspomnień nie mamy...

Spojrzał na nią lekko zmieszany, uśmiechnął się jednak zadowolony, spostrzegłszy przypięty bukiecik modraków, kwiatów, któremi była ubrana jej suknia w czasie pamiętaego kotyliona.

— Z panną Julcią jesteśmy po dawnemu przyjaciołmi, nieprawdaż? — mówił do zmieszanej dziewczynki, która zarumieniona bąknęła:

— Prawda — i szybko poszła za siostrą.

Pan Świetnoski rozpoczął z panią głośną i interesującą rozmowę o sąsiedzkich stosunkach i dawnych znajomych. Do panny Zofii, siedzącej niedaleko matki, przysiadł się pan Władysław:

— Pani zadrwiła ze wspomnień, a jednak one są kwiatem nieśmiertelnym...

— Nieśmiertelniki sadzą się na grobach — uśmiechnęła się. — Po cóż poruszać zmarłe?

— Mówiłem o kwiatach żywych, które kwitną i pachną, przynajmniej dla mnie... Upajam się ich zapachem.

— Kwiaty więdnące pachną najsilniej; zapewne takiemi są wspomnienia pana.

— O, nie, panno Zofio, one są wiecznie świeże i młode, jak zapachy naszych pól, zbóż, kwiatów i modraków — podkreślił ostatni wyraz.

Panna Zofia zarumieniła się nieznacznie, przysłoniła fiołkowe oczy rzęsami i mówiła z leciutkiem wahaniem w głosie;

— Jednak zapomina pan łatwo o zbożach i kwiatach... i nie dziwię się wcale: miasto ma swój urok.

— Dla mnie najmilszą jest wieś, a do miasta jestem przykuty obowiązkiem.

— Nie bardzo ciężka niewola — zaśmiała się — widać to po panu.

— Pozory mylą, panno Zofio... W sercu może być tęsknota, trwoga śmiertelna o najdroższe nam osoby, a twarz wesoła i uśmiechnięta — mówił głosem przyciszonym, zwierzającym, zdradzającym bezwiednie tajemnicę.

Spojrzała na niego; w oczach jej zamigotało współczucie i ufność, lecz z miną swobodną, wesołą przemówiła:

— Ostatni karnawał był huczny we Lwowie? Bawił się pan dobrze?

— Towarzystwo lwowskie bawiło się jak zwykle bardzo ochoczo; bal za balem; u namiestnika, marszałka, posłów... Dla mnie był to chaos bez słońca.

— Cóż za dziwne żądanie! — zaśmiała się. — Czyż pan chce urządzać bale w dzień jasny?

— Bywają słońca na niebie, ale bywają i na ziemi — przemówił miękkim głosem.

— Ile tych słońc ziemskich naliczył pan w tym karnawale?

— Moje słońce, to jedyne, było za górami, za lasami,..

— Jak w bajce — dodała.

— Tak jest, istniało tylko w mej wyobraźni, bo w rzeczywistości jest zimne i złośliwe.

— Ach, to zupełnie jak w bajce, bo o zimnem i złośliwem słońcu słyszę po raz pierwszy.

— A przecież ono istnieje — westchnął — i zawsze jasne, zawsze piękne, tylko, że innym przyświeca, a dla mnie przesłania się chmurami czarnemi.

Panna Zofia zwróciła się nagle do siostry.

— Julciu, zdaje mi się, że słyszę turkot; może tatuś przyjechał?

Wezwana pośpieszyła do okna i wyjrzała:

— Nie, Zosiu, niema nikogo.

Po chwili spytała sąsiada:

— Pan dawno ze Lwowa?

— Wczoraj przyjechałem... i gdyby nie tak późna godzina, byłbym wczoraj przyjechał do państwa.

— Cóż za pośpiech wyjątkowy — uśmiechnęła się z ironią. — Podobno w ciągu ostatniego roku odwiedzał pan kilkakrotnie rodziców?

— Wzywany depeszami, wpadałem do domu jak po ogień, na chwilę.

— Zapewne tę chwilę liczy pan na długość kilku dni.

— Ma pani słuszność: czasem chwila bywa wiekiem, a rok tylko chwilą. Zdaje mi się, że dopiero wczoraj byliśmy na kuligu...

Pani Zawierzycka, rozmawiając, zwracała jednak uwagę na swą córkę, a sądząc, że ta rozmowa z młodym Świetnoskim trwa za długo, rzekła:

— Zosiu, idź, zobacz, czy herbata gotowa...

Wstała szybko, a pan Władysław nie mógł oczu oderwać od idącej. Podobał mu się jej wzrost, ru-

chy harmonijne, jasno-złote obfite włosy, upięte starannie, gładko spadające fałdy sukienki; i dopiero gdy znikła za portyerą, zaczął wesołą rozmowę z Julcią o ogrodzie i kwiatach.

Wróciła panna Zofia, oznajmiając:

— Za chwilę, mamo — i usiadła po drugiej stronie stołu, zdala od dawniej zajmowanego miejsca.

Pan Władysław udał, że nie spostrzegł tej zmiany, i mówił ze sztuczną wesołością:

— Panna Julcia pozwoli mi bukiecik tych fiołków pełnych; muszę pokazać Irence.

— Dam bardzo chętnie, ale czyż ona nie ma takich fiołków?

— Nie ma, tak piękne fiołki rosną tylko w Miłoszycach — i spojrzał w stronę panny Zofii.

— I floksów może nie ma?

— A panna Julcia ma?

— Mam i bardzo piękne, fioletowe, purpurowe, nakrapiane, białe.

— Ach, te floksy muszę zobaczyć.

— Że też pan słucha tak cierpliwie, co ta mała plecie — wtrąciła pani Zawierzycka, rada z zachowania się Zosi i rozmowności Julci.

— Ależ, pani marszałkowo, my rozmawiamy o bardzo pięknych i miłych rzeczach, bo o kwiatach, i mam już obiecany od panny Julci bukiecik.

— Julcię bardzo interesują kwiaty i ma istotnie ładne floksy.

— Zobaczymy, zdaje mi się, że widziałem we Lwowie piękniejsze — mówił z uśmiechem.

— Nie od moich napewno... Może pan zobaczy... Chodźmy.

— Julciu, dajże spokój — przestrzegała matka.

— Ależ bo, mamo, pan Władysław twierdzi, że we Lwowie są ładniejsze floksy...

— Odłóżmy spacer na później, na drugi raz...— uspakajała matka.

— Panno Julciu, pójdziemy po herbacie i przekonamy się naocznie.

Zaturkotało przede dworem.

— To pewno tatuś! — zawołała Julcia i podbiegła do okna — tak, to tatuś.

Po krótkiej chwili wszedł do pokoju pan Zawierzycki, blondyn, szpakowaty, średniego wzrostu, z twarzą niemal o regularnych rysach, w których obok dobroci malowała się w oczach i ustach stanowczość i energia.

— Jak się masz, Stefanie—zawołał z progu. — Czy się godziło tak długo zapominać o nas.

— Kochany Antoni — mówił pan Świetnoski, wstając.

Ucałowali się serdecznie.

— A i pan Władysław, cóż za niespodzianka— i uścisnął rękę młodego.

— Cóż słychać u ciebie, Stefanie? — spytał, siadając. — Jakże zdrowie pań? O ciebie nie potrzebuję się pytać, bo wyglądasz doskonale.

— Dziękuję ci, żona trochę niezdrowa, ale to minie... Cóż u ciebie? Skończyłeś z burakami?

— Nie plantuję w tym roku, za daleka dostawa; wprowadziłem chmiel.

— No i jakże?

— Na razie znaczne wkłady... A pan Władysław wprost ze Lwowa?

— Wczoraj przyjechałem.

Pani Zawierzycka, korzystając z przyjazdu męża, wyszła z salonu, a pan Władysław, odpowiadając na pytanie gospodarza, przysunął się do panny Zofii.

Gdy dwaj panowie wszczęli ożywioną rozmowę o gospodarstwie, przemówił pan Władysław przyciszonym głosem:

— Za moją winę sam już pokutowałem, a pani karze mnie zbyt surowo:

— Nie rozumiem pana; nie wiem o żadnem przewinieniu, ani o karze.

— Przyjechałem prosić o przebaczenie i mam tylko jedną, jedyną prośbę do pani.

— Jaką?

— Bądź pani dla mnie tą dawną, dobrą panną Zofią...

— Zdaje mi się, że nie zmieniłam się w niczem — odpowiedziała tonem suchym, chociaż zarumienienie świadczyło o jej wzruszeniu.

— Jeśli pani nie zmieniła się w niczem, to proszę, daj mi pani jeden z tych modraków; to są dla mnie najmilsze kwiaty.

— Nie, nie mogę.

Wszedł lokaj, meldując z progu:

— Herbata podana.

Pierwsza wstała panna Zofia i razem z Julcią wyszły.

Przy stole po lewej stronie pani domu usiadła panna Zofia, obok niej ojciec i Julcia, po prawej goście.

Przy herbacie rozmowa toczyła się o pogodzie, urodzajach, cenach, o dalszych i bliższych znajomych, jednak mimo usiłowań gospodarstwa, utykała co chwila,

Panna Zofia siedziała milcząca, pan Władysław chmurny.

Przyjechał, będąc niemal pewny, że panna Zofia uradowana będzie jego przybyciem, że ją olśni, oczaruje i czas wizyty przepędzi na miłym flircie. Zastał ją inną, zmienioną. trudniejszą do zdobycia; gniewało go to i podniecało, gdyż cierpiała na tem jego ambicya uznanego we Lwowie króla flirtu.

Panna Zofia od czasu do czasu patrzyła na niego z uczuciem żalu za przeszłość. On jeden i jedyny mówił tak dobrze, tak słodko o przyjaźni, o szczęściu i miłości, na ustach miał zawsze poezyę, a w oczach szczerość i uwielbienie, a gdy jej ma-

rzenia zaczął tylko on sobą wypełniać, gdy była pewna, że lada chwila powie jej o swych uczuciach i rumieniła się sama przed sobą na myśl, co i jak mu odpowie... on odjechał. I mijały tygodnie, miesiące... nie przyjeżdżał, tylko głuche wieści dochodziły, że tam był, tam tańczył, tam nadskakiwał innej... Może on teraz i cierpi, nawet jest tego pewną, ale czy sam nie zasłużył, czy nie winien? Niech i on pozna, jak miłem jest zapomnienie, zerwanie... On się jednak nie zmienił, pobladł tylko trochę i jakby wyszlachetniał, i ma głos tak dźwięczny, tak oddający wiernie jego usposobienie i uczucia. Jak on prosił o kwiatek, jak czule przemawiał; nie dała mu, i słusznie, jednak on pamięta jej suknię, pamięta modraki, któremi była upięta. On jest prawie nieszczęśliwy, siedzi taki chmurny, zaledwie odpowiada na pytania. Czy nie za długo trwa kara? Przecież już ją przeprosił... i gdyby, gdyby była pewna, że nie rozpoczną się znów te długie, bardzo długie wyczekiwania... gdyby...

Pani Zawierzycka, odczuwając trudność zabawienia gości rozmową, wstała, ruszyli wszyscy, a pan Władysław rzekł z uśmiechem:

— Teraz, panno Julciu, bukiecik fiołków dla mnie i zobaczymy floksy.

— Może i my przejdziemy się, Antoni — doradzał gość — bo zasiedziałem się w powozie i w salonie.

— Bardzo chętnie... Mogę ci służyć cygarem?

— I owszem, lubię zapalić po dobrej herbacie.

Wyszli przez werendę do ogrodu. Przodem szli młodzi, panny i pan Władysław, za nimi zwolna postępowali obaj panowie.

Ogród, starannie utrzymany, był pełen klombów i koszów kwiatowych. W promieniach zachodzącego słońca zarysowywały się ostro barwy i kształty kwiatów.

Szli obok róż sztamowych, które po upalnym

dniu zwiesiły swe korony kwiatowe, tylko pączki, jak nieopatrzne dzieci, patrzyły śmiało w błyszczącą tarczę słońca.

Pan Władysław przystanął na chwilę przed krzakiem róż białych i mówił z uśmiechem:

— Panno Zofio, czy nie zauważyła pani, że białe róże wieczorem, jak dziś naprzykład, są bardzo podobne do panien po balu.

— Tak? — odrzekła cicho, chcąc posłyszeć jego tłómaczenie.

Zerwał jednę i objaśnił:

— Widzi pani, jakie zmęczone ma listeczki, niemal zwiędłe, jak panna po białym mazurze, a pachnie tak silnie — tu podsunął różę — jak marzenia po tańcu... zachowała jednak lekki rumieniec, jak wspomnienie rozmowy, jakichś zwierzeń tajemniczych.

— Dla mnie za wiele w tem wszystkiem jest symboliki.

— Więc będę realnym — mówił, idąc dalej. — Pani wie, że poeci każą się kochać róży z motylem, więc ona więdnie, pochyla się i płacze rosą, gdy motyl odleciał... ale tak kochają tylko róże.

— A motyle? — zaśmiała się swobodnie.

— Motyl, ten syn słońca i ciepła, marzy tylko o tej jednej róży, czeka z upragnieniem poranku, pierwszych brzasków słońca i ciepła... przyfrunie stęskniony .. i zastanie różę zerwaną, umarłą, zimną.

— Czy to ma być poezya?

— Jak dla kogo... Dla mnie rzeczywistość.

— Widzi pan ten kosz kwiatów, prawda, jaki piękny?! — zawołała Julcia.

Różnokolorowe bratki, to większe, to mniejsze, patrzyły ciekawie, jak ptaszki z gniazda, wszystkie jakieś żywe, wesołe. Zdawało się, że lada chwila zaszczebioczą, ożyją...

Julcia nachyliła się nad kwiatami, podziwiając głośno ich kształt i barwy.

— Czy pani lubi bratki?

— Dosyć.

— Kiedyś, kiedyś słyszałem, że bratki powstały z krwi siostry i brata, czy też kochanka i kochanki, on jej nie wierzył, ona jemu i zginęli śmiercią samobójczą.

— Nie rozumiem naprawdę samobójstwa z miłości.

— Bo nigdy pani nie kochała... ale niech pani sobie wyobrazi, że on, że ktoś oddaje całą swą duszę, serce drugiej osobie... i ona trzyma to serce, jak na dłoni, i nagle przyjdzie tej drugiej osobie kaprys, odrzucić to drgające miłością serce daleko; ona umyje sobie ręce jak Piłat i znów jest piękna i czysta, a to serce, rzucone w pył zapomnienia i obojętności, musi przecież zginąć... i samobójstwo usprawiedliwione.

— A dla mnie potępione, bo wierzę w Opatrzność.

— Otóż i floksy! — zawołała Julcia. — Patrz pan, czy nie są piękne?

Równocześnie posłyszeli turkot powozu i głośne słowa powitania. Odwrócili się. Pan Zawierzycki i pan Świetnoski witali się z dwoma panami, którzy głośno się usprawiedliwiali z tak nagłej wizyty u pana marszałka.

— To panowie Dobieradzki i Grzaliński — rzekła panna Zofia.

— Pewno w interesie przyjechali — dodała Julcia.

— Chodźmy do gości — radziła panna Zofia, nie ruszając się od floksów, żal jej bowiem było rozmowy.

— Zaraz, zaraz, panno Zofio... wpierw obejrzę piękne floksy i dostanę od panny Julci bukiecik fiołków.

— Cóż, panie Władysławie, czy we Lwowie są ładniejsze floksy?

— O, nie, we Lwowie nie ma takich, najładniejsze są w Miłoszczycach — i spojrzał wymownie na towarzyszkę.

— Chodźmy już — powtórzyła panna Zofia.

Odwrócili się od kwiatów i zobaczyli panów stojących w alei i rozprawiających żywo.

— Przechodząc obok — doradzał pan Władysław — przeszkodzimy im w rozmowie... Zaczekajmy... wszak jesteśmy pilnowani — uśmiechnął się.

Panna Zofia zarumieniła się lekko i udając, że nie słyszała słów ostatnich, mówiła szybko:

— Więc istotnie nie ma we Lwowie tak pięknych floksów? Julcia będzie teraz dumna ze swoich kwiatów.

Pan Władysław dotkuął swą wydelikaconą ręką jeden z najpiękniejazych floksów i rzekł:

— Panno Zofio, co powiedziałaby pani o kimś lub o mnie, gdybym wyrwał ten śliczny kwiat z korzeniem, wziął w rękę i trzymał go aż do powrotu mego do Lwowa w zamiarze zasadzenia go w mały wazonik... Postąpiłbym co najmniej nierozsądnie i lekkomyślnie, czy tak?

Panna Zofia skinęła główką potakująco i dodała:

— A kwiat zwiądłby i zginął.

Pan Władysław spojrzał na nią badawczo, przez chwilę wahał się, czy teraz należy przypuścić atak główny, czy czekać innej sposobnej chwili, postanowił zaryzykować, i nadając swemu głosowi ton miękki, czuły, mówił rozmarzony.

— Kto wie, czy kwiat, roślina nie cierpi, gdy go się zrywa lub łamie, a jeśli naprawdę on czuje, a ja brutalnie wyrwałbym go z jego otoczenia, popełniłbym zbrodnię... Czyż mogłem, czy mi wolno, czy pozwalało mi sumienie, zabrać ów kwiat ukochany, by go oddać na pastwę nędzy? Zasadzić w ciasnem miejscu, gdzie słońce ledwie raz błyśnie na dzień... Zanadto kochałem i kocham ten najpiękniej-

szy kwiat... czekam więc z upragnieniem chwili, gdy mi woluo będzie wprowadzić ten kwiat w atmosferę, do której nawykł od dzieciństwa.

Julcia, która przysłuchiwała się roztargniona tej rozmowie, zrozumiała tyle, że idzie o floksy i odezwała się z powagą doświadczonej ogrodniczki:

— Jeśli pan chce mieć floksy, trzeba wziąć z wazonika flancę, dać jej dużo słońca, powietrza i potem przesadzić do wielkiego wazonu, pełnego ziemi wrzosowej.

— Panno Zofio — uśmiechnął się smutnie — słyszała pani rozumne rady swej siostrzyczki, ale gdy ja je wypowiadam, zostaję potępiony i wzgardzony.

Panna Zofia poczuła się teraz winną, skrzywdziła podejrzeniami nizkiemi człowieka szlachetnego, który cicho, bez rozgłosu i uznania pracuje, aby otoczyć ją zbytkiem, zapewnić jej szczęście; jakaż ona niewdzięczna, samolubna, podejrzliwa... Łzy żalu, skruchy i miłości cisnęły się do jej oczu, powstrzymała je siłą woli i szepnęła zarumieniona:

— Tak, pan ma słuszność... przepraszam pana— i podała mu swą piękną rękę, którą on ucałował według form obowiązujących dobrze wychowanych ludzi. Panna Zofia, poczuwszy zimne dotknięcie, pomyślała z żalem: jeszcze się gniewa, jest obrażony, i słusznie.

Pan Władysław, widząc się panem położenia, postanowił wyzyskać tę chwilę i poprzeć wybór swego ojca przez protekcyę zakochanej panny; i gdy Julcia poszła do rabaty dalszej, aby zerwać bukiecik floków, przemówił:

— Jedynem mojem marzeniem jest posiąść najpiękniejszą... różę z róż, ale muszę jej zapewnić dużo światła, słońca, powietrza... Zdaje się, że wkrótce zdobędę się na to...

— Tak pan sądzi? — szepnęła, aby coś powie-

dzieć, zrywając listeczki z urwanej gałązki kwiatowej.

— Tak, panno Zofio. Namówiłem ojca, aby kandydował na posła z kuryi wiejskiej... Namiestnik dla syna posła musi być względny, awans jest pewny, a wówczas dla mej róży wezmę mieszkanie pełne słońca i szczęścia.

Panna Zofia zarumieniła się jeszcze bardziej, przysłoniła fiołkowe oczy długiemi rzęsami, aby nie zdradzić blaskiem oczu swego szczęścia, i nic nie mówiąc, westchnęła, jak człowiek, pozbywający się gniotącego ciężaru.

— Oto bukiecik — zawołała Julcia. — A jaki zapach cudowny!

— Prawda, prawda, prześliczny...

— Chodźmy już, panowie poszli do pokoju — rzekła panna Zofia i zwróciła się w kierunku dworu. Idąc, zdawało się jej, że gdyby tylko zechciała, mogłaby pofrunąć i lecieć gdzieś w błękity do słońca, tak czuła się lekką, swobodną, szczęśliwą... Rok tęsknoty, goryczy, żalu, zniknął w tej chwili bez śladu, a świat wokoło jest tak piękny, uroczy, cudowny... i kwiaty piękniejsze, i drzewa jak złote marzenia mienią się w zachodzie, i lekkie mgły z wilgotnych łąk płyną ku niej, jak dobre, białe duchy, aby brać udział w jej radości.

Rozpromieniona spojrzała na swego towarzysza, oczy ich spotkały się i oboje nakryli je powiekami; panna Zofia, aby nie zdradzić swego szczęścia; on w obawie, aby nie odgadła jego myśli, gdyż właśnie zastanawiał się, czy ona zrozumiała i pojęła swą rolę w tej grze o wybór posła, bo i po co cały zachód, jeśli ona z jego słów zrobi tajemnicę.

Panowie siedzieli na werendzie, rozmawiając o sprawach powiatowych, skarżąc się na powolność robót około dróg i mostów; na trudność egzekwowania należności.

Widząc zbliżające się towarzystwo z ogrodu,

pierwszy podszedł pan Dobieradzki, sąsiad, młody, niewyraźny blondyn i przygładzając rudawe, zwieszające się bokobrody, witał panny nizkim ukłonem, uścisnął rękę pana Władysława bardzo kordyalnie, jako dawny kolega.

— Poznać zaraz, żeś ze stolicy—mówił, oglądając go bardzo uważnie. — U nas, na wsi, ani marzyć o podobnej elegancyi.

— To rzecz krawca—uśmiechnął się nie bez zadowolenia pan Władysław.

— I ja to wiem, bratku, ale jedź-no w takim garniturze po naszych drogach...

Tuż przystąpił pan Grzaliński, niemłody kawaler, ubrany z elegancyą, rzucającą się w oczy, sztywny, wyprostowany jak żołnierz na przeglądzie, przywitał się z pannami, i podając manekinowato rękę, rzekł:

— Cóż, panie Władysławie, przyjechałeś, zatęskniłeś do naszej ziemi, bo to szlachcic urodzony tylko do roli.

— Istotnie, wieś w lecie jest przyjemniejsza od miasta, chociażby Wiednia.

— To wesołe miasto — zaśmiał się kątami ust pan Grzaliński.—Tam można się zabawić... Dawno pan tam byłeś?

— Przed miesiącem, kilka dni.

— Zazdroszczę panu.

Tak rozmawiając, zbliżyli się do reszty panów, gdyż panny odeszły w głąb domu.

— Zapomniałem cię zapytać, panie Władysławie, czy nie wiesz terminu wyborów do sejmu? — spytał pan Zawierzycki, częstując go cygarem.

— Dotychczas w namiestnictwie nic nie wiemy, czekamy wskazówek z ministeryum... A pan marszałek nie słyszał?

— Nic pewnego; to wiem, że w innych powiatach już agitują.

— My chyba naszego dawnego posła wybierzemy ponownie — odezwał się stanowczym tonem pan Grzaliński.

— Nie miałem na myśli większej własności, my wiemy dobrze, kogo wybrać... dawny poseł usłużył nam dobrze, więc wybierzemy go ponownie, ale jako przedstawiciel powiatu, muszę dbać także o posła z gmin wiejskich.

Obaj panowie Świetnoscy drgnęli, spojrzeli wymownie na siebie, jednak milczeli.

— Szkoda ks. Chromca, ten miał mir u chłopów—westchnął pan Grzaliński.

— Z jego wyborem nie było dużo kłopotu, poagitowali księża, baby, poparła Rada powiatowa i starostwo, i koniec... Teraz idzie o wyszukanie odpowiedniego człowieka...— objaśnił marszałek.

— Chyba o takiego nie trudno u nas w powiecie — dodał tonem pewności pan Dobieradzki. — Chociażby pan marszałek.

— Prawda, prawda — potakiwał pan Grzaliński.

— I mojem zdaniem — przemówił pan Władysław — najodpowiedniejszym posłem byłby pan marszałek, zna go cały powiat, chłopi szanują, starostwo sprzyja... ale... ale...

Wszyscy spojrzeli zaciekawieni na niego, a zniecierpliwiony pan Grzaliński rzekł:

— Mówże pan to ale...

— Na każdem stanowisku potrzebny u nas człowiek pewny, nieposzlakowany, honorowy, człowiek przekonań. Otóż każdy z panów mi przyzna, że łatwiej być podwładnym, aniżeli przełożonym; łatwiejsza służba żołnierza w szeregu, aniżeli wodza odpowiedzialnego za wszystko. Obecnie pan marszałek stoi na czele powiatu, jest wodzem armii, któż go zastąpi, gdy zostanie posłem? A jeślibyśmy chcieli rzucić na jego barki ten podwójny ciężar, czy nie będzie mu za ciężko, zwłaszcza, że jako wzorowy go-

spodarz, nie założy rąk w domu, lecz będzie pracował. Takie jest moje „ale"—uśmiechnął się do pana Grzalińskiego.

— Hm... to prawda, już to ty, Władziu, masz głowę ministeryalną—pochwalił go dawny kolega.

— Otóż moi panowie—zaczął marszałek—onegdaj otrzymałem z komitetu centralnego zapytanie, kogobym polecił na kandydata z kuryi wiejskiej, i proponują — tu spuścił oczy — abym sam kandydował.

Wśród chwilowego milczenia spytał pan Świetnoski.

— Cóż odpowiedziałeś?

— Dotychczas nic. Te względy, o których wspominał pan Władysław, krępują mnie, bo wierzcie mi, panowie, stanowisko moje może wydawać się łatwe, pospolite, małoznaczne, a w rzeczywistości odpowiedzialność wielka i praca ciężka, że tylko wspomnę, iż muszę ciągle stać na straży praw naszej konstytucyi wobec urzędników państwowych i dbać o interesy wszystkich klas, nietylko ziemiańskich; trzeba usuwać kolizye, starcia, dozorować...

— Ależ wiemy, marszałku, wiemy — zamruczeli z uznaniem.

— Zostawić tak cały powiat na opiece boskiej nie uchodzi, a zastępcy naprawdę nie widzę... Znów być marszałkiem, posłem i gospodarzem, to za ciężko, nie wydołam...

— Cóż pan marszałek postanowił? — spytał pan Władysław.

— Hm... myślałem podać na kandydata jednego ze znanych nam, uczciwych, zdolnych obywateli... Zgadnijcie, panowie, kogo?

Pan Świetnoski poczerwieniał, serce biło mu młotem, szybko przeszedł wszystkich sąsiadów i przyszedł do przekonania, że takim obywatelem jest tylko on.

Prawdopodobnie takie samo poczucie swych zalet miał i pan Grzaliński, wyprostował się sztywniej, wąs, sztucznie przyciemniony, pokręcił w górę, wspomniał, że ma wieś, jest kawalerem, nic go nie krępuje, aby cały swój czas oddał zajęciom posła, i głosem zdławionym rzekł:

— Nie zgadniemy, panie marszałku. Powiedz kto?...

— Ależ Gosicki, mój zastępca w Radzie powiatowej—uśmiechnął się.

— Kto? Kto? Kto?—zapytali równocześnie, prócz pana Dobieradzkiego, dla którego ta sprawa była obojętna.

— Znacie go przecież... Gosicki...

— No, chyba nie on — zawołał pan Świetnoski—*homo novus*, dopiero jego ojciec kupił u nas majątek, kupiec z rodu... wątpię bardzo, aby znał potrzeby naszego powiatu.

— Wiem, że pożarł się ze swoim księdzem o jakiś wypas, czy należności z lasu... więc nie poprze go duchowieństwo, a ono ma wielki, bardzo wielki wpływ—objaśniał rozczarowany pan Grzaliński.

— Jako człowiek nieznany, świeży, pan Gosicki nie zaznaczył swych przekonań—mówił poważnie pan Władysław.—A przecież pan marszałek nie może proponować jakiegoś demagoga.

— Trafiłeś w sedno, panie Władysławie—zawołał marszałek. — Najgłówniejsza rzecz przekonania, a on jakiś niewyraźny, i nam radby dogodzić i nie zrazić demokratów; pilnie go badam i nie mogę dojść z nim do ładu. I teraz zaczął spór z księdzem, po co, na co? Było dać po cichu odczepne, a zacznie zbyt dokuczać, to od czegoż biskup? Tak, tak, macie racyę, Gosickiego nie mogę polecać, a innego nie znam.

Chrząknął głośno pan Świetnoski, aby zwrócić uwagę marszałka na siebie, a pan Grzaliński rzekł:

— A wybrać człowieka trudno, bardzo trudno, chociaż, poszukawszy dobrze, znalazłby się napewno.

— Najlepiej będzie — odezwał się pan Dobieradzki—jeśli pan marszałek zostanie posłem; wystarczy Radę dozorować od czasu do czasu.

— W ostateczności będę musiał to zrobić — westchnął marszałek.

— Szkoda, panie marszałku, tylu lat pracy około dobra powiatu—przemówił pan Władysław.—A bez pana wszystko pójdzie na marne.

— Hm... to prawda—westchnął marszałek.

— Prawda!—powtórzył pan Świetnoski.

— Prawda!—dodał pan Grzaliński.

Wśród chwilowego milczenia wszedł lokaj na werendę i rzekł głosem równym, odmierzonym:

— Pani prosi do stołu!

Po krótkich ceregielach weszli do jasno oświetlonego pokoju jadalnego, gdzie gości oczekiwały już panie domowe.

Gdy usiedli i lokaj zaczął obnosić półmiski z pieczenią, gospodarz zawołał:

— Zapomniałem o wódce... Proszę cię, Stefanie, zaczynaj; ja nie pijam.

Wódka obeszła kolejką, pan Władysław tylko, ku zdumieniu ojca, odmówił, wiedział bowiem z doświadczenia, że wstrzemięźliwość podoba się paniom.

— O czem panowie radzili? — spytała pani domu.

— O wyborach, pani marszałkowo dobrodziejko—odpowiedział pan Grzaliński.—Naszego posła mamy, idzie o kuryę wiejską.

— I cóż postanowiliście, panowie?

— Zostaje nam jako kandydat tylko pan marszałek — uśmiechnął się pan Dobieradzki, przygładzając faworyty.

— Jakto? Ty, Antosiu? Jeszcze dziś rano zrzekałeś się—zdziwiła się szczerze.

— I teraz nie jestem zdecydowany — odparł mąż;—właśnie naradzaliśmy się nad kandydatem.

— Czyżby go nie było w powiecie?—spytała po chwili.

— Hm... potrzeba wybrać kogoś popularnego, który ma zaufanie ogólne i nasze, i chłopów, i żydów; człowieka pewnego, przekonań jasnych, no i rozumnego, aby miał miarę słuszną w sprawach wątpliwych, sprawiedliwie oceniał ciężary, dbał zarówno o wszystkich...

Panna Zofia spojrzała ze zdziwieniem na pana Władysława, nie rozumiejąc przyczyny, dla której nie postawił dotychczas kandydatury ojca swego; następnie pomyślała, że zapewne przez delikatność nie mógł syn proponować ojca, postanowiła więc sama zwrócić uwagę obecnych, że pan Świetnoski powinien zostać posłem Już otworzyła usta, nie mogła jednak wydobyć głosu, a spojrzawszy po zebranych, sama zdziwiła się swej śmiałości, że chciała, ona, wśród tych poważnych ludzi głos podnieść. Zarumieniona milczała.

— Zdaje mi się, Antosiu — przemówiła pani po chwili milczenia — że stawiasz zbyt wielkie wymagania. Byle tylko kandydat był uczciwy, honorowy i zacny, to wystarcza; a co do spraw krajowych, każdy sam się ich dotykał, a zresztą słyszał, uczył się, widział.

— Święte słowa pani marszałkowej dobrodziejki — zawołał z nieudanym zachwytem pan Grzaliński.

— I ja zgadzam się z panią marszałkową — rzekł pan Władysław.—Przecież sejm zajmuje się, że tak powiem, sprawami domowemi, znanemi każdemu szlachcicowi, np. propinacyą, drogami, szkołami, ciężarami gminnemi, polepszeniem handlu i przemysłu

t. d.; byle poseł był uczciwy i miał zdrowy rozum, to wystarczy.

— Tak się mówi, panie Władysławie, a w rzeczywistości rzecz się ma inaczej — mówił marszałek zwolna pomiędzy jednym a drugim kąskiem. — Przyjdzie takie ustawodawstwo gminne, trzeba znać się na tem teoretycznie i praktycznie, albo też ustawa łowiecka...

— No, ta chyba łatwa i prosta — zaśmiał się pan Dobieradzki, ocierając wąsy serwetą. — Trudno, panie, aby chłop bawił się w polowanie, a dać mu strzelbę do ręki, to nie ostoi się żadna zwierzyna... i tak nie można dać sobie rady z kłusownikami.

Panowie potakiwali nieznacznie, ale z wypowiedzeniem zdania czekali na marszałka, ten złożył nóż i widelec, potarł brodę, uśmiechnął się i rzekł:

— Szanuję zdanie mego sąsiada, pana Dobieradzkiego, wierzę, że mówi szczerze... ale dotychczasowa ustawa łowiecka ma ważne niedogodności, dobra jest dla nas, większych właścicieli... Gdyby jednak obok wsi pana Dobieradzkiego były lasy arcyksięcia, i na kartofle, buraczane, czy owsiane łany wypadały stada dzików i niszczyły zasiewy, czy nie żądałby pan Dobieradzki odszkodowania? Czy nie ustawiłby strzelców, aby zabijali szkodników?... W tem położeniu są w pewnych okolicach Galicyi chłopi... Rządząc, musimy być sprawiedliwi.

— Jakto?—zdziwił się pan Grzaliński, prostując się w krześle — pan marszałek dałby chłopom prawo zabijania zwierza?

— Hm... to rzecz inna, cobym zrobił. Chłop to jeszcze małoletni, niedojrzały człowiek, takim się nie daje broni do ręki, ale i krzywdzić ich nie należy... Trzeba ich zwolna wychowywać na obywateli, więc rygor być musi, posłuszeństwo prawom, ale główna rzecz, nasz obowiązek, jako wychowawców i przewodników, to sprawiedliwość.

— Ja jestem twego zdania — odezwał się pan

Świetnoski. — Chłopa skrzyczę, złaję, ale co mu się należy, dam zawsze, to też moich chłopów jestem pewny, pójdą, gdzie każę, zrobią, co powiem, u mnie rygor to grunt.

— Ale, ale, Stefanie—zawołał marszałek—podobno starosta zabronił ci wyrębu lasu?

— No tak, posłuchał skargi chłopów, i mnie, właścicielowi, zabronił ciąć mój własny las.

— Jakto? Chłopi, chłopi skarżyli ciebie?—mówił wzburzony marszałek — i on im uległ? Wreszcie do tego przyjdzie, że chłopi będą decydowali, czy mam tego lub owego ekonoma trzymać... To oburzające! Prawo niemożliwe... Cóżeś zrobił, Stefanie?

— Podałem rekurs do namiestnictwa i, jak mi mówi Władzio, otrzymałem zezwolenie.

— To bardzo słusznie, bardzo sprawiedliwie — mówił marszałek — bo gdyby ci starosta był poufnie powiedział, że wyrąb jest niemożliwy, no, trudno, są ustawy i trzeba słuchać, ale ośmielić chłopów tak dalece, że pominęli ciebie i wprost zażądali wstrzymania wyrębu, to nazwałbym podburzaniem na szlachtę. Bo rozumiem jeszcze, gdy przyjdą chłopi, proszą, przedstawiają, i ja sam udzielam im tej łaski dobrowolnie, ale oni poszli wprost do starostwa, lekceważyli ciebie, i on ośmielił się dać im zadośćuczynienie wbrew twej woli. Sądzę bowiem, że najpierw powinni byli chłopi przyjść do ciebie, a dopiero potem do starostwa? Czy nie tak?

Pan Świetnoski zmieszał się i bąknął:

— Tak powinni byli zrobić... ale do mnie przyszli z hałasem i pogróżkami, i przepędziłem...

— Ha, jeśli grozili, zrobiłeś słusznie... Zatem las rąbiesz?

— Tak jest.

— Dobrze, że wiem — zawołał pan Dobieradzki. — Chłopom pana najbliżej do mego lasu: pod-

niosę cenę drzewa... niech płacą, gdy chcą bunty wszczynać.

— To bardzo dobrze, że dostałeś pozwolenie z namiestnictwa—mówił marszałek.—Oduczy to chłopów od zachcianek sprzeciwiania się, bo mojem zdaniem, w mojej wsi ja jestem ojcem, a chłopi dziećmi, a co ojciec każe, powinno i musi być wykonane, w przeciwnym razie kara... Dano im na jeden raz za wiele swobody, prawo wyboru, prawo krytyki, prawo stanowienia o sobie, a to wszystko głupie dzieci, i zaraz w głowie zachcianki dzikie, roi im się o samodzielności, marzą o rządzeniu nami, całym krajem.

— Już to wogóle nasza konstytucya — mówił z powagą sztywny pan Grzaliński — jest bardzo chybiona: zamiast zwolna stan po stanie wprowadzać w życie polityczne, jednym zamachem wszystkich zrównała... U nas lada chłop, rzemieślnik lub robotnik decyduje o nas.

— Hm... hm... tak źle znów nie jest, jak mówi pan Grzaliński, bądź co bądź, my szlachta, rządzimy, mamy w kraju i w sejmie większość, i byleśmy umieli trzymać lejce w ręce, konie, chociaż innej maści i rodu, pójdą równo.

— Trudno utrzymać lejce — zaśmiał się sucho pan Grzaliński—gdy furman furmana bije.

— Racya, racya—zawołał pan Świetnoski—mam w lesie lisy, takie bestye śmiałe, że zakradają się do moich kurników, jak gdyby za mało im było wiejskich... Otóż mój polowy łapie chłopa, który nietylko wnyki zastawia, ale chodzi ze strzelbą, zabity lis jest przy nim, więc ja chłopa do sądu. I co powiecie, skargę podałem w marcu, dziś czerwiec, i nic.

— Nie upominałeś się? — spytał pan marszałek.

— Co mi to pomoże? Sędzią jest jakiś Wiórek, pewno syn chłopa albo rzemieślnika, ten umyślnie sprawę zwleka, aby chłopa nie ukarać.

— Wogóle zauważyłem—odezwał się marszałek

po chwilowem milczeniu—że w sądzie mamy za mało naszych; w politycznych urzędach mamy dużo, w skarbowych także dosyć, a w sądach... na palcach można policzyć.

— Duża praca, mała płaca—uśmiechnął się pan Grzaliński.

— Zapewne, ale naszym obowiązkiem jest mieć swoich i w sądzie.

— Jestem zdania — odezwał się pan Władysław—że skoro naszą młodzieżą przepełnione są urzędy polityczne i skarbowe, przyjdzie z konieczności rzeczy kolej i na sądy.

— Zanim słońce zejdzie, rosa oczy wyje—mruknął ojciec, i wstał, żegnając się.

Ruszyli wszyscy.

— Zaczekajcie chwilę, jeszcze księżyc nie zeszedł, na naszych drogach o przypadek nie trudno.

— To już wina pana marszałka: drogi powiatowe do niego należą — zażartował pan Grzaliński.

— Nie odemnie, ale od szarwarku i podatków, a zmuś pan chłopów do odrobienia bez egzekucyi.

— Sejm powinien na to poradzić — odezwał się pan Świetnoski—i gdybym tam był, obostrzyłbym powinności i kary.

— I zostaną na papierze — uśmiechnął się marszałek z ironią — póki nie raczy starosta zaaprobować.

Wkrótce zajechały powozy, i goście ruszyli na werendę po serdecznem pożegnaniu gospodarstwa...

Księżyc wypłynął już wysoko, srebrzył drzewa i pola, migotał w dalekim stawie, z którego dochodziły rechotania żab, stukot młyna, a gdzieś w olszynach nadbrzeżnych wyśpiewywał słowik. Piękność nocy czerwcowej odczuwała w tem towarzystwie tyl-

ko panna Zofia, rozumiała i współczuła z całą przyrodą, bo kochała i była pewną, że jest kochaną. Po wyjeździe gości pani Zawierzycka, w chwili, gdy lokaj sprzątał ze stołu, chowała do stojącego w rogu pokoju kredensu patery, cukierniczki, srebro, a pomagała jej w tem panna Zofia.

Uwagę matki zwróciła rozjaśniona jej twarz, niezwykła żywość ruchów, pogoda i wesołość, promieniejące z niej całej. Po chwili spytała córkę po fraancusku, ze względu na obecność lokaja:

— Jak widzę, jesteś, Zosiu, zadowolona z dzisiejszych gości.

— Tak, mamo, zawsze to była jakaś zmiana w jednostajnem naszem życiu.

— Rozumiem, że młodość potrzebuje rozrywek, ale znów dzisiejsi goście nie byli tak bardzo zabawni, z wyjątkiem chyba pana Grzalińskiego, który tym razem miał czarniejsze wąsy i włosy, aniżeli zwykle.

— Nawet nie spostrzegłam tego — odpowiedziała, wkładając łyżeczki do szuflady kredensu.

— Pan Dobieradzki, o ile zauważyłem, nawet nie zbliżył się do ciebie.

— Zdaje mi się, że tak—i wzięła paterę z owocami do ręki.

— Zatem pan Władysław poczynił ci tak przyjemne zwierzenia—powiedziała z uśmiechem ironii.

Panna Zofia omal, że na ziemię nie upuściła patery i przyśpieszyła kroku w kierunku kredensu, aby ukryć swe zamieszanie.

— Cóż, Zosiu?

— Istotnie, pan Władysław rozmawiał dosyć ze mną...

— Spodziewam się, że mi opowiesz szczegóły, wiesz, jak mnie wszystko interesuje, co ciebie dotyczy.

— Przecież nigdy przed mamą nie miałam sekretów—powiedziała z odcieniem żalu.

— Wiem, moje dziecko i cieszę się z tego — mówiła z rozczuleniem.

Po chwili, gdy główniejsze rzeczy zostały schowane do kredensu, odezwała się matka, patrząc na zegar ścienny:

— Dziewiąta już, a nie czuję się senną, a ty, Zosiu?

— Ani ja.

— Może przejdziemy się trochę po ogrodzie, tu tak duszno.

— Bardzo chętnie, mamo.

Wyszły.

Wieczór czerwcowy był cichy i pogodny. Na ciemno-szafirowem niebie królował jasny księżyc, przytłumiając swym blaskiem gwiazdy; tylko tu i owdzie na nieboskłonie, jak drobne migotliwe światełka purpurowe, białe lub pomarańczowe, błyszczały gwiazdy pierwszorzędne z ciemnego przestworza.

Czarne cienie drzew, przerywane jasnemi smugami bladego światła księżycowego, zdawały się ukrywać jakieś tajemnice, jakieś spiski istot niewidzialnych, a cała przyroda brała w tem udział. Drzewa szemrały szeptem liści, kwiaty zroszone wyprostowały się, chcąc posłyszeć tajemne rozkazy; ćmy przelatywały bez szelestu z drzew na klomby, jak gdyby spełniały polecenia, zawiadamiając kwiaty o zapadłych uchwałach; dzwonienia komarów budziły uśpionych, a gdzieś z głębi ogrodu wtórowała tej cichej pracy pieśń słowika, spadająca w kaskadach jak potok górski, to szumiący wśród głazów, to drgający nad przepaścią, w którą się rzuca.

Szły w milczeniu, a taka była cisza, że szmer piasku pod naciskiem bucika stawał się wyraźnym głosem.

— Jak tu spokojnie, pięknie w Miłoszycach — szepnęła rozmarzona córka.

— Prawda, Zosiu... powiedziałaś to jednak tonem, jak gdybyś obawiała się utracić Miłoszyce...

— Nie myślałam o tem, mamo, tylko zachwyca mnie ta noc pogodna.

— Urok pogody odczuwamy, moje dziecko, gdy w nas samych jest pogodnie; sądzę, że dziś spotkało cię coś przyjemnego; podaj mi rękę, Zosiu, oprę się... Cóż ci mówił pan Świetnoski?

Weszły w ciemną aleję, pełną czarnych cieni i migotliwych przebłysków światła księżycowngo; tu było jeszcze bardziej zacisznie, a z drzew i ziemi biły ciepłe opary. Panna Zofia przytuliła się do matki i zaczęła cichym, dźwięcznym głosem:

— Mama pamięta, że w poprzednim karnawale on... pan Świetnoski — poprawiła się — prawie wyraźnie starał się o mnie...

— Wiem, Zosiu, wiem... a potem ani razu nie przyjechał — westchnęła, przypomniawszy sobie, że córka cierpiała nad tem.

— Dziś wytłómaczył się — zaczęła żywiej; on miał poważne przyczyny...

— Jakie?

— On nie miał dotychczas dostatecznych środków, aby módz się ożenić.

— Tak?... Kiedyż będzie je miał?

— Spodziewa się, że wkrótce, ale to zależy od różnych względów.

— Jakże ci to powiedział? Kiedy?

— Mama wie przecież, jak on mówi, niby o poezyi, słońcu, kwiatach, ale tak jasno, przejrzyście, że nie można się pomylić, co ma na myśli.

— Pamiętam, pamiętam, moje dziecko... czy i dziś mówił tak samo?

— O, nie, mamo, dziś mówił zupełnie inaczej— rzekła z żywością.

— Opowiedzże mi, Zosiu—mówiła łagodnie.

— Byliśmy przy klombie floksów Julci; mama wie już gdzie?

— Wiem.

— I mówił, ale tak wprost do mnie, że we

Lwowie ma szczupłe, ciemnawe mieszkanie... że nie chce i nie może narażać mnie na biedę i braki...

— Zosiu, i pan Świetnoski powiedział ci to bez omówień? Wprost?

— Ależ moja mamo, gdybym ja mówiła do mamy, że mi żal pól i łąk naszych, że będę tęskniła do ogrodu i domu rodzinnego, czy mogłaby mama inaczej to rozumieć, jak, że mam na myśli tylko mamę i tatusia, bo przecież Miłoszyce są dlatego dla mnie tak miłe i drogie, że tu mam rodziców.

— No, tak, zapewne... masz słuszność, Zosiu. I cóż dalej?

— Ach, mówił dużo i, jak zwykle, bardzo pięknie i poetycznie, porównywał mnie ze słońcem, z kwiatami...

— Czy ci się oświadczył?

— Przecież już tłómaczyłam mamie, że teraz czuje się on za biedny... gdy jednak jego ojciec zostanie posłem, on w tej chwili będzie awansował i otrzyma pensyę wysoką.

— Teraz nic nie rozumiem, moja Zosiu... ojciec jego posłem... on awansuje... wytłómacz się jaśniej.

— Zaraz mamie powiem... On mówił tak, pokazując na floks, potem na różę, a właściwie do mnie i o mnie, że nie bywał u nas, bo pracował cicho i wytrwale, aby dostać awans, i zawiódł się... jest jednak pewny, że otrzyma bardzo dobrą posadę, skoro jego ojciec będzie posłem, bo poseł ma znaczne wpływy, wspomniał coś o namiestniku... ale ja dobrze nie rozumiałam.

— I cóż ty na to, Zosiu? — spytała po chwili matka.

— Ja?... Cóż miałam odpowiedzieć? Słuchałam, ale wie mama, tak, że niby nie rozumiałam, a niby wierzyłam, że o kwiatach mówi, bo przecież mnie nie wypadało zaraz brać każdej aluzyi do siebie, mógłby myśleć, że mu się narzucam... Nieprawdaż, moja mamo?

— Prawda, prawda — westchnęła — i na czem się skończyło?

— To już koniec... czy nie dosyć? Wytłómaczył się, dlaczego nie był u nas, powiedział, jakie plany ma na przyszłość... ale już widzę, że mama niezadowolona, mama chciałaby zaraz, aby oświadczył się formalnie, padł na kolana, prosił o błogosławieństwo, jak zwykle... a on jest człowiek zupełnie różny od tych przeciętnych.

— Widzę to, widzę, że niezwykle się stara... ale jaki będzie koniec i kiedy?

— Ach, mamo, czy już tak dokuczyłam mamie w domu?—zawołała z żalem.

— Ależ, Zosiu, ty jesteś moja najmilsza, tylko wiesz, jestem niespokojna...

— Mama zawsze niespokojna o nas — zaśmiała się—ale to niepotrzebnie, wszystko będzie dobrze, zobaczy mama.

— Daj Boże... daj Boże... a co ty, Zosiu, myślisz o tem wszystkiem?

— Nie zastanawiałam się jeszcze, to takie było niespodziewane, i czasu nie miałam, najpierw byli goście, a potem z mamą... Ale wie mama — śmiała się wesoło—chciałam zrobić coś bardzo niedorzecznego, na szczęście, wstrzymałam się.

— Cóż takiego?

— Gdy przy kolacyi była mowa o kandydatach na posła, i tak długo zastanawiano się, kogo postawić, chciałam powiedzieć: „Macie tu, panowie, posła pomiędzy sobą, dlaczego nie wybierzecie pana Świetnoskiego?" Ale wstrzymałam się.

— Bardzo dobrze zrobiłaś, Zosiu, takie odezwanie się byłoby niewłaściwe wogóle, a zwłaszcza po tem, co on ci mówił.

— To też nie powiedziałam... mamo; czy myśli mama, że pan Świetnoski zostanie posłem?

— Nie wiem... A ty, czy chciałabyś tego?

— Naturalnie... Ten biedny pan Władysław

pracuje, stara się i nie może awansować... on ma małą pensyę; nie wie mama, ile mieć może?

— Zkądżebym wiedziała... ale pewno tatuś wie... Więc pan Świetnoski chce zostać posłem?

— Namówił go syn; sam się przyznał.

— Hm... gdyby jednak tatuś kandydował? — rzuciła od niechcenia.

— Tatuś, a po cóż tatusiowi nowe jeszcze kłopoty, wyjazdy, obowiązki? ileż to razy z posiedzeń przyjeżdża zmęczony, spracowany. Mama sama była przecież przeciwną, aby tatuś został posłem, a chce pan Świetnoski, tem lepiej, niech zostanie.

— Wątpię, czy tatuś zgodzi się na wybór?

— A to dlaczego? Pan Świetnoski jest dobry, uczciwy, zapewne kończył szkoły, dosyć stary, aby znał się na sprawach krajowych, czy to nie wystarcza? Moja mamo kochana—mówiła z przymileniem— niech mama wpłynie na tatusia, ale koniecznie.

— Ja?... Wiesz, że tatuś nie lubi, gdy mieszam się w takie sprawy, a zresztą nie mam wpływu takiego.

— Ależ mamo—zaśmiała się — przecież mamy oczy i uszy; mama myśli, że ja nic nie spostrzegam... A ileż razy tatuś mówi „nie", i grozi, i złości się, a w końcu zrobi, jak mama chciała.

— To tylko w drobnostkach i to nie zawsze.

— Moja mamo, ale niech mama spróbuje, tylko, mamo kochana, szczerze; jestem pewna, że tatuś się zgodzi; przyrzeka mi mama, co?

— Dobrze, moje dziecko, pomówię z tatusiem...

— Ale kiedy? Możeby dziś?

— Już sama znajdę stosowną chwilę.

— Jutro jednak napewno.

— Zobaczymy.

We dwa dni po tej rozmowie przyjechał pan Zawierzycki z miasta dosyć późno na obiad. Do stołu siadł chmurny, odpowiadając opryskliwie żonie

i córkom. Dopiero w końcu obiadu rozjaśnił się trochę, co spostrzegłszy żona, spytała go łagodnie:

— Czy spotkało cię co niemiłego w mieście?

— Dlaczego?

— Nietylko ja, ale i dzieci spostrzegły, że wróciłeś inny, niż zwykle.

— I ty na mojem miejscu byłabyś taka... Wyobraź sobie, że chłopi w naszym powiecie chcą postawić kandydata swego.

— Jakto, chłopa?—zdziwiła się szczerze.

— Żeby to chłopa!... Z chłopem można trafić do ładu, jeśli ma zdrowy rozum, łatwo usłucha mądrzejszych i nie ma śmiałości występować przeciw uznanym prawom... ale u nas gorzej, bo wyrwali gdzieś jakiegoś pół-mędrka, który skończył szkoły i zaraz pnie się na posła.

— Któż to taki?

— Syn chłopa z Bruśnik, jakiś Borek... i on kandyduje!! Nie, to niemożliwe, sam będę kandydował, a nie dopuszczę, aby u nas wybrano jakiegoś demagoga.

Panna Zofia patrzyła błagalnie na matkę, osądziwszy, że nareszcie nadeszła stosowna chwila, aby poprzeć projekty pana Świetnoskiego.

— Mój kochany — zaczęła żona, porozumiawszy się oczami z córką—sam mówiłeś, i wiesz najlepiej, że posłowanie zmęczyłoby cię do reszty. Czyż niema ludzi innych? Dlaczego ty sam masz ponosić wszystkie ciężary?

— To trudno, od obowiązków uchylać się nie wolno... Ale pokaż mi innych...

— Wspominałeś przecież o panu Gosickim?

— Tak, narazie wydał mi się dobrym, ale to człowiek chwiejnych przekonań, nie mogę ręczyć za niego, a proponując, już ręczę.

— A więc Swietnoski, albo Grzaliński?

— Oni?!—zaśmiał się—Świetnoski w interesach, zależny od wierzycieli, i teraz usunął sobie ostatnią

deskę ratunku, sprzedawszy las prawie za bezcen. Kto nie umie na swojem gospodarować, jakże ma gospodarzyć krajem?

— Ale to człowiek stałych przekonań; sam mi mówiłeś.

— Zapewne, tylko, że nawet dla mnie zanadto jednostronny: po za szlachtą i interesami większej posiadłości nic nie widzi.

— Zawsze on lepszy od chłopa.

— O tem niema co i mówić... Ale jak polecać komitetowi centralnemu Świetnoskiego?... Jeszcze pomyślą, że działam w interesie osobistym—i spojrzał w stronę Zosi.

— Któż śmiałby ciebie o to podejrzewać? — zawołała tonem bardzo szczerym — a z dwojga złego wolę zawsze mniejsze. Ma być ów kandydat chłopski wybrany, lepszy jest Świetnoski.

— No tak, ale z czystem sumieniem nie mógłbym go polecić, a tem mniej Grzalińskiego, który po za swoją osobą niczem się nie interesuje.

— I mnie się zdaje, że pan Świetnoski byłby lepszy... ten nowy kandydat chłopski jest z jego wsi, łatwiej więc właścicielowi uzyskać przewagę u tych chłopów, aniżeli komu innemu.

— Hm... to prawda... ale nie, on zanadto zaciśnięty w swojem kole...

— Mógłbyś mu jednak poddać tę i ową myśl, onby cię usłuchał.

— No tak, on ulega mi do pewnego stopnia, ale jeśli się uprze?...

— Można przez syna wpłynąć, a on wydaje się rozsądny i zna kraj.

— Syn jego?... To rozsądny człowiek i korzystnie świadczy o nim, że sam pracuje, zamiast siedzieć na karku ojca... Hm... stary Świetnoski miałby poparcie starostwa przez syna, to już dużo znaczy...

— Na cóż się decydujesz?

— Jeszcze nie wiem, namyślę się, sam nie będę kandydował, byłoby mi istotnie za ciężko, ale i co do Świetnoskiego, mam poważne wątpliwości... hm... może postawię kilku kandydatów; niech wybierają sami... Ale, ale, jakże stawiać Świetnoskiego bez jego wiedzy i woli?

— Mówił mi pan Władysław — odezwała się zarumieniona córka — że namawia ojca, aby kandydował.

— Tobie mówił?—zdziwił się.

— Tak jest.

— Hm... czemuż nie powiedział mi tego, gdyśmy rozmawiali o kandydatach?

— Może nie śmiał—szepnęła.

— Wiesz, Antosiu, to przecież tak trudno mówić o sobie i stawiać swoją kandydaturę — dorzuciła żona.

— Trudno nie jest, a jeśli się ma szczerą i prawdziwą chęć służenia krajowi, mówi się o tem głośno. Szczerość, to najlepsza droga... a to postępowanie pachnie coś mydleniem oczu.

— Jakiś ty podejrzliwy, Antosiu, zaraz przypuszczasz coś złego; dlaczego nie wziąć najbliższej prawdy?

— Jakiej?—uśmiechnął się.

— Obawiał się kompromitacyi wrazie niepowodzenia.

— To byłoby możliwe... No, dosyć o tem. Nie był tu kto u mnie?

— Nie, tylko przyszły jakieś papiery; są na twojem biurku.

— Idę do siebie; każ mi tam podać kawę.

III.

Pani Świetnoska i panna Irena czekały niecierpliwie końca pierwszego śniadania, pragnąc dowiedzieć się szczegółów wczorajszej wizyty panów u państwa Zawierzyckich; przyjechali bowiem zbyt późno z Miłoszyc gdy obie panie udały się na spoczynek, wobec zaś usługującego do stołu lokaja nie chciały wszczynać poufniejszej rozmowy, ograniczając się na obojętnych pytaniach.

Wreszcie przeszli do saloniku, panie usiadły, a panowie zapalili cygara.

— Opowiedz-że, Stefanie, co słychać z twoją kandydaturą?

Pan Świetnoski chmurny, patrzac w tej chwili na szary, dżdżysty dzień, odpowiedział opryskliwie:

— Dajcież mi spokój z tem poselstwem; ono mi nie w głowie... Wczoraj kazałem ciąć łąki nad Bystrą, a dziś mokną pokosy na deszczu; ładne będzie siano.

— Co pomoże narzekanie i irytowanie się — wzruszyła ramionami. — Dał Bóg deszcz, da Bóg i pogodę.

— Kiedy to tylko ja mam taki pech — żalił się. — Zdawało się, że pogoda ustalona, a tu nagle deszcz... Dlaczego taki Grzaliński nie kosił, a ja kazałem zwołać kosiarzy...

— Więc i pan Grzaliński był wczoraj? O czemże była mowa?

— Zdaje się, mamo — przemówił syn — że pan Grzaliński chciałby kandydować; przynajmniej miał minę, jak kot do sadła?

— Czy podobna?—zawołała panna Irena.

— Nie zauważyłem tego—mruknął ojciec.

— Ależ papo, napewne chce i sądził, że podczas rozmowy ktoś, może nawet sam marszałek, postawi go jako kandydata.

— Hm... a może?... Co się też roi ludziom: taki Grzaliński, ni to z pierza, ni z mięsa, przycupnął, jak zając na tej wiosce, dba tylko o swe wąsy i włosy, chodzi, jakby kij połknął, a pnie się na posła — mówił z oburzeniem.

— Jego zarozumiałość nie jest dla nas szkodliwa — uspokajał syn. — Ani marszałek, ani starosta, ani żydzi go nie poprą, zanadto skąpy i łakomy na grosz.

— Zdaje się, że on się umizga do Zosi Zawierzyckiej—zrobiła uwagę panna Irena.

— Ej, chyba nie, Zosia dla niego za młoda — osądził ojciec.

— Tak znów bardzo młodziutka nie jest, ma rok dwudziesty—mówiła pani—a Grzaliński może ma czterdzieści.

— Z dobrą górą—zaśmiał się syn.

— O, co to, to nie... Władziu, czy była mowa o kandydatach?

— Wie mama, kogo marszałek chciał zaproponować?... Nie zgadnie mama, więc powiem: oto Gosickiego!...

— Także coś nowego! Gosicki, a ten zkąd do tego przychodzi? Dziad był kupcem, ojciec wieś zakupił, a syn już posłem!

— Pierwszy też papa, a za papą inni zakrzyczeli marszałka za ten wybór, i muszę przyznać, że odstąpił go z lekkiem sercem.

— W tej sprawie, ty mistrzowsko wziąłeś Zawierzyckiego—uśmiechnął się ojciec.

— Jak? Jak? Opowiedz—zawołała matka, uradowana tryumfem syna.

— Mama zna przecież Zawierzyckiego; on zawsze na pierwszy strzał wysuwa przekonania. Nasunąłem mu też wątpliwości co do Gosickiego... i zrzekł się projektu.

— A o papie nie było mowy? — spytała panna Irena.

— Nie mogło być—mówił z podrażnieniem pan Świetnoski — bo Zawierzycki wysunął swoją kandydaturę.

— Za pozwoleniem papy — uśmiechnął się syn z ukłonem — przecież o kandydaturze papy już mówiłem.

— Ty? Kiedy?

— Powiedziałem pannie Zofii.

— Ważna mi figura—zadrwił ojciec.

— Zobaczymy, papo — uśmiechnął się tajemniczo—kobiety dużo mogą, a zwłaszcza ładne.

— Zosia dobrze wyglądała? — spytała szybko siostra.—W jakiej była sukni?

— Bardzo dobrze, była w sukni blado-niebieskiej, ładnej, zgrabnej i było jej do twarzy.

— Niebieska batystowa, z wysokim kołnierzykiem—mówiła zwolna.

— Tak jest.

— Znam tę suknię, była w niej w kościele, pamięta mama?

— Przypominam sobie... Czy ona zawsze równie dobrze usposobiona dla ciebie, Władziu?

— Z początku, narazie, chciała grać rolę obrażonej, ale ostatecznie przeprosiła się—uśmiechnął się z odcieniem tryumfu.

— Ostrożnie, Władziu, jeszcze się sam w niej zakochasz—zażartowała siostra.

— Niema obawy, Irenko — zaśmiał się — zanudziłby mnie stary przekonaniami...

— Czy Zawierzycki cofnął swą kandydaturę? — spytała matka.

— Prawie... wytłómaczyłem mu, że powiat nie może się obejść bez niego i on w to uwierzył.

— A ja myślałem, że mówiłeś o tem seryo? — zadziwił się ojciec.

— Tam mówiłem bardzo seryo, ale tak między nami powiedziawszy, czy ten lub ów będzie marszał-

kiem, to naprawdę rzecz obojętna; zawsze jest tylko tytuł, a władza żadna.

— Tak znów nie jest—rzekł ojciec.—Rada powiatowa ma swoje wpływy.

— Coś w rodzaju praw moralnych—zaśmiał się ironicznie—są tacy, którzy ich słuchają, ale większość grzeszy.

— Więc pocóż namawiałeś mnie do Miłoszyc? Przecież nie dlatego, abym się dowiedział o jego kandydaturze?

— Z papy lichy polityk. Skorzystaliśmy dużo: wiemy, jak stoimy w radzie powiatowej i zawiązaliśmy węzeł tam, gdzie już było bardzo luźno. Teraz najważniejsza rzecz komitet centralny, mam w nim znajomych i przez ich wpływy może się uda coś zrobić, a swoją drogą trzeba puścić pogłoskę w powiecie, że papa kandyduje.

— To mój Szaja jest najlepszy do tego — uśmiechnął się ojciec.

— Dobrzeby było, gdyby w jakim dzienniku wspomniano o tem.

— Hm... prenumeruję „Czas" i „Gazetę Lwowską," możeby im napisać; powinni to zrobić dla prenumeratora...

— A nie wie papa, kto jest korespondentem tutaj?

— Mówią, że ktoś tam pisze z naszego miasta, podobno jakiś nauczyciel, czy też aptekarz, ale napewno nie wiem... No, a ty we Lwowie?

— Hm... widuję wprawdzie dziennikarzy w teatrze, niby się znam z nimi, ale... ha, spróbuję zresztą.

— A starostwo, Władziu—przypomniała matka.

— I tam trafimy; bliższych szczegółów dowiem się najpierw w namiestnictwie... a w najgorszym razie bowiem sądzę, że Zadębiński zrobi pewne ustępstwa dla mnie... Wogóle tego, do czego się zobowią-

załem, aby przeprowadzić wybór papy, postaram się dotrzymać.

— Jakiś ty dobry, Władziu—mówiła rozczulona matka.

— Moja mamo, przecież to leży w moim interesie—uśmiechnął się—i gdybym miał czas, pomógłbym papie w jednaniu dla niego księży i żydów.

— Tych zostaw już mnie—rzekł ojciec—z kanonikiem jestem dobrze i wogóle z księżmi, a żydom poradzi mój Szloma; ty postaraj się tylko o pozwolenie na wyrąb, gdyż bez tego będzie z nami źle, nawet bardzo źle.

— Jutro jadę, papo... a co do księży, radziłbym wstrzymać się jeszcze do chwili, gdy wyjaśni się sytuacya w radzie powiatowej, no i w komitecie centralnym, bo księża, jak wojsko, słuchają tylko swoich przełożonych, a ci są w związku z komitetem. Gdyby papa miał czas, dobrzeby było pojechać do tego i owego... ale po sąsiedzku.

— W moim wieku takie rozjazdy to za wielki ciężar—westchnął.

— Mój Stefku, nie zapominaj, że to dla dobra dzieci—upominała żona łagodnie.

— Wiem, wiem, ale to nie zmniejsza przykrości—a widząc chmurną minę żony, dodał:—Pojadę jednak, cóż mam robić?

Wszedł lokaj, mówiąc tonem służbowym:

— Jaśnie panie, przyjechał ekonom z Sęka.

— Dobrze, zaraz przyjdę.

Wstał zwolna, mówiąc zgryźliwie:

— Pewnie znów po pieniądze; w tem gospodarstwie wiecznie trzymaj rękę w kieszeni.

Po jego wyjściu spytała siostra:

— Władziu, jak sądzisz, czy papa zostanie posłem?

— Dziecinne pytanie – uśmiechnął się z ironią.— Jeszcze karty nie rozdane, a chcesz wiedzieć, kto

wygrał. Zaczekajmy na licytacyę, a dopiero poznamy, co kto ma w ręku.

— Ty wiesz — mówiła z grymasem niezadowolenia — że nie grywam w karty; powiedz mi bez aluzyi.

— Ręczę, że mama zrozumiała—zaśmiał się— a tobie wyjaśnię zasadę gry, bo jej znajomość bywa potrzebną we flircie. Otóż w kartach wygrywa ten, który ma atuty... Takie atuty chcę dać papie, bo komitet centralny, starostwo, radę powiatową; a młodsze atuty powinien papa sam zdobyć: księży i żydów; młódki prawie się nie rachują, to jest mieszczaństwo i chłopi, ale dobrze jest mieć je w swoich kartach. Zrozumiałaś?

— Dziękuję ci, będę pamiętała o atutach, ale nie zapomnij i ty, mój Władziu, że bardzo mi zależy na poselstwie papy...

— Wierz mi, Irenko, że i ja dużo rachuję na to.

— Wiesz, Władziu — mówiła, ożywiając się — z mamą projektujemy już, jak będziemy się bawiły we Lwowie na zabawach, piknikach... nawet mówiłyśmy o sukniach; czy sądzisz, że we Lwowie zrobią modnie i dobrze, czy lepiej sprowadzić z Wiednia model sukni?

— Zawsze Wiedeń pewniejszy — odpowiedział z miną znawcy.

— A widzi mama—zawołała tryumfująco—i ja to samo mówiłam.

— Moja Irenko i ja to wiem, ale to koszt znaczny, a my musimy się oszczędzać — westchnęła — a zresztą nie żałowałabym wydatku, bylebym była pewną, że to przyda się na co.

— Ach, we Lwowie tyle młodzieży! Zresztą, będziemy miały Władzia.

— Mamo — odezwał się syn — a w tym karnawale nikt się nie trafiał Irence?

— Wiesz, Władziu, to rzecz szczególna z tą

Irenką... Na zebraniach, balach otoczona jest młodzieżą, zamęczają ją tańcem; nie jestem przecież matką zaślepioną, widzę, że ładna, jedna z najładniejszych i podoba się ogólnie, a jednak nie ma starających się na seryo.

— Cóż dziwnego — zaśmiała się panna Irena z przymusem — tu takie pustki, kto ma się starać o mnie?

— Hm... to dziwne—szepnął syn.

— Myślałem narazie, że Dobieradzki, był coś dwa razy z wyraźną intencyą, a teraz jeśli zajrzy, to tylko z krótką wizytą.

— Ee... on taki brzydki, nieznośny — dorzuciła panna Irena.

— Nie przebieraj, Irenko—upominał brat—teraz ciężkie czasy, a jeśli panna nie ma wielkiego posagu, nie powinna być wymagająca.

— Mówię jej to samo—szybko dodała matka — jestem prawie pewna, że ona zraziła sama Dobieradzkiego, a od biedy byłby mąż z niego; ma, bądź co bądź, majątek.

— Kiedyż on taki niemądry!

— Tem lepiej dla ciebie, Irenko, łatwiej go poprowadzisz... Choć, prawdę powiedziawszy, on nie podoba mi się także... ale w ostateczności, lepszy rydz, niż nic.

— Tobie, Władziu, dobrze mówić, bo nie będziesz z nim żył—odezwała się podrażniona siostra—ale mieć zawsze przed sobą te jego faworyty, łysinkę i ten wieczny uśmiech, dziękuję... innej rady oczekiwałam od ciebie...

— Jakiej?

— Masz tylu kolegów, znajomych, tylu młodych ludzi z pozycyą w świecie, dlaczego żadnego nie przywieziesz do nas? Nie zaprezentujesz? — mówiła z żalem.

— Irenka ma racyę—dorzuciła matka.—Mógłbyś to zrobić dla siostry.

Przez chwilę spoglądał na obie badawczo swemi ciemno piwnemi oczyma, wreszcie rzekł zwolna:

— Nie dziwię się Irence, ale że mama robi mi tego rodzaju wymówki, to jest dla mnie niespodzianką.

— A to dlaczego?

— Mama zna przecież świat; mam wprawdzie kolegów, którzyby byli odpowiednią partyą dla Irenki, ale oni są w takiem samem położeniu, jak i syn mamy. Urodzenie, herb, wychowanie, wszystko dobre, ale brak monety ogólny... W jakim więc celu mam ich przywozić, gdy wiem, że bez posagu i to dobrego, żaden z nich nie ożeni się, chociażby się zakochał do szaleństwa; chyba przywiózłbym ich na to, aby narazić rodziców na znaczne wydatki.

— Czyż wszyscy są tak interesowni?—zawołała z niedowierzaniem siostra.—Iluż się żeni bez posagu, a nawet biorą panny bez nazwiska!

— Są i tacy, ale to zwykle ludzie z niższej sfery; jedni żenią się dla protekcyi rodziny żony, inni z tak zwanej miłości, a wszyscy biedują z żonami. Przecież ciebie na nędzę narazić nie chcę i nie mogę.

Matka, wzdychając ciężko, przytakiwała wywodom syna.

Po dobrej chwili milczenia odezwała się panna Irena głosem zmienionym:

— Jeśli takich masz znajomych, mój Władziu, pocóż mamy jechać do Lwowa? Lepiej już siedzieć w domu, a wyjechać gdzieś do wód.

— Tak źle znów nie jest—pocieszał brat—jesteś ładna, młoda, świeża, masz dobre nazwisko, to zawsze ktoś odpowiedni łatwiej znajdzie się we Lwowie podczas zjazdu na sejm, aniżeli tu, na głębokiej prowincyi... Tylko uprzedzam, suknia modna, bogata i ostrożność wyboru, nawet dla flirtu.

— O to jestem spokojna—zawołała matka;—ty,

Władziu, nie znasz Irenki pod tym względem; ona potrafi trzymać śmiałków zdaleka.

— To bardzo dobrze—pochwalał—bo teraz lada doktór, jakiś profesorzyna, już uważa siebie za równego innym i wcale niedwuznacznie nadskakuje pannom, i to bogatym, z dobrego rodu.

— Że też matki pozwalają na to — przemówiła ze zgorszeniem pani Świetnoska.

— Moja mamo, przecież panna nie tańczy z matką, to rzecz wychowania i taktu córek.

— I to racya... Chwała Bogu, że Irenka jest inna — i spojrzała z miłością, pełną uznania na córkę.

— Ależ mama mówi to takim tonem—przemówiła panna Irena — jak gdybym była jeszcze tą niemądrą dziewczynką z pensyi, a ja wiem już, co życie i rozumiem, że w naszych stosunkach nie mogę tracić czasu na bezcelowe przyjemności.

— Ho, ho, ho, takaś mądra!? — roześmiał się brat.

— Ty się dziwisz, a to takie naturalne. Jakiś ty, Władziu, szczęśliwy, że nie mieszkasz nieustannie z nami — skarżyła się. — Od rana do wieczora narzekania na brak pieniędzy, wszystko się oblicza, każdy cent się waży, nad każdą drobnostką długie debaty...

— Tak źle znów nie jest: masz przecież co jeść, w co się ubrać, służbę na zawołanie; czegoż chcesz więcej?

— To na zewnątrz, ale ty nie wiesz, ile razy przerabia się to i owo, jak starannie oglądają się buciki, rękawiczki, jak szanuje się każdą nową suknię...

— To nic nie szkodzi; przejdziesz dobrą szkołę— zażartował.

— Jakaś ty jednak, Irenko, niewdzięczna — żaliła się matka — a kiedyż ja sobie co spra-

wiam? Czy nie staram się, byś miała wszystko ładne i modne?

— To też nie narzekam na mamę, ja wszystko to uznaję, ale żyć ciągle w atmosferze niedostatku i braku, oglądać się przy każdym wydatku, to może nareszcie się sprzykrzyć.

— Istotnie, papa prowadzi swoje interesy niezbyt świetnie—westchnął syn.

— Wiem i ja coś o tem—szepnęła matka.—To też mojem jedynem marzeniem jest zabezpieczenie waszego losu.

Wszedł pan Świetnoski, stąpał ciężko, a z twarzy zaczerwienionej, z krótkiego oddechu znać było rozdrażnienie, przeszedł raz i drugi pokój w milczeniu i przystanął przed synem.

— Otóż masz i dochody gospodarskie — rzekł drwiąco. — Przyjechał ekonom z Sęka, naturalnie po pieniądze, a w dodatku z wiadomością, że padły dwie krowy i to dobre!

— A to nieszczęście—zawołała żona—i które? Czy te srokate?

— Nie te, wiesz, ta z jasnym rogiem, i ta siwa, co to zginęło jej cielę na wiosnę.

— Wiem, wiem... Chwała Bogu, że nie tamte, te obie były stare.

— Stare! a to mi się podoba, byłbym postawił na opas i można było wziąć dobry grosz.

— Tak, zapewne... i jaka przyczyna?

— Jaka? Zawsze jedna i ta samz: niedozór; jedna się wzdęła, pewno koniczyny się najadła, a druga struła się czemś w polu... Żeby chociaż był kazał dorznąć, mięso rozkupiliby chłopi, rozebrali na odrobek, a tak zostały tylko skóry.

— Tak, tak, to znaczna szkoda — dodał syn, obojętnie przypatrując się czystości swych paznogci.

— A przecież nikt mi nie może zarzucić, że nie pilnuję gospodarki; nie ruszam się z miejsca, nie

jeżdżę po sąsiadach, po miastach, a jednak nie idzie i nie idzie.

— Możeby zmienić oficyalistów — doradzał pan Władysław.

— Co to pomoże, ci przynajmniej nie kradną, a Bóg wie, jakich dostanę... i co tu dziać się będzie, jak ja wyjadę?!

Pan Władysław stłumił uśmiech ironiczny, gdyż wiedział z dawnych czasów, że i na folwark trudno było ojcu wyjechać, jednak powiedział z powagą:

— Papa zostawi piśmienne rozkazy, ustanowi odpowiedzialnego dozorcę, i jakoś to będzie... Zresztą sejm obraduje przeważnie w zimie, bo dla właścicieli ziemskich jest to pora najswobodniejsza.

— Ach, to całe poselstwo jest mi tak potrzebne, jak piąte koło u wozu — westchnął ojciec.

— A jednak sam papa mnie uczył, ażebym, gdy coś postanowię, to chociażby pioruny biły, doprowadził do skutku.

Ojciec uśmiechnął się z zadowoleniem, spojrzał nie bez chełpliwości pedagoga na żonę i córkę, i rzekł tonem stanowczym:

— To było i jest moją zasadą; ludzie wiedzą o tem, to też nie mogę się skarżyć na brak szacunku.

I wspomniał czasy swej młodości i zapału, gdy w gronie swych rówieśników często rej wodził, gromiąc i piętnując złe postępowanie władz, rozporządzenia rządowe, albo liche zachowanie się jednostek w powiecie. Wyprostował się, rozjaśniła mu się twarz, i nie bez poczucia własnej wartości i zasług spojrzał na rodzinę.

Wśród chwilowego milczenia odezwała się pani Świetnoska:

— Możebyś co zjadł, Władziu? Do obiadu jeszcze ze dwie godziny...

— I owszem, mamo... zjem chociażby dlatego, że deszcz pada i nawet przejść się nie można...

W pokoju jadalnym ojciec, nalewając wódkę w kieliszki, spytał:

— Napijesz się, Władziu?

— Naturalnie, papo.

Ojciec się zaśmiał.

— A jednak wczoraj nie piłeś u Zawierzyckich.

— To moja polityka — uśmiechnął się — marszałek sam nie pijo, panie wogóle nie lubią pijących, po cóż mam sobie psuć opinię dla marnego kieliszka.

— Za moich czasów nie znaliśmy tych finezyi podobania się, a jednak kochaliśmy się i byliśmy kochani, nieprawdaż, Celinko? — zwrócił się do żony.

— Dałbyś też spokój z takiemi żartami, masz przecież dorosłe dzieci.

— Dobre mi żarty, szcścioro dzieci — zaśmiał się głośno.

— Stefku, robisz mi tem przykrość, daj spokój — i zwróciła się do syna: — Mój Władziu, spróbuj tej szynki, bardzo dobra i krucha.

— Istotnie, mamo, doskonała — mówił, jedząc — takiej nie dostanie nigdzie, tylko w domu, u mamy.

— Jeśli ci smakuje, to bierz więcej...

— Władziu — odezwała się siostra — czy panowie Dobieradzki i Grzaliński bywają w pewnych celach u państwa Zawierzyckich?

— Prawdopodobnie bywają w pewnych celach, ale w jakich, nie wiem — zaśmiał się żartobliwie.

— Ty przecież mnie rozumiesz: czy starają się o pannę Zofię?

— Zdaje mi się, że nie, a o ileby starali się o nią, jestem pewny ich rekuzy.

— Pan Grzaliński, to jeszcze, ale kto wie, czy nie wyszłaby Zosia za pana Dobieradzkiego — dorzuciła matka.

— O ile zauważyłem, mamo, ani jeden, ani drugi, nie zbliżali się do niej, ani też ona do nich.

— I jak mieli się zbliżyć — uśmiechnął się ojciec — gdy ty nieustannie rozmawiałeś z panną.

— A cóż oni robili? — zdziwiła się panna Irena.

— Rozmawiali z marszałkiem i ze mną o gospodarstwie, urodzajach, cenach...

— No i o kandydatach — dodał syn.

— Tak, to prawda... Ale, ale zapomniałem o Szai... — zwrócił się do lokaja — pchnij tam kogo po Szaję, niech przyjdzie po obiedzie.

— Słucham, jaśnie panie— odpowiedział i znikł za drzwiami.

— Papa jednak bierze się energicznie do dzieła — rzekł syn z uznaniem.

— Trudno mój kochany, nie mogę się przecież narażać na kompromitacyę; jeśli mam być posłem, to będę nim, chociażby tu pioruny biły—mówił z uśmiechem pewności siebie i lekkiej dumy.

— Teraz jestem już pewny poselstwa papy — zawołał wesoło—znam bowiem stanowczość i nieugiętość papy w przeprowadzaniu zamiarów.

— Wy mnie nie znacie — zwrócił się do całej rodziny — wam się zdaje, żem zaśniedział, stetryczał, zadomowił się, ale gdy rzecz idzie o sprawy ważne, o służbę dla kraju, to już idę choćby na bagnety. Ty, Celinko, podniecałaś mnie miłością dla dzieci, Władek swym awansem, Irenka zamążpójściem, i wam się zdawało, że będę posłem ze względów osobistych; mylicie się, główna rzecz to interes kraju, a upiecze się inna pieczeń przy tym ogniu, to już nie moja zasługa.

— Ależ Stefku, któżby ciebie podejrzewał o tak nizkie pobudki — zawołała żona. — Znam cię od lat trzydziestu, wiem już, jakim jesteś, a jeśli mówiłam o dzieciach, to tylko ubocznie, aby cię podniecić.

— Teraz śpiewasz inaczej — uśmiechnął się

rad z siebie — a przecież żadne z was nie wspomniało o kraju, dopiero sam musiałem zwrócić waszą uwagę.

Pan Władysław, gdy ojciec zaczął mówić, uśmiechał się ironicznie, jednak wkrótce spoważniał, nadał swej twarzy wyraz szacunku i współczucia i rzekł:

— Papa bardzo się myli w sądzeniu moich słów... Jeśli słońce świeci, nie będę krzyczał i głosił: oto dzień nam nastał, o tem wie każdy, po cóż gadać? Ale i o tem wie każdy, że szlachcic, herbu Gryf, zawsze ma na myśli służbę dla kraju i to w pierwszym rzędzie; zaniedba on swoje interesy, a idzie za głosem obowiązku. Jeśli mówiłem o sobie i o Irence, to tylko dodatkowo, aby coś powiedzieć, dorzucić...

— Ho, ho, Władziu, z ciebie polityk, mąż stanu — uśmiechnął się ojciec — ty dojdziesz wysoko, bo umiesz się obracać.

— Papa mi pochlebia — odpowiedział z zadowoleniem.

— Także coś nowego — obruszył się ojciec.— Mówię, co widzę, już ja obserwowałem cię u Zawierzyckich... pannie nadskakiwałeś, ojcu pochlebiałeś, a matce szafowałeś szacunkiem... O, gracz z ciebie nielada.

— Ależ, papo, ja nie udawałem, istotnie panna ładna, miła, dobrze wychowana, podoba mi się i chętnie z nią rozmawiałem; marszałka szanuję za jego zasługi, a pani jest wielce dystyngowana.

— Otóż tak lubię — odezwała się matka— gdy o sąsiadach mówi się dobrze, z wyrozumiałością... inni powinni się uczyć tego od ciebie — kończyła, spojrzawszy na córkę.

— Czy mama mówi to do mnie? — spytała, chmurząc się Irena,

— Uderz w stół, nożyce się odezwą — zaśmiał się ojciec.

— Jeśli pozwalam sobie na jakie uwagi, to

tylko przed mamą, a nie przed obcymi — mówiła rozżalona — wreszcie zmusi mnie mama do zupełnego milczenia.

— Ależ Irenko, wiem przecież, co i kiedy mówisz, ale uważ, że Władzio nawet przy nas jest wstrzemięźliwy, to też napewno wobec obcych z niczem niepotrzebnem się nie wyrwie — tłómaczyła się matka.

— Wiem, ja wiem — odpowiedziała z uśmiechem złośliwym — wszystkie doskonałości widzi ma ma teraz we Władziu.

— Nie, moje dziecko, i Władziowi i tobie czynię uwagi jednakowe, gdy widzę coś niewłaściwego, tylko Władzio przyjmuje to spokojnie, a ty zaraz się irytujesz.

— Trochę się wypogadza — zwrócił się ojciec do syna — może pójdziesz ze mną do stajni... pokażę ci nowego reproduktora, powiadam ci, ogień nie koń.

— I owszem, papo, przechadzka przed obiadem jest potrzebna, zwłaszcza przed obiadem u mamy.

— A nie bawcie długo — mówiła matka — obiad będzie gotów za godzinę.

Wrócili w oznaczonym czasie i przy stole rozmawiali z wielkiem ożywieniem o koniach, gospodarstwie, o zaletach, a zwłaszcza wadach służby dworskiej.

W końcu obiadu obfitego i smacznego, gdy podano deser, oznajmił lokaj:

— Jaśnie panie, Szaja przyszedł.

— Niech zaczeka — mruknął, jedząc potrawę, a gdy skończył, zwrócił się do syna:

— Możebyś poszedł ze mną?

— Jeśli papa chce...

— Zostawże go nam, Stefku, na chwilę — mówiła żona. — Jutro już jedzie Władzio, a jeszcze teraz chcesz go zabrać.

— Hm... niechże zostanie, przecież go gwałtem

nie zabieram — mówił wstając — pogadam z nim chwilę i przyjdę do was na czarną kawę.

Szedł zwolna, ociężale i rozkazał przechodzącemu lokajowi:

— Zawołaj mi Szaję do kancelaryi.

Zaledwie usiadł na fotelu z głębokiem westchnieniem, uchyliły się nieznacznie drzwi i cicho wsunął się pachciarz, skłonił się głęboko, mówiąc z twarzą uśmiechniętą:

— Kłaniam jaśnie panu dziedzicowi — wyprostował się zlekka, poprawił zrudziałą jarmułkę i czekał słów z gotowym uśmiechem na opalonej twarzy, z rudawym, gęstym zarostem.

— Co, Szaja, słychać nowego? — spytał właściciel, wybierając cygaro.

— Co ma być słychać? Wszystko po staremu, nic nowego — i patrzył badawczo zielonkowatemi oczyma, chcąc odgadnąć przyczynę zawołania go do dworu.

— Jakże ci idą interesy? — mówił pan obojętnie, zapalając cygaro.

— Jak one mają iść? One całkiem stoją. Chłopi, oni piliby i brali wszystko na kredyt, bo teraz u nich bieda.

— Hm... czas przednówku, znam to, znam, ale za tydzień, za dwa, będzie nowy chleb u nich.

— Co to za chleb? — uśmiechnął się wzgardliwie. — Ma taki chłop zagon żyta, to zaraz zje; co taki chłop ma? Żeby nie zarobek we dworze, oni poginęliby wszyscy... a wypłata, jaśnie panie dziedzicu, będzie w niedzielę?

— Jak powiedziałem, tak i będzie, a co tobie do tego?

— Co ma być? Ja tylko tak pytałem... Oni

mi winni, to ja chciałem wiedzieć, czy dostaną, bo chłop wziąć weźmie, ale oddać nie chce.

Po chwilowem milczeniu pan, rozparłszy się lepiej, spytał:

— Mój Szaja, a co we wsi słychać?

— Co ma być słychać?... Głupi chłopi robią wielki gwałt i narzekania.

— O co? — zdziwił się.

— Nu, o ten las... oni mówią, jak jaśnie wielmożny dziedzic sprzedał las, to gdzie oni dostaną drzewa na budynki i na opał...

— Któż im powiedział o tem, czy ty?

— Co ja mam im mówić? Ja nigdy z nimi nie gadam o panach. Oni widzieli, co żydek, wiernik kupców, pilnuje lasu, to oni reszty się domyślali.

— Jaki znów żydek? Jaki wiernik? — spytał z ożywieniem.

— Nu, ten od kupców.

— Któż mu pozwolił? Oni śmieli dać mi tu dozorcę? — oburzył się.

— Jaśnie panie dziedzicu, co pan mówi takie słowa? — wzruszył ramionami — gdzieżby oni śmieli to pomyśleć, oni porządni kupcy, oni wiedzą, z kim mają do czynienia, ale oni wiedzą także, że chłop boi się pana i nie pójdzie do lasu, ale jak żydowski, to każdy wybierze się z siekierą... Czy jasny pan dziedzic nie zna ich paskudnej natury?

— A, więc to idzie o chłopów!? — mówił już łagodniej.

— A jasny pan dziedzic co myślał? Oni dobrze zrobili, że postawili swego; jak będzie szkoda, to nikt temu nie winien, tylko ich nastawnik... Oni tu będą mieli dużo kłopotu i biedy z chłopami; ja nie wiem, jak oni sobie poradzą, bo chłopi zmawiają się, aby nie iść rąbać do lasu, oni drzewa nie chcą wywozić... i prośbę chcą podać do samego Lwowa.

— To niemożliwe, Szajo... chyba ty kłamiesz? — rzekł gniewnym, przytłumionym głosem, starając się usilnie pokryć swój niepokój. Szaja rozkrzyżował ręce, potrząsł głową i odpowiedział żałosnym głosem:

— Po co mi kłamać? Ja siedzę sobie w karczmie, oni przychodzą i gadają, a ja to słyszę. Aj, żeby jasny pan dziedzic wiedział, co oni krzyczą, jak hałasują, aż mnie samego strach bierze.

Właściciel spojrzał na pachciarza, uśmiechnął się i spytał:

— Et, głupstwo, ale ciekawy jestem, co też gadają? — a widząc wahanie żyda, dodał: — No powiedz Szaja, co?

— To aż wstyd mówić... ale jasny pan dziedzic wie, że to chamy; oni gadają, ale nic nie zrobią.

— Dobrze, już dobrze, ale co mówią?

— Oni chcą iść do sejmu, do reichsratu, do samego cesarza, bo i lasu nie będzie, i woda zalewa im pola, i podatki coraz większe, to oni krzyczą.

— Niech krzyczą — roześmiał się — znudzi się im, to i przestaną...

— I ja to mówię — pośpieszył pachciarz.

— A las wyrąbię, kiedy mi się tak podoba, i koniec.

— Jasny pan dziedzic ma racyę; to jakby mi kto powiedział, że mi nie wolno sprzedać mój chałat — podniósł z uśmiechem połę, odkrywając poplamione spodnie i zabłocone buty.

Znów nastało milczenie. Pachciarz czekał spokojnie, cierpliwie, wpatrując się ukradkiem w oblicze pana, kiedy nareszcie wyjawi swe żądanie.

Pan Świetnoski palił nerwowo cygaro, wypuszczał kłęby dymu, westchnął, poprawił się na fotelu i rzekł z łagodnym uśmiechem:

— Wiesz, Szaja, wszyscy sąsiedzi mnie proszą,

abym był posłem na miejsce ks. Chromca z kuryi wiejskiej...

— To bardzo rozumna prośba; jasny pan dziedzic, jak urodzony do tego... Jasny pan dziedzic mógłby zostać nietylko posłem, ale namiestnikiem, samym ministrem...

— No, no, o tem nie myślę — uśmiechnął się pobłażliwie. — Powiedziałem ci o tem, bo chcę, abyś wybadał żydków w miasteczku, no i chłopów wyborców.

— Co ja nie mam wybadać? Ja dla jasnego pana dziedzica wszystko zrobię.

— Więc uważasz, Szaja, dowiedz się, ale sprytnie, jak ty to umiesz, co myślą żydki o mnie, czy mnie wybiorą?

— Dlaczego nie mają wybrać? — zawołał Szaja. — U nas, jak każe rabin i starsi, to musi tak być,

— Hm... wybadaj więc rabina i starszych.

— Już ja wiem, jasny pan dziedzic może spuścić się na mnie.

— Odwdzięczę ci się za twoją fatygę — mówił z pewnem wahaniem.

— Ja wiem, że moje nie przepadnie.

— Hm... no i wybadaj tam chłopów,

Pachciarz poprawił jarmułkę, poskrobał się za uchem i rzekł zwolna:

— Jasny pan dziedzic pamięta tego Drewniaka...

— Jakiego?

— Nu, tego młodego, co się uczył w mieście...

— A tak, tak — zawołał pan Świetnoski, wspomniawszy podróż niedawną — widziałem go, cóż on tu robi?

— Co ma robić taki syn chłopa? — uśmiechnął się złośliwie — on buntuje chłopów... Ten cały gwałt o las, to jego robota; on im gada i gada, zawraca

głowy, powiada, że jasny pan dziedzic nie ma las rąbać, że jest takie prawo, on im to wykłada po różnych chatach, bo on boi się mnie i do karczmy nie zachodzi, on to wie, że wyrzuciłbym jego.

— Aha, to taki ptaszek — rzekł chmurny właściciel — domyślałem się tego, bo gdzieżby się chłopi ośmielili iść aż do starostwa; to jego sprawka!

— Ja powiem jeszcze więcej — pośpieszył Szaja, przełykając głośno spieczoną ślinę — on jeździ po całym powiecie, do każdej gminy, do każdej chaty, i robi schadzki z chłopami, całe rewolucye...

— Co ty mówisz? — zawołał zdziwiony. — I po co, na co, w jakim celu?

— Po co?... No, on chce być posłem! — i wyrzuciwszy to słowo, odetchnął głęboko, przypatrując się uważnie panu.

Ten, zaczerwieniony, milczał, wreszcie mruknął gniewnie:

— Błazen!

— I ja to mówię — pochwycił pachciarz — ale on to bałamuci chłopów, zbiera ludzi, wygaduje na panów, na rząd, na starostów... on robi wielkie zamieszanie i chłopi chcą głosować na niego.

— Zwaryowali, czy co? — zawołał ze złością.

— Oni już dawno to zrobili — mówił z żałością — do karczmy tylko biedak zajrzy, a oni nic, tylko radzą, jakby panom odebrać ziemię, lasy, wody.

— Co jednak rząd na to? starostwo? żandarmerya? policya?

— Ja już mówiłem wachmistrzowi, ale co taki biedny żydek znaczy? On mi powiedział, co to nie mój interes...

— Ależ to może dojść do ekscesów, do zaburzeń, Bóg wie do czego!

— I ja to mówię — a po dłuższem milczeniu,

nachylił się pół ciałem w stronę siedzącego właściciela i szeptał: — Możeby jasny pan dziedzic powiedział staroście, on zrobi z nim koniec, i sza!

Pan Świetnoski spojrzał surowo na żyda i rzekł wyniośle:

— A to co za rada!? Ja, ja mam denuncyować staroście? skarżyć się? uprzedzać ich w pilnowaniu obowiązku? Ani mi się śni... To ich psi obowiązek dbać o porządek w powiecie, a cóż mnie do tego?

— Jasny pan dziedzic ma rozum delikatny... jasny pan dziedzic ma recht... nu, ale co my zrobimy, jak on zbuntuje chłopów? Jak gminy będą za nim, co pomoże miasteczko?

— Wszystko mi jedno, ale denuncyować nie będę... A zresztą obaczymy, czy ośmielą się gminy na taki wybór?

Znów nastało milczenie. Pan zapalił drugie cygaro i siedział chmurny, zły, zamyślony. Szaja patrzył, kombinował, wreszcie odezwał się:

— Z przeproszeniem jasnego dziedzica, ja mam jedno pytanie...

— Jakie?

— Czy jasny pan dziedzic jest zapewniony w starostwie?

— Hm... hm... sądzę, że starosta Zadębiński zrobi to dla mego syna.

— To dobrze, to bardzo dobrze — rzekł Szaja, mrugając oczyma na znak uznania — oni swoi, to oni zrozumieją siebie... A jak starosta zechce, to chłopi muszą głosować na jasnego pana dziedzica: jego boją się chłopi i on ma na nich swoje sposob,... ja to znam...

— No, mój Szaja, spraw się dobrze, a nie pożałujesz tego — mówił właściciel, wstając z fotelu.

— Dlaczego nie mam zrobić? Ja przecież służę jasnemu panu dziedzicowi.

Pan Świetnoski zbliżył się do drzwi, które mu z pokorą otworzył pachciarz, i do przechodzącego pana przemówił.

— Ja mam małą prośbę do jasnego pana dziedzica...

— Jaką?

— Ja teraz kupił dwie krowy i małe cielę, to jabym prosił, aby te krowy i ten byczek przyjął jasny pan dziedzic na paszę...

— O, co to, to nie... jeszcze zarażone jakie, chore...

— Dlaczego ma być zarażone? chore?... Takie chude krowy nie mogą być chore. Ja mam świadectwo z gminy. Niech jasny pan dziedzic pozwoli...

— Hm... jeśli zdrowe, to już puść na pastwisko, ale pamiętaj zdaleka od moich krów.

— Ja to rozumiem i wiem... Kłaniam jasnemu panu dziedzicowi i bardzo dziękuję.

Na kurytarzu skłonił się jeszcze kilkakrotnie w stronę odchodzącego pana i szybko opuścił dwór.

Wejście do saloniku pana Świetnoskiego z twarzą chmurną, ze wzdętemi ustami, zmroziło wesołą rozmowę na temat lwowskich stosunków towarzyskich, a gdy jeszcze krzyknął gniewnie na lokaja:

— Dawaj kawę!... Prędzej! — umilkli wszyscy i dopiero po chwili odezwał się pan Władysław:

— Jakież wiadomości przyniósł Szaja?

— Złe — mruknął ojciec, usiadł ciężko na fotelu, wrzucił do filiżaneczki cukru i westchnął.

— Czy o wyborach? — dopytywał się syn.

— O wszystkiem — odparł zirytowany. Nadpił kawy, nalał kieliszek likieru i puściwszy kłąb dymu, mówił:

— Wyobraźcie sobie, że cała wieś zbuntowana; chłopi chcą o ten las pisać supliki do Lwowa, do namiestnictwa...

— Czy podobna!?—załamała żona ręce, wpatrując się z obawą w męża.

— Tak mi doniósł Szaja, ale to nic jeszcze... Chcą tę sprawę poruszyć w sejmie, w radzie państwa, w samym Wiedniu...

— Któż ich podburza? — spytał spokojnie pan Władysław.

— A ten jakiś urwipołeć, ten nicpoń... Drewniak... wiesz, cośmy go spotkali, jadąc do Miłoszyc...

— Pamiętam... Więc to on?... Ho, ho, za takie czyny odpowiada się z po za kratki.

— Nie koniec na tem... Ten Drewniak agituje w całym powiecie, urządza jakieś zebrania, przemawia do chłopów, naturalnie w duchu rewolucyjnym, i... kandyduje na posła do sejmu.

— On!?... On!?...—zawołali wszyscy troje pełni zdziwienia.

— No tak, on, naturalnie, obiecuje chłopom złote góry, jak mi mówił Szaja, prawi im o odebraniu panom ziemi, lasów, wody... A chłopom w to graj, tego tylko chcą.

Po krótkiem milczeniu odezwał się pan Władysław:

— To są jakieś przesadzone wieści... od czegoż starosta, żandarmerya, policya? Nie, to niemożliwe...

— Mówiłem to samo Szai — oobjaśnił ojciec; — przysięga, że wszystko prawda... Nawet zwracał uwagę wachmistrza na te zaburzenia, ale ten go skrzyczał.

— Jeśli to prawda, chociażby w części — mówił z powagą syn — to obowiązek nakazuje zawiado-

mić starostę o tych nieporządkach w jego powiecie bo ręczę, że nic nie wie.

Ojciec spojrzał surowo na syna i rzekł z wymówką:

— No, chyba nie ja powinienem się troszczyć o takie rzeczy... To obowiązek szpiegów.

— Naturalnie—pośpieszył syn—miałem na myśli urzędy niższe, takie np. gminy; one powinny to zrobić

— A niech sobie robią; nic mi na tem nie zależy—powiedział chmurny ojciec, pijąc kawę.

— Władziu, cóż teraz będzie? — spytała matka stroskana.—Jeśli on podburzy wyborców, co wtedy?

— Ee, nie taki dyabeł straszny, jak go malują—uśmiechnął się. — Bo gdyby chłopi bezpośrednio wybierali, możnaby mieć pewne obawy; ale chłopi muszą wybrać najpierw wyborców, ci dopiero głosują, a już na wybór tych uprawnionych do głosowania i na ich głosowanie można wpłynąć... Byle starosta był za papą, wszystko da się zrobić, na wszystko są sposoby.

— Więc nie tracisz, Władziu, nadziei?—spytała siostra z niepokojem.

— Hm... nadziei, Irenko, nigdy, do ostatniej chwili nie należy tracić... Ten Drewniak wlazł nam w drogę, to prawda, ale kto wie, czy właśnie on nie sprowadzi wody na nasz młyn.

— Ciekawy też jestem—przemówił ojciec tonem spokojniejszym — jak ty teraz się wykręcisz? Bo sam wiesz, że w kuryi wiejskiej głosy chłopów znacznie, ale to bardzo znacznie przewyższają inne głosy.

— Widzi papa, jak tylko rozejdzie się wiadomość, że jakiś chłopoman kandyduje, w tej chwili komitet centralny, starostwo, rada powiatowa, prawdopodobnie i duchowieństwo podadzą sobie ręce i usilnie

będą popierali swego kandydata... wówczas takiemu chłopomanowi ani marzyć o wyborze.

— Hm... hm... to prawda, ale wpierw trzeba być kandydatem tej koalicyi.

— To byłoby najlepiej... lecz z drugiej strony, gdyby komitet wyznaczył kandydata innego, a papa zgłosił swoją kandydaturę niezależnie od komitetu, to w obawie rozstrzelenia głosów musiałoby przyjść do kompromisu, a wówczas kto wie, czy papa jako osiadły i znany obywatel, nie otrzymałby pierwszeństwa.

— Zatem według ciebie— uśmiechnął się ojciec drwiąco — kandydatura tego chłopskiego syna pomaga mojej kandydaturze? No, winszuję ci takiego zestawienia, bo to zważcie, jaki honor mnie spotyka—mówił z silną przymieszką ironii i żalu — oto stajemy na równi, ja i syn chłopa, któremu mój ekonom łoił skórę za nieposłuszeństwo i ścigamy się do jednego celu. A niechże całe to poselstwo pioruny trzasną!.., Ja i jakiś Drewniak staramy się wspólnie o zaufanie chłopów, tej głupiej, pijanej tłuszczy... Dajcież mi spokój z takiemi wyborami! Jeszcze gdyby to współzawodniczyć ze swoim, z księdzem wreszcie, nawet z adwokatem lub doktorem, ale z synem mego chłopa, tego za wiele!

Żona i córka, współczując i rozumiejąc tę przykrość, przytakiwały tym wywodom z głębokiemi westchnieniami; pan Władysław słuchał uważnie, z niezachwianą powagą i rzekł po chwili:

— Papa, stojąc na gruncie tradycyi i historyi, ma zupełną słuszność, to przyznaję i szanuję, ale musimy się pogodzić z faktem nadania konstytucyi; czy ona zła, czy dobra, rzecz inna, ale wystarcza, że jest.. Działanie i wpływ sejmów są znaczne i bardzo doniosłe dla nas. Czyż mamy dopuścić, ażeby chłopi, mając z kuryi wiejskiej 74 posłów, narzucili nam w sejmie swe uchwały, stanowili prawa, podko-

pujące już nie nasze znaczenie, ale nasz byt, a będzie tak, skoro ludzie tej miary, tych zasad, usuną się od działalności publicznej?

— Władzio ma racyę — szepnęła matka, zasłuchana w słowa syna, gdy ojciec wciąż jeszcze sapał i patrzył złemi oczyma.

— Któż, jeśli nie papa, uczył mnie obowiązków względem kraju? Kto, jeśli nie papa, oddał mnie w służbę kraju? Jeszcze przed chwilą mówił papa tak przekonywająco o poświęceniu swem, gdy dobro kraju tego wymaga... Nie mogę wierzyć, aby papa przy pierwszej przeszkodzie wycofał się ze szrankow... Wiem, że papa ma temperament ognisty, burzliwy i w pierwszej chwili wybucha, ale wkrótce przychodzi do swej zwykłej równowagi.

— Ach, Władziu, jak ty doskonale określiłeś swego ojca—uśmiechnęła się zadowolona matka.

— Mówcie sobie, co chcecie — mówił już spokojniejszym tonem pan Świetnoski, wypiwszy drugi kieliszek likieru — bądź co bądź, jest to despekt dla konia rasowego, krwi zacnej, gdy każą mu się ścigać z chabetą chłopskim, urodzonym gdzieś w opłotkach z niewiadomego ojca i z nieznanej matki — uśmiechnął się, rad ze swych słów.

— Zostańmy, papo, przy tem porównaniu — zawołał wesoło pan Władysław — jest ono doskonałe... Oto ktoś, np. nasza świetna konstytucya— podkreślił z ironią—naznacza bieg czwarty, bo pierwszy bieg wielka własność, drugi izby handlowe, trzeci miasta, czwarty kurya włościańska. Naturalnie, chłopi wysilają się, aby dać na ten bieg najlepszego konia, ale konstytucya, chciaż ustanowiła rozdział na kurye, zezwala ubiegać się o zwycięztwo i koniom rasowym... Następuje bieg i naturalnie chłopska chabeta nie dobiega nawet do słupa dystansowego... Nie

widzę też żadnej ujmy dla rasy, że taka krew na krótką chwilę wyborów stanęła z chłopską szkapą.

— Cóż ty, Stefku, na to?—spytała żona ze śmiechem zachęcającym.

— Hm... hm... ty, Władziu, tłómaczysz to mądrze i niby logicznie, a jednak... jednak mam wątpliwości...

— Ależ, papo, dla dobra kraju, dla honoru już nie powiatu, ale całej Galicyi... Cóżby powiedzieli o nas? Sądzonoby, że Galicya jest tak w ludzi uboga, iż na posłów wybiera demagogów z pod ciemnej gwiazdy... i oczywista, lekceważonoby nas zupełnie słusznie.

— Hm... cóż mam robić? Poświęciłem tyle dla kraju, poświęcę i moją ambicyę... Ale uważasz, Władziu, nic nie będzie z poselstwa, jeśli nie uzyskasz pozwolenia na wyrąb, bo to, uważasz, chłopi podają prośbę do namiestnictwa...

— Jutro jadę, papo, a zaraz dziś napiszę rekurs przeciw postanowieniu starostwa, papa każe przepisać, zabieram to z sobą, potem śniadanko z radcą, i pozwolenie w kieszeni.

— A jeśli chłopi już uprzedzili ciebie z prośbą swoją?—mówił zmartwiony.

— To niemożliwe, chłopi dopiero wówczas mogą rekursować, gdy zajdzie fakt wyrębu, a przecież żydzi nie rąbią; na podstawie plotek, przypuszczeń, nawet Drewniak nie może pisać rekursu.

— Więc dziś napiszesz?—spytał ojciec.

— Zaraz, jeśli chce papa...

— Wolę zaraz zbyć się kłopotu... Tylko wiesz, nie mogę dać przepisać rekursu pisarzowi, zaraz rozpowie, doniesie się do uszu niepotrzebnych...

— Hm... papa ma słuszność... Znajdę chyba kogoś we Lwowie...

— Nowa zwłoka—westchnął ojciec.

— Papo, w takim razie ja przepiszę — odezwała się panna Irena.

— Dziękuję ci, moje dziecko; to będzie najlepiej... No, chodźmy, Władziu, nie trzeba marnować czasu.

W czasie kolacyi przywiózł posłaniec pocztę z poblizkiej stacyi. Oprócz kilku gazet, był jeden list, adresowany do pani Świetnoskiej, ku zdziwieniu obecnych, gdyż otrzymywała ona bardzo rzadko korespondencye. Zanim lokaj podał list na tacy, zawołał mąż z pewnem zdziwieniem:

— Ciekawy jestem, kto to pisze?

Wszyscy spojrzeli na panią, która, wziąwszy kopertę do ręki, rzekła głosem wesołym:

— To list od Wandzi Rokickiej... Nareszcie po tylu latach... — i przypatrując się stemplom pocztowym, dodała:—to mnie dziwi, że pisze ze Lwowa...

— W tem nie ma nic szczególnego — objaśniał mąż—mieszka na Podolu rosyjskiem i najbliższa droga na Zachód jest przez Lwów.

Pani odłożyła list, chociaż ze spojrzeń widać było, że radaby go zaraz odczytać.

— Moja mamo, w jakiem pokrewieństwie jest z nami pani Rokicka?—zapytał syn po chwili

— Jakto, zapomiałeś?—zdziwiła się.

— Wyszło mi z pamięci; to tylko wiem, że krewna daleka.

— Ależ Władziu, jej babka i moja babka były cioteczno-rodzone.

— Tak? To my zaledwie kuzyni.

— Nie zaledwie, ale naprawdę krewni—odparła dość surowo.

— Ten Rokicki to bogaty człowiek — dodał ojciec.

— Tak i ja słyszałem, a jeden z ich sąsiadów mówił mi, że panna należy do bardzo posażnych...

Chciałem nawet raz pojechać do nich, ale przeraziła mnie odległość, bo to gdzieś od kolei kilka, czy kilkanaście mil.

— Ten ich sąsiad mówił ci prawdę — odezwała się matka.— Rokicki ma dwie wsie podolskie, gorzelnię własną i współudział w cukrowni, a na ten majątek tylko córka Ewcia i synek mały, Adaś.

— Tylko dwoje?—odezwała się panna Irena.

— Tylko, bo dwoje starszych umarło. Wandzia była w rozpaczy i odchorowała ciężko tę stratę.

Widząc, że wszyscy skończyli kolacyę, pani Świetnoska wstała, mówiąc:

— Pójdę przeczytać list; może, Irenko, dopilnujesz porządku.

— A ja przejrzę gazety — rzekł ojciec. — Każ, Irenko, podać mi herbatę do mego gabinetu.

Pan Władysław, przypatrując się siostrze, podczas gdy niektóre drobne przedmioty brała ze stołu, aby je schować w kredensie, przemówił z uśmiechem:

— Ty, Irenko, pielęgnujesz jednak starannie swe rączki...

— Czy sądzisz, że każda z nas na wsi musi je mieć opalone?—zaśmiała się.—Pewno i Zosia ma białe.

— Jej ręka jest istotnie piękna i przyjemna w dotknięciu.

— Co rozumiesz pod słowem: przyjemna?

— Jest w miarę ciepła i sucha... Nie lubię rąk wilgotnych.

— Weź-że moją — podała mu rękę. — Jaką ja mam?

— Ty masz dobrą... Wogóle twoje ruchy są przyjemne, figura dobra, oczy masz błyszczące i włosy byłyby ładne, gdybyś się modnie czesała.

— Jakże czeszą się panie teraz?

Zanim na pytanie odpowiedział, stanęła matka w drzwiach z pokoju jadalnego do pokoiku, mówiąc głośno:

— Jeśli ciekawi jesteście nowin, chodźcie, przeczytam wam list.

Oboje pośpieszyli na wezwanie; usiedli, przygotowując się do uważnego słuchania. Matka, zbliżywszy list do lampy, czytała:

„Z porady lekarzy jadę do Nauheim, a że podróż koleją mnie męczy, odpoczęłam we Lwowie, zwłaszcza, że Ewcia, która mi towarzyszy, pragnęła bliżej poznać Lwów. Gdy przejeżdżałam obok *Sacré-Coeur*, cała moja młodość stanęła mi przed oczyma, a przedewszystkiem Ty, moja kochana Celinko, towarzyszko i najlepsza przyjaciółko z owych klasztornych czasów. Czy pamiętasz siostrę Felicyę, zawsze surową i chmurną, a jednak tak dobrą dla nas? I tysiąc innych szczegółów... Chociaż nas los rozdzielił daleko, jednak bardzo często wspominam Ciebie i zawsze Cię kocham, jak dawniej. Napisz mi: jak twoje zdrowie, męża, dzieci? Słyszałam dużo dobrego o twoim najstarszym i o piękności Irenki.

„Tak stęskniłam się za Tobą, tak pragnę odświeżyć nasze dawne, dobre wspomnienia, że postanowiłam odwiedzić Cię w drodze powrotnej z Nauheim. Spodziewam się, że jako krewna i przyjaciółka, napiszesz mi szczerze, czy ci w czemkolwiek nie przeszkodzę. Gdybyś jednak była w domu, przyjadę do Ciebie na dwa, trzy dni; nagadamy się dowoli, a Ewcia pozna bliżej swoją piękną kuzyneczkę, i nareszcie spełni się jej marzenie, będzie na wsi polskiej z polskim ludem.

„Napisz mi wkrótce; adresuj: *poste restante*, Nauheim. Całuję Cię" etc., etc.

— Czy nie miły list? — mówiła rozpromienio-

na.—Z każdego słowa poznaję moją dawną, kochaną Wandzię.

— Bardzo ciekawa jestem Ewci — dorzuciła córka.

— A ty, Władziu, nic nie mówisz? Nie podobał ci się list?

— Bardzo ładny, mamo, tylko zastanawiam się, co mogło ją skłonić do przyjazdu do nas? To nie jest po drodze, musi zbaczać, a jednak nakłada drogi, bądź co bądź, osoba nie zbyt zdrowa.

— Jakto, nie słyszałeś? Pisze przecież wyraźnie, że chce widzieć się ze mną i odświeżyć wspólne wspomnienia.

— To wiem z listu, moja mamo, ale pokrewieństwo, przyjaźń, to trochę za mało na wytłómaczenie tego listu i tych odwiedzin.

— A może Ewcia namówiła matkę? — dorzuciła panna Irena. — Taka rozpieszczona jedynaczka dużo może.

— Ewcia?!—odezwał się z odcieniem ironii. — Ona prawie nas nie zna, i nie przypuszczam, aby dla chwilowej fantazyi córki matka decydowała się na dość uciążliwe odwiedziny... Musi być inna, głębsza przyczyna tego nagłego zgłoszenia się do mamy.

— Może zbankrutowali?—wyrwała się niechcący panna Irena.

— Także coś nowego!—zawołał brat.—Zastanów się tylko, czyż bankruci jadą do tak dalekich i drogich wód?

— To prawda—szepnęła zawstydzona.—Przecież my nawet do Krynicy pojechać nie możemy.

— A dlaczego, Władziu, nie przypuszczasz, że Wandzia przez przyjaźń i pokrewieństwo chce mnie zobaczyć?—spytała matka, a w tonie brzmiał żal pewien i rozczarowanie.

— Najpierw, moja mamo, że czas czułości minął, dziś każdy się liczy z uczuciem, pieniędzmi i czasem; następnie nasze stanowisko nie jest tego rodzaju, aby zniewalało ludzi do atencyi, wreszcie oni są dość bogaci, aby nie dbać o stosunki.

Umilkli wszyscy troje.

Matka siedziała zamyślona nad listem, nie patrząc na niego; pan Władysław, podparłszy głowę, doszukiwał prawdopodobnych przyczyn, a pannę Irenę zzczęło nudzić to milczenie, to też gdy matka powiedziała:

— Irenko, zobacz, czy papa nie potrzebuje czego, a wracając, przygotuj dla mnie i Władzia herbatę — panna Irena szybko wstała a nucąc coś zcicha, wyszła do saloniku.

— Władziu—przemówiła matka, zniżając głos— może ty masz cokolwiek racyi w tem, co mówisz, bo jakoś w rok, czy w dwa lata po ślubie moim, gdyśmy się spotkały we Lwowie, przyrzekłyśmy sobie jednę rzecz...

— Jaką, mamo?

— Ona była wówczas młodziutką mężatką, powracała z podróży poślubnej... i układałyśmy z sobą, że dla zacieśnienia naszych węzłów pokrewieństwa i przyjaźni powinny nasze dzieci się pobrać.

— Trochę za ryzykowna umowa — uśmiechnął się.

— Naturalnie, gdyby wzajemnie podobały się sobie i pokochały.

— Rozumiem, mamo, rozumiem — zaśmiał się cicho.

— Wiesz, Władziu, nawet zdaje mi się, że ten ustęp listu—wzięła do ręki arkusik i czytała:—„Pragnę odświeżyć nasze dawne, dobre wspomnienia" — a jeden wiersz wyżej: — „Słyszałam dużo dobrego

o twoim najstarszym... To dziwnie wiąże się z sobą.

Syn wziął list do ręki, odczytał zacytowane ustępy i rzekł:

— Hm... może mama i odgadła, ale jakoś nie dowierzam; oni są zanadto bogaci, aby się dopominać o takie przyrzeczenia... Szkoda, że mi mama nie powiedziała tego wcześniej...

— Kiedy najzupełniej zapomniałam—westchnęła skruszona.

— Z drugiej strony, jeżeli Rokicka pamiętała o dawnych planach, dlaczego nie zgłosiła się wcześniej do mamy?

— Pisała mi przed pięciu, czy sześciu laty, że choruje, że wybiera się do wód, że straciła drugie dziecko...

— Cóż jej mama odpisała?

— Zdaje mi się — odpowiedziała z wahaniem— że nie odpisałam na ten list, bo bardzo ciężko chorował Boleś, miał szkarlatynę.

— O, to źle—mówił z grymasem niezadowolenia;—takie stosunki należy podtrzymywać.

— Prawda, mój Władziu, źle zrobiłam.

— No, niema znów nic tak dalece złego... Listy giną przecież na pocztach...

— Otóż, mój Władziu, jeśli ona pamięta...

— Ale czy pamięta?

— Napewno, to bardzo zacna, szczera i prawa natura. Zawsze była prawdomówna aż do śmieszności, a cokolwiek przyrzekła, dotrzymała bezwarunkowo.

— Cóż mama sądzi?

— Myślę, że Ewcia byłaby dobrą partyą dla ciebie... Jeszcze dawniej słyszałam, że Rokickiego cenią na jakie 400,000 rubli, a będzie temu z dziewięć lat, teraz pewno bogatszy... Myślę, że za Ewcią da 150,000, może dwakroć.

— Tak... tak... to wcale niezła partya — mówił zamyślony.

— I ona musi być zacna, dobra, taka, jak jej matka.

— Ileż ona ma lat?

— Od Irenki młodsza o trzy lata, ma teraz dziewiętnaście; w sam raz żona dla ciebie.

— To prawda, moja mamo — zawołał z uśmiechem i ucałował serdecznie rękę matki.

— Żeby tylko ona podobała się tobie—westchnęła rozczulona.

— Jest przecież młoda i chyba nie jest kulawa, ślepa, garbata?

— Ależ nie, mam gdzieś jej fotografię, gdy miała lat dziesięć; przyjemne dziecko.

— Może mi mama pokazać?

— Dobrze, poszuka później Irenka... Otóż, mój Władziu, skorzystajże z tego, gdy ona przyjedzie tu, staraj się podobać, bądź miły i uprzedzający, jak to umiesz...

— Niech mama będzie spokojna; przecież tu idzie o wielką wygranę na loteryi — zaśmiał się. — Dam sobie radę z taką młodą panną, nawykłą do prowincyi—mówił tonem pewności—byle mama dobrze nastroiła Rokicką.

— Ach, Wandzia mnie tak kocha, taka moja przyjaciółka, ona zrobi dla mnie wszystko...

— Więc wybornie wszystko się dla mnie składa... Niechże mama zaraz napisze do Nauheim i zaprosi do nas.

— Naturalnie, naturalnie.

— Jeszcze jedno, moja mamo, niech mama Irence nie mówi o naszych planach.

— Dlaczego?—zdziwiła się.

— Panny lubią się zwierzać... i Irenka gotowa przedwcześnie odsłonić nasze zamiary... Nie wie-

dząc o niczem, nie będzie Irenka skrępowana wobec Ewci.

— Dobrze, Władziu; może masz racyę.

— I uprzedzi mnie mama, kiedy przyjadą; muszę przygotować odpowiednie garnitury.

— Dobrze, mój Władziu.

— No, i przyjąć ich trzeba wystawnie, aby nie sądziły, że robią nam łaskę i że nam imponuje ich majątek.

— Już ja wszystko obmyślę i zrobię, jak należy... Każę zaraz na pierwsze przyjęcie upiec jej ulubione marcypanowe ciasteczka.

— A, na tem się nie znam—zaśmiał się z rozjaśnioną twarzą.

— Wie mama — przemówił po chwili — to doskonale się składa, że papa zostaje posłem... Im, za kordonem, zdaje się, że to olbrzymi zaszczyt, Bóg wie, jaki dowód zaufania kraju całego, bo widzą tylko tort na stole, a nie zaglądają do kuchni.

— Oby tylko został!—westchnęła.

— Dużo zależy od mamy: trzeba papę podniecać... Chce to zrobić dla dzieci i przyszłości, bardzo dobrze... Chce dla kraju i sławy, tem lepiej... byle nie ostygł w zapale.

— Postaram się, mój Władziu — uśmiechnęła się.

— Co do mnie, zrobię wszystko możliwe, a nawet więcej i zwyciężymy, jeśli mama będzie moim wiernym sprzymierzeńcem, a papa, wzięty we dwa ognie, chce, czy nie chce, musi zostać posłem — uśmiechnął się.

— Ach, Władziu, jakiś ty psycholog—zawołała wesoło.

— Cóżeście oboje tacy rozweseleni?—spytał pan Świetnoski, wchodząc.

— Tak się cieszę z przyjazdu Wandzi Rokickiej—odpowiedziała z uśmiechem.

— Mówiła mi o tem już Irenka... Cóż jej odpiszesz?

— Zaproszę najserdeczniej... Pomyśl tylko, Stefku, tyle lat nie widziałyśmy się z sobą, a tak bardzo kochałyśmy się i tęskniłyśmy do siebie...

— Hm... coś tę tęsknotę niebardzo zauważyłem — mówił, siadając — przez dwadzieścia kilka lat nie widziałyście się, i teraz nagle ni ztąd, ni zowąd raptem zjeżdża.

— A gdyby papa spotkał nagle swego przyjaciela z konwiktu, nie cieszyłby się?

— Mój Władziu, co innego przyjaciel.

— Ale Wandzia jest moją krewną!

— Daleką—uśmiechnął się.

— Nie tak bardzo — odpowiedziała, chmurząc się — a zresztą nie zabronisz przecież Wandzi przyjechać?

— Także coś nowego—obruszył się—ot, zażartowałem sobie, ależ i owszem, sam, jeżeli zechcesz, przypiszę się nawet w twoim liście, aby nas odwiedziła... A kiedy ma przyjechać do nas?

Wzięła list w rękę, zajrzała i mówiła:

— Dnia nie podaje, pisze ogólnikowo, że wracając z Nauheim, wstąpi do nas... Pewno tam zabawi miesiąc, może dłużej.

— Co też jej brakuje, że jedzie do Nauheim?

— Nic nie pisze... Nie wiem...

— Może choroba serca—rzekł syn.

— O, biedna kobieta, dobrze, że córka jej towarzyszy, bo przy takiej chorobie o przypadek nie trudno.

— A niechże Bóg broni! — zawołała pani, prawie przerażona.

— Cóżeś się tak przeraziła? To tylko przypuszczenie...

— Proszę mamy — odezwała się panna Irena z progu — czy kazać herbatę podać w saloniku, czy w jadalnym?

— Przejdźmy lepiej do jadalnego—odpowiedziała matka, wstając.

— Możeby mama kazała podać wina? Wypijemy strzemiennego przed moim wyjazdem, i na szczęśliwy przyjazd cioci Rokickiej do nas.

— Dobrze, mój Władziu; za pomyślność Wandzi ja sama wypiję.

Wkrótce panna Irena przyniosła fotografię Ewci Rokickiej.

Pan Władysław, zbadawszy ją jak najdokładniej, rzekł:

— Jako dziecko, ujdzie... Zobaczymy jaka z niej panna!

IV.

Po wyjeździe pana Władysława z Bruśnik dwór cały wydawał się dla pozostałych jakiś smutny i opustoszały, jak gdyby ubył promień słońca, który wszystkich rozweselał, dodawał otuchy, samą obecnością rozpraszał zwątpienia, świadczył, iż wkrótce nastanie dzień szczęścia i spokoju.

Pani Świetnoska, napisawszy czuły i serdeczny list do Nauheimu, utonęła w planach i marzeniach przyszłości. W swej wyobraźni widziała ukochanego bogatym, wolnym od kłopotów i przykrości, szanowanym i czczonym. Jej Władzio dostępuje w kraju

najwyższych zaszczytów, wszyscy ubiegają się o jego łaski, a synowie najpierwszych rodzin, chcąc być z nim w pokrewieństwie, starają się o względy Irenki: Córkę swoją wyda tylko za bogatego, nie może jej narażać na takie życie, jakie sama prowadzi, co to grosz grosza goni, a wszystkie siły trzeba wytężać, aby zachować pozory bogactwa i szczęścia.

Dość już nacierpiała się sama, chociaż nie powinna się skarżyć i narzekać, bo ciężkie życie wynagrodził jej Pan Bóg takim synem, którego zazdroszczą jej wszystkie matki. I Rokicka, ta jej dobra, kochana Wandzia, skoro pozna Władzia, pierwsza zapragnie mieć w nim zięcia, bo czyż jest drugi na świecie taki piękny, miły, delikatnych uczuć, taki uprzejmy, a przytem wykształcony, przed którym najpierwsze salony stoją otworem, którego wszyscy utytułowani, jak np. hrabia Fredzio, pragną mieć przyjacielem. I jaka przed nim przyszłość! Starostą zostanie wkrótce, a potem pójdzie wyżej i wyżej, zapewne zostanie namiestnikiem, a kto wie, czy nie ministrem. Zostawali inni, równi mu rodem, a nawet nieherbowi, dlaczegożby nie zajął takiego stanowiska jej syn, herbu Gryf, bogaty i niezależny... Bądź co bądź, o przyszłość syna może być spokojną, zgody bardzo chętnej ze strony Wandzi, którą naprawdę bardzo szczerze kocha, jest pewną, a że on podoba się Ewci i potrafi ją rozkochać i zachwycić sobą, to nie może ulegać wątpliwości.

Na tym jasnym, słonecznym horyzoncie przyszłości widziała tylko jednę chmurkę, jednę niepokojącą wątpliwość: czy mąż zostanie posłem?

Tak, Władzio ma zupełną słuszność, że poselstwo nada całemu domowi więcej splendoru, że innem okiem będą spoglądali Rokiccy na posła sejmowego, aniżeli na właściciela Bruśnika, Wiktorówki i Sęka; że ten zaszczyt poselski przesłoni ich chwiej-

ne położenie materyalne, a oprom ieni zewnętrzny polor ich życia.

Wypatrywała też, z uwagą i niecierpliwością starannie ukrywaną, każdej sposobnej chwili, aby poruszyć sprawę wyborów i przypomnieć mężowi jego zobowiązania.

Pan Swietnoski przez pierwsze trzy dni nie tracił ani wesołości, ani humoru, liczył, że syn, sam zainteresowany w przeprowadzeniu pozwolenia na wyrąb lasu. otrzyma je napewno. I utartym zwyczajem, po rannej kawie kazał zaprzęgać do wolanta i wyjeżdżał na lustracyę folwarków; wszędzie miał coś do zganienia ekonomom i dozorcom, których pokornych raportów wysłuchiwał z niecierpliwością i wracał do domu na obiad rozweselony ładnym wyglądem zbóż, zapowiadających urodzaj. Po drzemce poobiedniej przeglądał rachunki folwarczne i szedł do stajni, obór, aby przyjrzeć się powracającemu z pastwisk bydłu.

Napomknienia żony o wyborach zbywał żartami, odkładając zajęcie się niemi do czasu, gdy przyjdą pewniejsze wiadomości o terminie i kandydatach. Wreszcie uległ żądaniu i posłał po Szaję, oczekując go w swej kancelaryi.

Wszedł zdyszany i po zwykłem przywitaniu, stanął pokornie u progu.

— A co tam, Szaja?

— Co ma być? Wszystko po staremu, tylko że ja dopiero co przyjechałem z miasteczka, gdzie byłem w interesie jasnego pana dziedzica.

— Zrobiłeś co? spytał obojętnie.

— Dlaczego ja nie miałem zrobić? — rzekł tonem zdziwienia. — Jasny pan dziedzic chce być posłem, nu, dobrze; jasny pan dziedzic kazał mi zapytać żydków, ja to zrobiłem, ja wynająłem furmankę,

straciłem dzień; nu, ja wiem, że moje nie przepadnie, jasny pan dziedzic to mi porachuje.

— Pogadamy o tem później, a teraz opowiadaj.

— Ja najpierw pojechałem do miasteczka, tam zaraz poszedłem do Icia Bleichsteina i Ozyasza Figla... Jasny pan dziedzic ich zna: to najpierwsi kupcy, ludzie bogaci... Im zapowiedziałem cały interes... Oni gadali i radzili długo...

— I cóż, zgodzili się?—zawołał zniecierpliwiony właściciel.

— Dlaczego nie mieli się zgodzić?... Tam przecież był Szaja—i palcem wskazującym lewej ręki dotknął się swej piersi — a gdzie Szaja, to interes jasnego pana dziedzica iść musi, tak jak poszedł ten z lasem.

— Nie marudź-że, gadaj!

— Oni, Icio Bleichstein i Ozyasz Figiel chcą założyć fabrykę w naszem miasteczku.

— Jaką fabrykę?

— Taką z kaflami, piecami, dachówkami, nu, taką z gliny.

— A niech zakładają! Cóż to mnie obchodzi? Ty mi mów o wyborach.

— To jest właśnie cały interes, bo jak oni zaczną budować fabrykę, trzeba im zaras płacić podatki, a jak ta fabryka będzie ze sejmu, to oni zaraz nie potrzebują płacić podatków, i to jest pierwszy interes... Jasny pan dziedzic powie tam, we Lwowie, co tę fabrykę trzeba zrobić w naszem miasteczku, to kogo oni mają tam słuchać? tylko jaśnie wielmożnego dziedzica.

— Hm... hm... hm... pomyślę o tem. To już wszystko?

— Ja zaraz powiem... Wszyscy kupcy, całe miasto, proszą jaśnie wielmożnego dziedzica, aby ka-

zał zrobić kolej do miasta naszego, bo jak handlować, kiedy chłop drze za furmanki, jak odstawiać delikatne kafle, kiedy chłop potłucze wszystko na wozie?... Więc oni wszyscy proszą, aby jaśnie wielmożny dziedzic powiedział mądre słowo, a kolej będzie i zarobek będzie.

— Hm... hm... powiadasz kolej?... to nie zła myśl... i ja miałem podobny projekt...

— Widzi jaśnie pan dziedzic — zawołał pachciarz rozpromieniony — oni mają także głowy i wiedzieli, co mówić!

Właściciel udał, że nie słyszy tych słów i mówił zwolna, raczej do siebie, aniżeli do Szai:

— Kolej możnaby poprowadzić przez Wiktorówkę... zapłaciliby dobrze za grunty... majątek podniósłby się w cenie... dostawa byłaby blizka...

— To byłby interes! — zawołał pachciarz z zapałem.

— Ta moja pierwsza myśl o kolei była niezła — uśmiechnął się zadowolony z siebie i przygładził wąsy.

— Co to niezła—mówił Szaja rozpromieniony— to było bardzo mądrze, jasny pan dziedzic zna się na interesach!

— Wiesz, Szaja, ty możesz im powiedzieć, że ja pochodzę w sejmie za tą koleją.

— Nu, a za fabryką?

— Dobrze, ale miasteczko musi mnie wybrać.

— Dlaczego nie? Oni wybiorą, tylko jasny pan dziedzic sam ich zapewni... Nu, a potem ja poszedł do rabina...

— I do tego? A ten po co?—zdziwił się.

— Kupcy swoją drogą, a rabin swoją. Rabina muszą wszyscy słuchać, to ja poszedł do niego. Nasz rabin mądry, on myślał, rozważał i powiedział

do mnie tak: „Szaja, ty wiesz, co my zawsze wolimy dziedzica, aniżeli innego, to ty możesz powiedzieć, co my będziemy głosowali na twego pana, ale po co teraz mówić o tem, kiedy niema terminu? Jak przyjdzie do wyboru, my już pogadamy, co trzeba zrobić, aby on miał nasze głosy."

— Cóż takiego?—spytał, chmurząc się.

— Rabin mi nic nie powiedział, ale ja się domyślam, ja jego znam...

— No?...

— Rabin zechce, aby jaśnie wielmożny dziedzic dał coś na jego biednych... On dla siebie nic nie chce, tylko dla biednych żydków...

— Także coś nowego, jeszcze ja będę dawał żydom; a mało macie pieniędzy? — obruszył się szczerze.

— Każdy z nas daje na biednych, to prawda, ale to nie wystarcza, bo co teraz za interes? Chłop zmądrzał, już nie pije i z nim żaden interes, a weźmie się kto z naszych do handlu, zaraz płać podatki, a one zjedzą cały dochód. I co to znaczy dla jaśnie wielmożnego dziedzica dać na biednych, a wszyscy, całe miasto, krzyknie: my chcemy mieć posłem jaśnie wielmożnego dziedzica z Bruśnik!... Chłop nigdy nie dotrzyma, a nasze słowo jest święte.

— Ileż trzebaby dać?

— Czy ja wiem, co rabin myśli? On sobie obliczy... On dla siebie nic nie zechce... A jak ja już odchodził, on powiedział do mnie tak: Szaja, ty pilnuj tylko chłopów, mnie się to nie podoba, że oni chcą tego Drewniaka, bo co ten Drewniak? To taki sam cham, jak i oni.

— Ale... ale, co z nim słychać?

— A co ma być? On miejsca nie zagrzeje, ciągle jeździ po powiecie naszym, zwołuje chłopów, gada i robi z nimi strejk, taką zmowę, aby żadnego

pana nie wybierać, żadnego dziedzica, tylko chłopi powinni wybrać jego.., On nawet przechwala się, że on syn chłopa... Wielki mi honor — zaśmiał się cicho.

— Cóż chłopi na to?—rzekł zaciekawiony.

— Chłopi? Co taki prosty chłop wie? Oni teraz mówią wszyscy: musi być nasz poseł, chłop; ale to takie tylko gadanie, bo jak starosta każe, to musi być tak, jak on chce... Czy taki chłop ma rozum? On się boi podatków, egzekutora, żandarmów, on się boi wszystkich... A jak jeszcze jaśnie wielmożny dziedzic im powie, że chce być posłem, oni zaraz powiedzą: dobrze; to dla nich wielki honor przecież... Cały interes, aby miasteczko, aby kupcy i rabin powiedzieli: my chcemy jaśnie wielmożnego dziedzica, to już będzie koniec.

— Więc myślisz, Szaja, że ten Drewniak nic nie zaszkodzi?

— Coby miał szkodzić? Chłopi pokrzyczą, pogadają, ale zrobią, co im każą, a co innego my...

— A cóż wy? — zapytał z uśmiechem ironii.

— My?! My wiemy, co starosta pokrzyczy, dokuczy temu i drugiemu, ale on nie zrobi nam nic, bo nasza konstytucya pozwala nam głosować, jak my zechcemy, i my to znamy.

— Hm... hm... jest w tem pewna racya, chłop jeśli nie usłucha, to się złakomi na kiełbasę i wódkę...

— Co tu gadać! — zawołał pachciarz, uradowanym głosem.—Jasny pan dziedzic ich zna... I co takiemu chłopu potrzeba? Po co on się pcha do sejmu, pomiędzy panów? On na to stworzony, żeby robił na polu i siedział w chałupie, albo w karczmie, to on już kontent.

— Uważasz, Szaja — rzekł po chwili właściciel

z powagą—kupcom powiedz, że fabryka może będzie, a o kolej będę się starał...

— Nu, a rabin?

— Gdyby on zapewnił mnie...

— Co to zapewnił? — przerwał Szaja. — Jak on mówi, to tak, jakby było w kieszeni; jego słowo święte.

— Gdyby żydzi oddali na mnie głosy swoje, to dałbym cośkolwiek na biednych.

— Ja mu to powiem—westchnął Szaja. — A teraz ja jeszcze coś powiem.

— Cóż takiego?

— Ja przyrzekłem Ici Bleichstein i Ozyaszowi Figiel, że im przywiozę od jaśnie wielmożnego dziedzica po korcu pośladu pszennego dla ich kur i gęsi...

— Ho, ho, pośladu nie dam! — zawołał energicznie.

— Jaśnie panie dziedzicu, ja im obiecał ten marny, lichy poślad za wybory. Jeśli ja im zaraz, na początek, nie dotrzymam, co oni pomyślą sobie o jaśnie wielmożnym dziedzicu? Oni nie zechcą wierzyć ani o fabryce, ani o kolei.

— Pocóż przyrzekałeś? Kto cię o to prosił?

— Ja znam jaśnie wielmożnego dziedzica; co to znaczy poślad, to nic—wyciągnął rękę i dmuchnął na otwartą dłoń. — A dla nich, to już zadatek... Ja sam przyjdę z moim synem: i puszczę raz na młynek, to za darmo; ja to zrobię sam dla jaśnie wielmożnego dziedzica; jego słowo musi być święte.

— Jakie słowo? Co ty pleciesz? — obruszył się.

— Nu, kto mnie wysłał do miasteczka? Sam jaśnie wielmożny dziedzic. Kto mi kazał z nimi gadać? Sam jaśnie pan. To, jak ja gadam, czy od siebie? Co to szkodzi im dać, zapchać im gębę, i to

pośladem... Oni głupi, gdyby sam jaśnie pan dziedzic z nimi mówił, oni żądaliby pszenicy... Ja radzę dać im odczepnego, ale pańska wola, a jak potem będzie źle, to już nie moja wina.

— Powiadam ci, Szaja, ostatni raz daję tobie ten poślad, ostatni raz,

— Jakto dla mnie? — zawołał Szaja zdziwiony. — To dla nich i jaśnie wielmożnego dziedzica; ja mam tylko kłopot z młynkowaniem i odwiezieniem.

— Wszystko mi jedno; pamiętaj na drugi raz nic nie przyrzekać.

— Niech i tak będzie... A teraz ja prosiłbym jaśnie wielmożnego dziedzica za tę furmankę, com jeździł do miasteczka...

— Za furmankę? Pewno miałeś własy interes, a odemnie chcesz wycyganić.

— Co znaczy wycyganić? Abym tak zdrów był, jak tylko w interesie jaśnie wielmożnego dziedzica pojechałem... Ja prosiłbym o pół korca pszenicy...

— Nie mam, daj mi spokój...

— Jakto, żeby w takim skarbie nie było?... Pszenica jest zawsze... niech jaśnie dziedzic da kwitek, a pszenica znajdzie się zawsze.

— Nie, muszę mieć na ordynaryę...

— A co lepszego chłop od Szai, czy chłop tak usłuży? czy pojedzie? czy zrobi? I po co jemu pszenicy? Jemu wystarczy żyto... Ja proszę łaski pana dziedzica o pół korca pszenicy... Czy to dużo? Mnie samego to więcej kosztuje, ale wiem, że nie będę stratny.

— Starej ci nie dam, chyba nową.

— Na nową będzie nowy interes, a teraz moje dzieci nie mają co jeść...

— Ano, niech i tak będzie; weźmiesz z Sęka,

ale pamiętaj, że póty dzban wodę nosi, póki ucho się nie urwie.

— Co miałoby się urwać? Niech mnie Pan Bóg da takie szczęście i rozum, jeśli ja nie zarobiłem sprawiedliwie...

— No, już dobrze; daj mi spokój; kwitki dostaniesz, ale pamiętaj, ostatni raz, a gdybyś się dowiedział coś nowego o wyborach, to daj mi znać...

Wyciągnął kwitaryusz i zaczął wypisywać, a pachciarz mówił:

— Co ja nie mam dać znać? Od czego jest Szaja? I aby tylko jaśnie wielmożny dziedzic nie żałował, to wszystko będzie dobrze.

— Słuchaj, Szaja — rzekł pan, wręczając kwitki — jeśli ja zostanę posłem, to i tobie będzie dobrze...

— Ja to wiem — mruknął z głębokim ukłonem...

Tegoż dnia, przy kolacyi, pan Świetnoski na zapytanie żony, jakie nowiny przyniósł Szaja, odpowiedział:

— Miasteczka i żydów jestem prawie pewny; będzie mnie to kosztowało, ale poselstwo bez kosztów nie może się obejść.

— A co mówił Szaja o wyborcach z gmin?

— Mówił, co każdy wie: ci są zależni od starostwa... No i chyba chętniej mnie wybiorą, aniżeli jakiegoś tam obieżyświata.

— Cóż Drewniak robi?

— Jeździ i agituje, ale to na nic się nie zda: chłopi będą gadali, potakiwali, a przyjdzie do wyborów, oddadzą tak głosy, jak im każe starostwo.

— Masz więc, Stefku, nadzieję?

— Zdaje mi się, że to pójdzie jakoś, byle tyl-

ko Władzio nadesłał pozwolenie, bo już trzeci dzień mija, a on milczy. Czyżby mu odmówili?

— To niemożliwe — rzekła tonem głębokiego przekonania.—Znasz Władzia, on nigdy nie przyrzeka, jeśli nie jest pewny.

— Dlaczegoż milczy?

— Napewno nie załatwił tej sprawy, ale że ją przeprowadzi, jestem pewna.

— Tak, ale od dziś za tydzień muszę być z kupcami u notaryusza do spisania kontraktu, a jeśli pozwolenia nie będzie, nie podpiszę, bo cała sprawa pachnie sądem...

— Po co się martwisz, kiedy Władzio przyrzekł...

— To prawda, sam nawet jest po trochu odpowiedzialny...

— Jakim sposobem?

— Podpisał razem ze mną umowę.

Spojrzała na niego z wyrzutem i odezwała się cierpko:

— Jak mogłeś, Stefku, narażać na coś podobnego Władzia? Czy nie wiesz, że w urzędach politycznych najmniejsza plamka może popsuć całą karyerę?... I ty, ojciec, pozwoliłeś na to? Nie pojmuję naprawdę ciebie.

Patrzył na nią, lekko zdziwiony, swemi niebieskiemi, wypłowiałemi oczyma i odpowiedział z odcieniem żalu w głosie:

— W jakim celu robisz mi, Celinko, te wyrzuty? Władzio nie jest dzieckiem, wiedział, co robi, a wreszcie, jeśli ja tyle razy poświęcałem się dla was, mógł i on jeden raz przyjść mi z pomocą...

— Ale nie w tak wątpliwej sprawie, o której sam mówisz, że ociera się o kratki sądowe — mówiła wzburzona.

— Dlaczegoż o mnie się nie troszczysz? — spytał z ironią.—Przecież narażam się także.

— Ty?! Ty, Stefku, jesteś odpowiedzialny za wszystko, znajdziesz sposoby usprawiedliwienia się, jesteś zresztą niezależny, wolny... A co innego Władzio, on taki młody, wrażliwy, uległ miłości dla ciebie, ale ty nie powinieneś był przyjąć tego poświęcenia.

— No, stało się... Dałem mu sto guldenów na śniadanie z radcą... i pozwolenie będzie.

— A jeśli namiestnictwo odmówi? Jeśli staroście przyzna słuszność?—mówiła przez łzy.—Władzio będzie splamiony, ciągany po sądach, i cała karyera stracona.

— Uspokójże się, Celinko; i pozwolenie będzie, i w danym razie całą winę przyjmę na siebie. No, nie płacz, uspokój się—mówił z tkliwością.

— Daj mi słowo, że chociażbyśmy mieli konie, powozy, meble sprzedać, ale nie dopuścisz do sądu z tymi kupcami.

— Daję ci słowo, tylko nie płacz.

— I dotrzymasz? — mówiła z tłumionem łkaniem.

— Dotrzymam — i ucałował jej rękę z wielką czułością.

Na drugi dzień pani Świetnoska, blada, zmęczona, z podsiniałemi oczyma siadła do pierwszego śniadania. Mąż spojrzał na nią, i jak gdyby poczuwał się do winy, spuścił oczy i milczał.

Panna Irena, przypatrzywszy się matce, odezwała się ze współczuciem:

— Czy mama cierpiąca?

— Nie, moje dziecko, źle spałam i bardzo przykre sny mnie męczyły.

— Jakie, mamo?

— Widziałam we śnie Władzia, takiego zbiedzonego, nieszczęśliwego... I potem już nie mogłam usnąć.

— To gra wyobraźni... Władzio da sobie zawsze radę; mama o niego może być spokojną...

— Nie zawsze, Irenko, i nie wszędzie; czasem strzał pada niespodzianie, od najbliższych — i rzuciła okiem na milczącego męża.

— Sny należy tłómaczyć naopak — zaśmiał się mąż z przymusem - widocznie Władziowi wszystko się wiedzie jaknajlepiej... Lada chwila oczekuję od niego depeszy... i już po snach.

— Daj to Boże—westchnęła żałośnie.—Czy posłałeś, Stefku, na pocztę?

— Tak jest... Załóżmy się, Celinko, że dziś przyjdzie wiadomość od Władzia.

— Nie chcę... Ani mnie ucieszy wygrana, ani zmartwi bardziej przegrana, uspokoję się dopiero, gdy Władzio nie będzie miał nic wspólnego z wiadomą ci sprawą.

— Wszak przyrzekłem ci wczoraj—rzekł z wymówką.

— A gdzie dokumenty?

— I te będą... Za sześć dni jadę do miasta, papiery przywiozę, i wszystko się skończy.

— Aż za sześć dni?—jęknęła.

— Wcześniej nie mogę—zawołał zniecierpliwiony — i naprawdę nie rozumiem, czem się martwisz; przyrzekłem ci, to chyba dosyć.

— Zobaczymy—szepnęła.

Córka, nie domyślając się o co idzie, była jednak po stronie matki i z wyrzutem spojrzała na ojca, który i pod wpływem żony i pod spojrzeniem córki poczuł się winnym, nie zdając sobie dobrze sprawy z istoty swego przestępstwa. Był zły, roz-

drażniony, chciał wybuchnąć guiewem, ale nieszczęśliwa mina żony, milczące oskarżenie córki, zmuszały go do milczenia. Szybko skończył śniadanie i wyjechał na folwarki, spędzając swój gniew i rozdrażnienie na ekonomach i dozorcach.

Począwszy od tej chwili, życie we dworze, i tak niezbyt harmonijne, stawało się coraz bardziej przykre, ciężkie, posępne. Zdawało się, że jakaś ołowiana chmura, brzemienna piorunami, zawisła nad dworem, uciskała coraz bardziej mieszkańców i każdej chwili groziła burzą.

Pan Świetnoski stracił swój zwykły humor, powściągnął swą popędliwość, a sam pełen troski i niepokoju, trwogi o przyszłość, wobec żony zmuszał się do uśmiechu, do pewności siebie, do zaufania w przyszłość.

Matka Władzia zasługiwała istotnie na współczucie; z cerą pożółkłą, z podsiniałemi oczyma, smutna, zgnębiona przesuwała się cicha, milcząca przez obszerne pokoje, zbywała pytania jaknajkrótszemi odpowiedziami, zaniedbała zwykłej energii w utrzymaniu porządków domowych, kontrolowaniu służby i kuchni...

O ile po wyjeździe syna snuła rozkoszne marzenia o jego przyszłości, obecnie, dowiedziawszy się o podpisaniu przez niego umowy, opartej na fałszu, widziała wszystko w czarnych kolorach. Namiestnictwo odmówi zezwolenia na wyrąb, kupcy, mając w ręku dokument, zażądają nietylko zwrotu dwóch tysięcy guldenów, ale i odszkodowania; wiedziała, że pieniędzy nie wydostanie się na razie, sprawa ujawni się, pójdzie do sądu, i jej syn będzie pociągnięty do odpowiedzialności za rozmyślne wprowadzenie w błąd kupców, celem wydostania pieniędzy, i to w sprawie, zależnej bezpośrednio od jego zwierzchników.

Wprawdzie tłómaczy go miłość dla ojca, ale czy

sąd, czy zwierzchnicy, czy świat uzna tę szlachetną i czystą pobudkę?

Wszyscy zazdroszczą jej synowi pozycyi, powodzenia, przyszłości, tem chętniej rzucą kamieniem potępienia i uczynią go wspólnikiem podstępnego wyzysku kupców.

I jaka będzie jego przyszłość?

Pozbawiony posady, niemożliwy w salonach i w towarzystwie, wraca na wieś sponiewierany i nieszczęśliwy.

Rokiccy odmawiają naturalnie i sprzeciwiają się połączeniu z Ewcią... Prawdopodobnie nawet Zawierzyccy, którzy obecnie ciągną go do Zosi, odwrócą się, bo, bądź co bądź, ten Zawierzycki jest honorowy i bardzo uczciwy człowiek, on nie zechce zięcia zaszarganego w sądach i bankruta majątkowego.

I kto temu winien? Kto był przyczyną tego nieszczęścia?... Rodzony ojciec!

Z każdym dniem wzmagała się gorycz, rósł żal, odżyły wszystkie dawniej doznane przykrości, poszły w niepamięć jego zasługi i zalety, stał się dla niej wcieleniem nieszczęścia, katem jej syna i całej rodziny.

Czuła rosnącą nienawiść do niego, wytężała siłę woli, aby mu nie okazać swego wstrętu, szukając w modlitwie ukojenia.

Gdy już tylko dwa dni dzieliły od fatalnego terminu zjazdu u notaryusza, gdy na telegraficzne wezwanie nie było odpowiedzi, postanowiła sama pojechać do Lwowa, aby przynajmniej uprzedzić syna przed grożącem niebezpieczeństwem, lecz z drugiej strony powstrzymywała ją obawa, bo kto, jeśli nie ona, przypilnuje załagodzenia sporu z kupcami, skłonienia ich do wydania podpisanej przez syna umowy, chociażby największą ofiarą.

Byle syn był wolny, bez skazy, zniesie ruinę

z pogodnem czołem. Prawda, że mąż nie zostanie posłem, że życie po takim ciosie materyalnym będzie szeregiem przykrości i upokorzeń, ale uratuje przyszłość syna, i bądź co bądź, małżeństwo z bogatą Ewcią stanie się możliwem.

O innych dzieciach na razie nie myślała; zajmował ją jedynie syn, który, jej zdaniem, znajdował się w niebezpieczeństwie.

Wsród tego naprężenia, grożącego każdej chwili wybuchem płaczu i narzekań żony, a gniewu i rozgoryczenia ze strony męża, nadjechał na spienionym koniu posłaniec z poczty, gorąco upragniony przez matkę i ojca, wyczekujących na ganku jego powrotu, i przywiózł depeszę, a zarazem dwa listy do pana i pani, obydwa od syna.

Najpierw rozerwał pan Świetnoski drżącemi rękami depeszę, której treść odczytał z rozczarowaniem i głuchą obawą, a następnie podał ją żonie. Depesza zawierała lakoniczne doniesienie: „List wysłany."

Następnie otworzył kopertę i zaraz po przeczytaniu pierwszych słów rozjaśniła mu się twarz; szybko wyjął ze środka listu papier, rzucił nań okiem, i głosem, w którym brzmiał tryumf i radość z oswobodzenia od gniotącej zmory, zawołał:

— Celinko! Pozwolenie jest!

Zbladła, zachwiała się i prawie bezdźwięcznie szepnęła:

— Pokaż.

Wzięła papier drżącemi rękami i po przez łzy przeczytała, stwierdzając radosną nowinę.

Oboje spojrzeli na siebie uradowani, szczęśliwi, wyzwoleni. Mąż patrzył na nią oczyma z przed dwudziestu lat, i dziś wydała mu się piękną, miłą, najlepszą żoną i najzacniejszą matką; ona zapomniała w jednej chwili wszystkich uraz i pretensyj, tak by-

ła szczęśliwa i uradowana, że już nic nie grozi jej synowi. I prawie bezwiednie zbliżyli się do siebie i padli sobie w objęcia.

— Dlaczego płaczesz, Celinko?

— To ze szczęścia — szepnęła, i cała gorycz, żal, rozdrażnienie spłynęły w łzach obfitych.

Gdy się uspokoili cokolwiek, rozpoczęło się odczytywanie listów.

Pan Świetnoski usiadł na krześle przy stole i czytał:

„Kochany papo!

Dziś otrzymałem przychylną odpowiedź na rekurs papy, i pozwolenie na wyrąb wysłano do starostwa, a równocześnie załączam kopię. Śniadanie kosztowało mnie znacznie drożej i papa został mi winien 50 fl.

W sprawie poselstwa byłem w komitecie centralnym. Zawierzycki zaproponował trzech kandydatów, jednak na pierwszem miejscu postawił papę, a dzięki moim stosunkom, komitet centralny przyjął kandydaturę papy. Żądano wprawdzie złożenia pewnej sumy na rzecz agitacyi za naszymi posłami w powiatach wątpliwych, ale wytłómaczyłem, że i tak wybór będzie papę drogo kosztował, gdyż chłopi stawiają kontrkandydata Drewniaka (przydał się nam ten ladaco, co?), którego wpływ i znaczenie bardzo przesoliłem, i komitet uwzględnił to wyjątkowe położenie papy. Spodziewam się, że papa wynagrodzi mi stosownie tę moją zabiegliwość. Kilkaset guldenów przydałoby mi się i bardzo nawet. Zdaje mi się, że dobrzeby było mieć za sobą Zawierzyckiego i kancelaryę rady powiatowej; jak to zrobić, zostawiam uznaniu papy. O poparcie starostwa sam się postaram.

Co słychać z duchowieństwem, żydami, i czy Drewniak bardzo bróździ między chłopami?

Dowiedziałem się przy sposobności, że ten Drewniak jest nauczycielem gimnazyalnym, zdaje się, że będzie go można łatwo osadzić na miejscu lub na lodzie, i raz na zawsze odechce mu się posłowania z ludomanii..."

Następowały drobniejsze wiadomości, dotyczące jego stosunków służbowych.

Żona na razie otworzyła i swój list, spostrzegłszy jednak, że są w nim zwierzenia, przeznaczone tylko dla niej, włożyła go napowrót w kopertę i nachylona nad mężem, odczytała list syna.

— Jaki ten Władzio mądry i przewidujący — mówiła rozczulona.

— Niema co gadać, sprytny chłopak i dojdzie wysoko—odpowiedział z uśmiechem. — Jak to on zręcznie wywinął się od płacenia komitetowi... Ho, ho, to dobra głowa.

— Albo z tym Drewniakiem—dodała żona:—innemu aniby na myśl nie przyszło zużytkować tak tę wiadomość.

— Ano, teraz jestem już pewny, że zostanę posłem... Prawda, że idzie to oporem, dużo pracy i pieniędzy będzie mnie to kosztowało, ale postawię na swojem, nie dopuszczę do tej hańby, aby nasz powiat wybrał demagoga.

— Stefku, ale ty wyślesz Władziowi te pieniądze, o które tak prosi.

— Hm... zobaczę... obliczę się...

— I ten dług za śniadanie...

— Et, głupstwo, między nami mówiąc, on mnie naciąga, bo nie mogę uwierzyć, aby śniadanie kosztowało 150 fl... Ot, zabałamucił się z jaką dziewczyną...

— Stefku, co ty mówisz!? — zawołała oburzona. — Władzio nie taki, on jest czysty i bardzo moralny; ręczę ci, że podobne, ohydne wybryki, nawet mu na myśl nie przyjdą.

— Ale, ale — zaśmiał się — myślisz, że on jest święty?

— Już ja obserwowałam go uważnie — mówiła z powagą; — przecież u nas służą ładne dziewczęta, a pokojówka Bronia może uchodzić za piękną i wierz mi, Stefku, że nic, ale to nic, nawet spojrzeń niewłaściwych nie spostrzegłam. A jaki on uważny w rozmowie ze mną, z Irenką, nawet na najlżejszą aluzyę nie pozwala sobie, a przecież jest młody...

— Sprytny ten Władek, bo sprytny—zaśmiał się ojciec głośno — ale chcesz, aby był niewinny, jak dziecko, zgoda i na to.

— Ty mówisz to żartem, a ja mam to głębokie przekonanie, oparte na doświadczeniu.

— Dobrze, niech i tak będzie... Cóż on pisze do ciebie?

— Jeszcze nie przeczytałam; pewno powtarza to, co tobie napisał; jaki on jednak delikatny, wiedział, że mnie dotknęłoby jego milczenie.

— Ano tak, a może... dajże ten list, przeczytamy.

— Wpierw muszę uwiadomić Irenkę o pomyślnej nowinie; ona domyśla się czegoś i martwi biedactwo... A potem przeczytamy list — kończyła na wychodnem.

Zostawszy sam, pan Świetnoski zapalił cygaro i zaczął powolną przechadzkę po obszernym ganku. Od wielu dni dziś po raz pierwszy czuł się spokojny i szczęśliwy, nawet zanucił coś zcicha, co mu się wydarzało tylko w chwilach wielkiego powodzenia.

Teraz zaczął sobie formułować następstwa otrzymania upragnionego pozwolenia na wyrąb. Więc

w pierwszym rzędzie otrzyma od kupców osiem tysięcy; aż się uśmiechnął na myśl tych szeleszczących stówek. Zaraz spłaci zaległe w bankach raty, pospłaca drobne długi i odetchnie swobodnie. Razem wyniesie to około trzech tysięcy, ale ma jeszcze kilkaset z wziętej zaliczki, więc zawsze zostanie około sześciu tysięcy.

— Sześć tysięcy, to dobry grosz — mruknął zadowolony i zanucił pod nosem jakąś aryjkę.

Po chwili przystanął i zaśmiał się prawie głośno, mrucząc:

— Chłopi wściekną się...

Był dumny i cieszył się swoim tryumfem nad chłopami. Jak oni teraz spokornieją, gdy poczują jego wolę; skarżyli go do starostwa, grozili udaniem się do wyższych instancyj, a teraz on wyrąbie las i gałązki im nie sprzeda z pozostałych morgów. Podnieśli bunt, chcą z nim kłótni: zobaczymy, kto zwycięży!? Uśmiechnął się z dumnem poczuciem władzy.

I jak będzie wyglądał w oczach chłopów ten głupi Drewniak, on, który ich judził i podniecał do oporu; niechże im teraz pomoże ten ich protektor i obrońca...

A starosta Zadębiński?... Dostał on dobrego nosa za swoją samowolę, i bardzo słusznie; niech wie, że szlachcica osiadłego nie wolno zaczepiać. Jednak trzeba z nim spolitykować, potrzebny jest jeszcze przy wyborach, a jeśli jeszcze raz pozwoliłby sobie na uleganie chłopom, poradzi się i jemu; od czegoż będzie posłem: musi przecież stanąć w obronie sąsiadów, gdy starosta zechce ich krzywdzić.

Równocześnie pani Świetnoska, uwiadomiwszy córkę o nadejściu dobrej nowiny, przeszła do swego pokoju i z wielkiem skupieniem i uwagą zaczęła czy-

tać list syna; a dla wdrożenia go sobie w pamięć, po raz wtóry odczytała półgłosem:

— „Najdroższa Mamo! I w czasie podróży, i po przyjeździe do Lwowa miałem nieustannie przed oczyma dobroć Mamy i pamięć o mnie. Przysmaki, któremi Mama mnie obdarzyła, są doskonałe i starczą mi na długi czas.

„Pozwolenie na wyrąb wysłałem; a teraz piszę w sekrecie do Mamy, co należy zrobić, aby zapewnić wybór papy na posła, gdyż oboje znamy papę, że przy całej swej dobroci i zacności, jest ciężki do wyjazdu i zniechęca się do pracy na dłuższą metę.

„Starostwo biorę na siebie, ale dobrzeby było mieć za sobą radę powiatową; tacy lustratorzy, wysyłani do kontrolowania majątków gminnych, mają wpływ na wójtów i radnych, a gdy od prezesa dostaną polecenie popierania wyboru papy, mogą dopiąć tego. Należałoby tedy dobrze usposobić najpierw Zawierzyckiego, złożyć mu wizytę za umieszczenie papy na pierwszem miejscu kandydatów. Możeby Mama poszepnęła Irence, aby była czułą dla Zosi, a sama coś napomknęła, ale leciutko i ostrożnie pani Zawierzyckiej, że Zosia bardzo mi się podobała, co zresztą będzie szczerą prawdą, gdyż nigdy nie ośmieliłbym się na udawanie czegoś, co nie istnieje. Ale moja Mamo, owo napomknienie można zrobić tylko wobec kobiet, nie wobec niego; on przez fałszywie pojęty punkt honoru mógłby sprzeciwić się, lub obojętnie się zachowywać wobec wyboru papy, aby go nie posądzono o protekcyę w interesie osobistym. Panie zrobią już wszystko z nim, co nam potrzeba, a wiem to z doświadczenia.

„Możeby też Mama nastroiła papę dobrze dla Zawierzyckiego; niech słucha jego rad i wskazówek, tych, wiem, że nie będzie szczędził marszałek, a na-

wet do chwili wyboru niech papa zrobi to, czego on sobie życzy, a przynajmniej dobrze uda, że robi.

„Żydów musi mieć papa za sobą; jeśliby chłopi w części zawiedli, żydzi przeważą szalę, a z duchowieństwa przynajmniej niech papa odwiedzi kanonika i tych proboszczów, którzy mają wpływ na lud. Dla sąsiadów możnaby urządzić przyjęcie, ale to nie jest konieczne; główna rzecz rada powiatowa i żydzi, a ze starostwem sam nadrobię.

„Przystępuję teraz do sprawy najważniejszej. Wiem, że Mama musiała już napisać list do cioci Rokickiej; po otrzymaniu od niej odpowiedzi, możeby Mama znów wysłała gorące zaproszenie, a także nie zaszkodziłoby, aby Irenka napisała kilka słów czułych do swej kuzyneczki. Teraz papa będzie miał pieniądze, czy nie uważałaby Mama za stosowne dać nowe pokrycie mebli w gabinecie i saloniku, również kupić dywany i ładną gotowalnię do ich pokoju gościnnego. Temi sprawunkami mogę sam się zająć, i Mamo kochana, proszę koniecznie o wiadomość, kiedy one przyjadą, abym wiedział, co i jak rozporządzić krawcowi. Mama rozumie, że teraz pieniądze są mi bardzo potrzebne, niechże papa nie zapomina o mnie. Cała moja przyszłość jest w ręku Mamy, bo jeśli ciocia Rokicka będzie dobrze usposobiona przez troskliwość, uwagę i miłość Mamy dla niej, to już połowa wygranej; z kuzynką Ewcią dam sobie radę.

„Wiem, że Mama w swej dobroci przebaczy mi, jeśli napisałem jaką niewłaściwość, ale śpieszę się, gdyż poczta odchodzi..."

Wpatrywała się matka z czułością w te słowa i litery, widziała w wyobraźni syna, piszącego ten list, pełen zwierzeń i głębokiego zaufania. Gdyby się nie wstydziła swej sentymentalności, byłaby ucałowała ten papier, który był w ręku tego dobrego, kochanego syna.

Weszła córka, mówiąc z progu:

— Mamo, a obiad? Dzieci głodne.

— Każ, Irenko, podawać.

Po jej wyjściu, starannie schowała list do zamkniętej szuflady. Przystąpiła do gotowalni, przyczesała włosy, poprawiła zmięty kołnierzyk, i rozpromieniona, z wesołym uśmiechem poszła do pokoju jadalnego.

Obiad upłynął bardzo wesoło i przyjemnie; dzieci były uradowane ze zwolnienia z lekcyj popołudniowych; nawet panna Berta usiłowała uśmiechnąć się przyjemnie.

Przy czarnej kawie, podanej na ganku, wszczęła się rozmowa bardziej poufna.

— Co zamyślasz, Stefku, na jutro?

— Dlaczego pytasz, Celinko?

— Mam pewien projekt, gdybyś miał wolny dzień jutrzejszy.

— Nie, jutro jestem bardzo zajęty, muszę być na jednym i drugim folwarku i wydać rozporządzenia na dzień następny... Wieczorem pojadę na noc do miasta powiatowego, aby zaraz od rana spisać kontrakt o las, porozumieć się też muszę z adwokatem, ażeby mi kupcy nie wstawili do kontraktu jakiego kruczka.

— Bardzo słusznie... Byleś trafił na uczciwego adwokata.

— Znam ja ich, znam, przecież tyle lat mam różne interesy, już ja sam dopilnuję, ale dla bezpieczeństwa wolę poradzić się adwokata.

— A wiesz, Stefku, te papiery, które są u kupców... przywieziesz do domu i... pokażesz mi, dobrze?

— Naturalnie, nie zostawię im przedugodnej umowy... A jaki miałaś projekt?

— Chciałam ci zaproponować wizytę u Zawierzyckich, alę możemy to zrobić i później.

— Do Zawierzyckich?... My, a to po co?

— Wypada, mój Stefku, koniecznie nawet, przecież pisał ci Władzio, że on zaproponował ciebie, jako pierwszego kandydata na posła, trzeba zrobić formę grzeczności.

— Hm... to prawda, ale mógłbym sam pojechać, a w jakim celu wy?

— Zawierzyckim należy się wizyta od nas, i przyjeżdżając razem unika się pozoru, że przyjechałeś tylko z podziękowaniem.

— Hm... masz słuszność, tylko, że mi się szczerze nie chce jechać.

— Ależ, Stefku, przy sposobności rozerwie się Irenka; wreszcie w interesie przyszłych wyborów musisz, bądź co bądź, być u niego.

— Bardzo się cieszę, moja mamo, że zobaczę Zosię—odezwała się córka.—Tak wiele opowiadał mi o niej Władzio.

— Wiedziałam, Irenko, że ta wizyta będzie ci się podobała... Więc cóż, Stefku, jedziemy?

— Pomyślę o tem... zobaczymy...

— Po co zwlekać, mój kochany, Zawierzycki był uprzejmy dla ciebie, ceni cię wysoko, gdy bez wdania się twego zaproponował ciebie, jako pierwszego kandydata; wizyta należy mu się koniecznie.

— Ano, dobrze, pojedziemy—westchnął.

— Musisz z nim porozumieć się, w jaki sposób zapewnić sobie wybór, jakie są najpilniejsze sprawy powiatu, czego należy wymagać od rządu...

— Sam wiem najlepiej; on nie będzie mnie uczył rozumu—obruszył się.

— Któż o tem mówi. Ale formy należy zachować. On jest prezesem rady powiatowej, dotyka się wszystkich spraw bieżących, wypada porozmawiać

z nim, wysłuchać... Na twojem miejscu ja przytakiwałabym nawet, prowadziła dyskusyę tylko dla pozoru, bo i po co zrażać sobie człowieka, który ciebie szanuje i poważa? Mojem zdaniem, pięknem za nadobne powinno się płacić.

— Ach, to po tobie odziedziczył Władzio talent dyplomatyczny!—uśmiechnął się.—Swoją drogą masz racyę: zawsze poparcie rady coś znaczy.

— Nawet dosyć dużo, bo ci urzędnicy z rady mają do czynienia ze wszystkimi chłopami, a ci muszą uwzględnić ich polecenia, np. w sprawie wyborców.

— O, z ciebie, Celinko, Metternich! Jak ty dobrze skombinowałaś, że taki urzędnik z rady, taki lustrator gmin wiejskich, musi mieć wpływ znaczny na chłopów, bo on sprawdza majątek gminy, a taki może dokuczyć.

— Ty wiesz sam najlepiej, mój Stefku, o tych ludziach i sprawach; ja sądzę tylko z tego, co zasłyszę... Ale sam widzisz, że dobrze usposobić Zawierzyckiego, wysłuchać cierpliwie jego projektów, pochwalić je w miarę, to już dużo zyskujesz bez żadnych kosztów, prócz zwykłej uprzejmości towarzyskiej...

— Tak, tak, masz słuszność... Już ja się uzbroję w cierpliwość i podbiję mu bębenka... Znam ja jego nutę, bo śpiewa ją nie od dziś.

— Ale nie można tego odkładać, mój Stefku. Zaraz obliczymy... Jutro jedziesz, pojutrzo wracasz, a więc od dziś za trzy dni pojedziemy.

— Będę jednak zdrożony — bronił się jeszcze.

— Odpoczniesz przez noc, a trzeba szybko działać, bo lada chwila ogłoszą wybory, a wtedy zapóźno na wizyty i politykowanie.

— Hm... prawda.. Wówczas będę miał dużo do roboty.

— Ale, ale, Stefku... należałoby też odwiedzić kanonika, gdy będziesz w mieście; zawsze ma on wpływ na księży, a ci na głosowanie.

— Nie wiem, czy znajdę chwilę wolną... Muszę się zwijać nielada, aby załatwić interes w jednym dniu...

— Wstąp choć na chwilę, a przynajmniej rzuć bilet...

— Już mnie nie nudź... Wpadnę do niego, gdy chcesz koniecznie — westchnął z miną męczennika...

— Mamo, a nasze sprawunki? — przypomniała panna Irena, podnosząc oczy od robótki.

— Dajcie mi spis; załatwię, o ile będę mógł— rzekł, ziewając. — A teraz zdrzemnę się choć na chwilę.

Po wyjściu ojca złożyła panna Irena robótkę i przygładzając nad uchem niesforne włosy, spytała:

— Mamo, jaką suknię wezmę do Zawierzyckich?

— Jaką?... A możeby kremową; w kremowej ci do twarzy...

— W kremowej widziała mnie już Zosia w Lubieńcu... A zresztą stanik leży nieszczególnie i już nie noszą takich rękawów... Możebym wzięła tę różową?

— Szkoda jej, zemnie się w powozie, i dla kogo się ubierzesz? Tam pewnie nie będzie nikogo...

— Ale, moja mamo, różowa teraz jest dobra, a zmieni się moda, co z nią zrobię? Będę nosiła chyba tylko w domu... Zresztą i tak będą pieniądze, to sprawi się nową.

— Zapewne, bo na przyjazd cioci Wandzi musisz mieć choć ze dwie sukienki.

— I jakie, moja mamo?—zawołała z uśmiechem radości, przysuwając się do matki.

Rozpoczęła się długa i szczegółowa rozmowa o kolorze, kroju, modach, krawczyni...

W końcu tej rozmowy, interesującej obie panie, matka rzekła:

— Weź już, Irenko, tę różową suknię do Zawierzyckich. Jeśli Zosia, jak mówił Władzio, była tak ładnie ubrana, nie chcę, aby moja córka miała gorszą suknię.

— Mojem zdaniem, Zosia zanadto się wystroiła. Panna w domu powinna mieć skromną sukienkę, nieprawda, mamo?

— Tak, moje dziecko, bo ktoś z boku, zwłaszcza mężczyźni, mógłby w takiej pannie widzieć strojnisię i zdaje mi się, że Zosia jest taką... Ale to rzecz nie nasza...

— Ja nigdy w domu nie wystroiłabym się tak, jak na liczne zebranie: to nie wypada, niema w tem szyku, jak mówi Władzio.

— Masz słuszność, ale nie wspominajże o tem u Zawierzyckich; powiedz Zosi, jak bardzo chwalił Władzio jej sukienkę.

— O, nietylko sukienkę... Zdaje mi się, moja mamo, że on naprawdę w niej zakochany.

— Ej, chyba nie, podobała mu się, może nawet i bardzo, ale od podobania do zakochania — da leko...

— A może on się z nią ożeni? Z niej mogłaby być niezła bratowa. Dosyć ją lubię, chociaż ona wydaje mi się niezbyt mądrą.

— Czy się ożeni?—mówiła matka z namysłem.— Któż to może wiedzieć? Gdyby oboje pokochali się szczerze, to dlaczegoż nie? Rodzina zacna, porządna,

a że tego i owego brakuje Zosi, nie stanowiłoby przeszkody.

— Czy on się zwierzał mamie? — spytała zaciekawiona. — Bo mama tak mówi, jakgdyby się coś układało.

— Nie zwierzał się i nic nie mówił, jak kocham ciebie, Irenko... Widziałam tylko jego zainteresowauie; cóż więc dziwnego, że nad tem rozmyślałam?

— A może on ukrywa przed nami? Ale się dowiem od Zosi; ona wypaple wszystko.

— Tylko ostrożnie, Irenko... Władzio nic nam nie mówił.., Może on ma inne zamiary, plany... Jest pełnoletni i może robić, co mu się podoba; chociaż jestem pewna, że Władzio nie ożeniłby się bez mego pozwolenia.

— Moja mamo, nie jestem dzieckiem, nie powiem, czego nie chcę, już ja ją zręcznie wybadam; nawet nie spostrzeże się, gdy zwierzy mi się ze wszystkiego.

— Ostrożnie jednak, Irenko, abyś nie wplątała siebie i Władzia.

— Już mama może być spokojną.

Nadbiegły z ogrodu dzieci, zziajane, spocone, a za niemi panna Berta i wszyscy poszli na podwieczorek.

Pani Świetnoska, po przyjeździe męża z miasta, wkrótce po przywitaniu, odezwała się:

— Mój kochany Stefku, czy przywiozłeś wiadomy ci papier?

— Oczywista, że odebrałem.

— Mógłbyś mi pokazać? — spytała łagodnym głosem.

— Nie tylko pokazać, ale oddać ci na pamiątkę.

— Proszę, daj.

Z bocznej kieszeni wyjął papiery, szukał, przeglądał, wreszcie znalazł i wręczył.

— Oto masz.

Rozwinęła i spostrzegła podpisany weksel na 2,000 złr.

— Jakto, i weksel podpisał?

— To dla formy.

— Ależ to była wielka nieostrożność, mogli go byli zniszczyć doszczętnie.

— Hm... podpisał, uważasz, umowę, musiał i weksel... No, nie chmurz się... Wszystko się skończyło dobrze i szczęśliwie.

— Gdyby jednak... gdyby...

— Teraz niema żadnego gdyby... rzecz załatwiona, i postanowiłem sobie nigdy już nie żądać podpisu Władzia.

— Naprawdę?—spytała z odcieniem radości, ale i niedowierzania.

— Jak cię kocham... Wiesz, za dużo miałem niepokoju, zwłaszcza, widząc twe zmartwienie.

— Chwała Bogu, że tak się skończyło i że nie powtórzy się drugi raz.

— O, co nie, to nie! Miałem dosyć na jeden raz.

— Pozwolisz mi, Stefku, zabrać te papiery?

— I owszem... Ale przedrzyj podpisy, bo gdyby weksel wpadł w cudze ręce, mógłbym mieć proces.

— Nie zapomnę... Pierwszą noc będę miała dziś spokojną... Ja mam papiery, ty pieniądze i prawie pewność zostania posłem.

— Idźże i odpocznij po tym tygodniu obawy i strachu... Dobranoc.

Od samego rana zajęła się panna Irena swą toaletą, wezwawszy do pomocy pokojówkę Bronię, ładną szatynkę, zgrabną, z wesołemi oczami i śmiejącemi się ustami.

— Przynieś mi suknię różową, muszę ją przymierzyć.

Za chwilę weszła Bronia do pokoju dość obszernego, z widokiem na ogród, niosąc delikatnie, z wielką ostrożnością żądaną suknię. Złożyła ją na małej kozetce, obitej szkocką materyą.

— Śliczna suknia; chyba królewne same chodzą w takich—uśmiechnęła się pokojówka.

Panna Irena rzuciła na sukienkę okiem znawczyni i dodała dość surowo:

— Broniu, ty chyba nigdzie nie służyłaś. Gdzie halka?

— Czy ta jedwabna, obszyta koronkami?

— Przecież nie czarna — odpowiedziała, chmurząc się.

Zbliżyła się do leżącej sukni, podniosła ją, i oglądała szczegółowo układ kontr-fałdów.

— Broniu — mówiła do wchodzącej — tę fałdę trzeba poprawić, a tę wyprostować.

— Czy zaraz?

— Wpierw przymierzę... A gdzie pantofelki? Ty dziś straciłaś zupełnie głowę... Rusz że się prędzej...

— W tej chwili.

Panna Irena zrzuciła suknię domową i w spodnicy białej i koszuli wygorsowanej stanęła przed zwierciadłem, przypatrując się z uwagą ładnie utoczouym rękom i gładkiemu gorsowi.

— Jasna panienka prześliczna! — zawołała Bronia z zachwytem.

Uśmiechnęła się panna Irena, nagle spoważniała, szybko rozpięła ramiączko koszuli i wpatrywała się uważnie w bronzową plamkę blizko ramienia.

— Nie mogę dojrzeć w lustrze; zobacz, Broniu, co to jest?

— Znamię, jasna panienko.

— To dziwne: dawniej tego nie spostrzegłam...

— Bo malutkie, ledwie znać...

— Podaj mi pudru.

Dotknięciem puchu raz i drugi przesłoniła ciemnawą plamkę, znów przyjrzała się w lustrze, mówiąc zadowolona:

— Teraz mniej widać...

Na drobnostkowych przygotowaniach stroju, czesaniu, dobieraniu rękawiczek, perfum i t. d. upłynął czas do wyjazdu.

Panna Irena, okryta starannie lekkim płaszczykiem, usiadła w powozie z wielką ostrożnością, aby nie zmiąć sukni, zasłoniła twarz gęstą woalką przed słońcem i kurzem, wysłuchała licznych rad matki, szorstkiego zniecierpliwienia ojca, i wreszcie konie ruszyły.

— Stój! — zawołała na stangreta panna Irena, głosem niemal przerażonym.

— Co się stało? — spytał ojciec spokojnie, w chwili gdy silnie ściągnięte konie zatrzymały powóz.

— Zapomniałam bransoletki — i zwróciła się do lokaja, siedzącego na koźle. — Skocz do dworu i powiedz Broni, aby ci dała bransoletkę, tę, która leży na gotowalni w moim pokoju.

Lokaj zeskoczył i pobiegł.

— Było czego zatrzymywać konie—mruknął ojciec niezadowolony.—Po co ci bransoletka?

— Papo, to *porte bonheur!*

— Przesądy... Nie dla bransoletki ożeni się ktoś z tobą.

— Stefanie—mówiła po francusku żona—służba nas słucha.

— Ależ, bo ile razy wyjeżdżamy, zawsze to jedna, to druga z was coś zapomni, i czekaj. Kiedyż dojedziemy?

— Papo, już jedziemy—zawołała córka, widząc nadbiegającego lokaja.

— Przypomnij no sobie, może jeszcze coś zapomniałaś—mruczał niezadowolony.

— Nie irytuj się, już jedziemy—przemówiła żona łagodnie, gdy powóz ruszył. — A ty, Irenko, uważaj na drugi raz.

Do Miłoszyc przyjechali w chwili, gdy państwo Zawierzyccy mieli zasiąść do podwieczorku.

Po serdecznem przywitaniu, zwłaszcza ze strony Zosi, usiedli wszyscy w salonie, tylko pani Zawierzycka wyszła na chwilę, aby wydać stosowne rozporządzenie do przyjęcia gości.

— Wybierałem się, Stefanie, w tych dniach do ciebie — przemówił marszałek, usadowiwszy gościa na fotelu w salonie—gdyż dziś odebrałem prywatną wiadomość, iż wybory z kuryi wiejskiej odbędą się w końcu sierpnia, a wiesz zapewne, że jesteś kandydatem z ramienia komitetu centralnego.

— Przyjechałem, aby ci podziękować za dowód zaufania, którem mnie zaszczyciłeś—i uścisnął serdecznie rękę gospodarza.

— Dowiedziałem się przypadkowo — tu spojrzał mimowoli w stronę pań — że kandydujesz; dlaczegoż robiłeś tajemnicę przedemną?

— Wiesz, Antoni, jakoś było mi niezręcznie mówić przy Grzalińskim i Dobieradzkim...

— Hm... nie rozumiem dobrze przyczyny, dlaczego miałbym ukrywać, że chcę służyć krajowi, bo posłem być, to twarda służba i wielka odpowiedzialność...

— I ja to wiem—mruknął gość.

— Znam twoje zasady i o nie jestem spokojny, wiem, że się im nie sprzeniewierzysz.

— Wychowałem się w tych zasadach i umrę z niemi—odrzekł gość z naciskiem.

— Wierzę... Ale uważasz, Stefanie, decydując starać się o poselstwo, masz zapewne gotowy program działania i reform potrzebnych.

— No, tak... zapewne... — odpowiedział z wahaniem.

— Bo gdybyś nie czuł konieczności przeprowa-

dzenia pewnych zmian i ulepszeń, nie podejmowałbyś się przecie tak uciążliwego obowiązku.

Pan Świetnoski skinął głową, westchnął i rzekł:

— Że to sprawa ciężka i kosztowna, domyślasz się chyba.

— Wiem, ale i to także rozumiem, że człowieka chwyci się czasem jaka idea, myśl, pożądanie szerszej pracy i póty nurtuje, gnębi, męczy, aż zrobi człowieka niewolnikiem i zmusi do działania w tym kierunku.

— Tak... tak... — westchnął — znam ja tę niewolę uczuć... Powiadasz sobie: „Nie chcę! Po co mi to?" a serce ci każe i kwita.

— Serce!? — uśmiechnął się gospodarz. — Hm... zapewne... Tylko, że nas zgubi ta polityka serca. Rozum i doświadczenie decydują w sprawach politycznych; serce zachowajmy dla naszych stosunków osobistych.

— Masz racyę, Antoni. Wiesz, to tak jakoś wymknęło mi się z tem sercem, bo co ma serce wspólnego np. z przeprowadzeniem kolei.

— A... powiadasz kolei... Masz więc zamiar żądania jej... i dokąd? gdzie?

— Hm... to dopiero projekt... W każdym razie stacya byłaby w miasteczku naszem.

— Hm... to myśl niezła, wprawdzie nie nowa, bo już ks. Chromec ją poruszył, ale nie mógł jej przeprowadzić. Może ty będziesz szczęśliwszy... I którędy pójdzie?

Pan Świetnoski na razie wiedział tylko tyle, że kolej ma dotknąć Wiktorówki i miasteczka, teraz postanowił wciągnąć i Miłoszyce.

Wspomniawszy kilka wsi, przez które kolej projektowana miałaby przechodzić, dodał i majątek marszałka, mówiąc w dalszym ciągu:

— Bo uważasz, Antoni, taka kolej ożywi cały powiat: zwiększy się handel, ułatwi nam dostawę produktów i sprowadzanie rzeczy potrzebnych...

— Tak, tak, Stefanie, gdybyś tylko tę jednę kolej przeprowadził, już miałbyś zasługę znaczną... Niema się jednak co łudzić, tak łatwo nie dopniesz tego. Galicya zadłużona... Zjadają nas te dodatki do podatków... A rząd wiedeński skąpi nam wszystkiego.

— Hm... zawsze spróbuję... bo kolej to rzecz ważna, bardzo ważna.

— O jakiej to kolei mówicie panowie?—spytała pani domu.

— Stefan ma zamiar zaprojektować kolej, przecinającą nasz powiat—objaśnił marszałek.

— Czy przechodziłaby w danym razie i przez Miłoszyce?—mówiła zainteresowana.

— Naturalnie—podchwycił pan Świetnoski—kolej budowana na równinie jest tańsza, a właśnie Miłoszyce leżą na równinie.

— A przez majątek państwa?—pytała dalej.

— Hm... nie wiem... prawdopodobnie szłaby przez Wiktorówkę...

— To byłoby bardzo korzystne dla wszystkich — dodała pani Świetnoska, spojrzawszy z odcieniem dumnego zadowolenia na projektodawcę.

— Jeśli się uda — dodał marszałek. — Możnaby nawet coś w rodzaju petycyi z powiatu urządzić...

— Jadąc do państwa — zaczęła pani Świetnoska—mówił mi mąż, że pragnie porozumieć się z panem marszałkiem w kilku ważnych sprawach, bo któż bliżej zna potrzeby powiatu, jeśli nie pan marszałek.

Mąż spojrzał trochę zdziwiony, gdyż nie pamiętał, aby o tem coś wspominał, ale na znak potwierdzenia słów żony skinął głową.

Marszałkowi pochlebiło to uznanie, uśmiechnął się zadowolony i odpowiedział:

— Z konieczności musiałem wejrzeć w te sprawy... I jeśli tylko Stefan chce, służę mu każdej

chwili mojem doświadczeniem... O cóż ci idzie, mój Stefanie?

— Pomówicie panowie później... Teraz proszę na herbatę.

Pan Świetnoski wstał i odetchnął z uczuciem ulgi; powstały i panie ze swych miejsc. Panny cofnęły się trochę, aby starsze panie przeszły, a promienie słońca, wpadające przez boczne okno, jasno je oświetliły.

Panna Irena, strojna, wysoka, z ładnie upiętemi, czarnemi włosami, uśmiechnięta przyjemnie, wyglądała istotnie imponująco wobec Zosi, niższej cokolwiek, ubranej w zefirową, seledynowego koloru sukienkę, zrobioną jednak bardzo zgrabnie. Obiedwie uśmiechnięte, wesołe, rozmawiały ze sztucznem zainteresowaniem o ostatniej przeczytanej powieści.

Przy herbacie rozmawiano o pogodzie, blizkich żniwach, o cenach i służbie domowej, a gdy te tematy groziły wyczerpaniem, wszczął gospodarz sprawę wyborów.

— Nie ulega wątpliwości, że starostwo ciebie, jako kandydata komitetu centralnego, będzie popierało, ale zostają wyborcy; tych trzeba pozyskać...

— Hm.. żydów prawie mam za sobą—rzekł pan Świetnoski.

— To dobrze, oni mogą przeważyć szalę na twoją korzyść... Jednak pozostają jeszcze wyborcy z gmin.

— Wiesz, Antoni... jakoś się wpłynie na nich, trochę starostwo, trochę duchowieństwo i może... rada powiatowa.

— Rada powiatowa?!... No, tak, zapewne, lecz sam wiesz, że chłopi odnoszą się do rady z niedowierzaniem, możnaby powiedzieć tym i owym, muszę jednak sam wprzód wiedzieć, co mam im mówić w twojem imieniu.

— Ano, tak, coś ogólnie — bąkał niepewnym głosem.

— Teraz chłopi są inni, mogą dopytywać się' co sądzisz o ustawie drogowej, kościelnej, szkolnej..'

— No, przed nimi i z nimi nie myślę się wdawać w takie szczegóły; jest przecie konstytucya, są ustawy, idzie o ścisłe i sprawiedliwe wykonanie.

— Jeśli idzie o zasadę ogólną, masz słuszność... Ale uważasz, ta nasza konstytucya, że użyję porównania, była nagle i z wielkim pośpiechem zbudowana, coś nakształt domu... I, jak zwykle w pośpiechu, zakradły się do budynku niedokładności: tu piec dymi, tam drzwi się spaczyły, owdzie okna niedopasowane, ściany się pogięły... i od tego są sejmy, aby naprawiły ten budynek. Jedna niedogodność bardziej dokucza, druga mniej, coś trzeba z gruntu przerobić, a tamto poprawić. Ty, jako poseł, jesteś budowniczym, więc co myślisz zrobić?

Po chwili milczenia gość rzekł:

— Szczegóły zaprowadziłyby nas daleko; wiem ja dobrze, co mi dokucza, tem samem i chłopu, tylko, że jemu w mniejszym zakresie; o te ulgi będę się starał, a będzie mi lżej, to i im będzie lepiej, tylko niech każdy pilnuje swego. My siedzimy na roli, pracujemy, dbamy o ziemię, a taki chłop, tylko mu coś niedopisze, zabiera manatki i zaraz emigruje. Temu trzeba zapobiedz, bo to zmarnowanie sił, i im gorzej, a nam także.

— Tak, tak, emigracya jest złem, które trzeba usunąć, nawet surowo wzbronić, ale dopiero wówczas, gdy chłop znajdzie dostateczny zarobek w kraju, bo teraz przychodzi mu albo ginąć, albo emigrować za granicę.

— Czyż to mało zarabiają przy nas? — obruszył się pan Świetnoski.

— Gdy jest robota w polu—uśmiechnął się gospodarz — ale większą część roku siedzi w chacie, a jeść musi... U siebie namówiłem kilku, aby zajęli się rzemiosłem, i zaczęli; naraz opodatkowano ich, jako prowadzących rzemiosło dochodowe, chociaż jeden

tylko łatał buty, a drugi sukmany... Naturalnie obaj zwinęli warsztaty... Otóż dajmy chłopu możność zarobku, podnieśmy przemysł domowy, zakładajmy fabryki, a wówczas zabraniajmy wychodźtwa.

— Ho, ho, ho, nie wiedziałem, że z ciebie taki radykał — roześmiał się z przymusem pan Świetnoski.

— Nie, mój kochany, chce być tylko sprawiedliwym... i to dodam, że nie powiedziałbym tego przed chłopami, tylko wobec swoich. Chłop powinien mnie słuchać i wierzyć; na żadne mędrkowania, krzyki, groźby nie pozwalam; muszę mieć swobodę działania i wolny wybór środków polepszenia ich bytu.

— A wiesz, Antoni, zanimbyś doszedł do stworzenia chłopom nowych zarobków, wyludniłby się kraj, zmarniałoby całe gospodarstwo. Mojem zdaniem, najpierw zakazać, a równocześnie starać się o zakładanie fabryk, budowę kolei.

— Hm... może twoja droga lepsza, chociaż wiem z doświadczenia, że jak chłop chce pójść w świat, pójdzie, bo z natury uparty i zawzięty jest.

— Znam ja ich, znam—mruknął—i środek na nich, to rozkaz poparty siłą; wtedy każdy mięknie, jak wosk w palcach.

— Oni nie byliby może tak źli — przemówił marszałek—gdyby ich nie podjudzano; dawniej z chłopem mówił tylko szlachcic, i dobrze było, dziś Bóg wie jacy podburzają chłopów, przewracają im w głowach, buntują i teraz chłop nikogo nie słucha... Nie szukając daleko, ten Drewniak co dokazuje...

— Cóż takiego? — spytała pani Swietnoska. — Czyż on jest jeszcze w powiecie?

— Jest tu — odpowiedział — a należąc do powiatu i gminy Bruśnik, nie może być wydalony. Dlaczego pani pytała?

— Pisał mężowi syn ze Lwowa, że ten Drewniak jest jakimś nauczycielem, i jako taki, musi ustąpić na żądanie przełożonych.

— I ja wiem, że jest nauczycielem gimnazyalnym, otrzymał jednak urlop w celu poratowania zdrowia — uśmiechnął się z ironią — i rozbija się teraz w naszym powiecie. To człowiek niebezpieczny: jako syn chłopski, umie grać na duszach chłopskich, a jako ambitny, nie zaniedba niczego, byle dopiąć celu.

— Ej, chyba nie taki straszny — zaśmiał się lekceważąco pan Świetnoski;—nie takim, jak on, daliśmy radę. Bać się go niema potrzeby.

— Tu niema mowy o bojaźni; ale mimowoli nasuwają się pewne wątpliwości, czy wybór wypadnie dla ciebie pomyślnie.

— Jakto, pan marszałek wątpi?—wywołała pani Świetnoska, ze źle ukrytym niepokojem.

— Strachy na Lachy—udał pewność siebie kandydat na posła.

— Zapewne wiesz, Stefanie — zaczął marszałek poważnie — że delegaci z gmin mają w swej kuryi trzy czwarte głosów, a jednę czwartą wiryliści i żydzi... Jeśli z tych trzech czwartych przeciągnie Drewniak na swoją stronę tylko połowę, a reszta głosów albo się rozstrzeli, albo, co u nas dzieje się zazwyczaj, nie stanie do urny wyborczej... może być z twoim wyborem źle.

— Ach, mój Boże — jęknęła pani Świetnoska— to aż tylu chłopów wybiera? Cóż radzi pan marszałek?

— Należy przeciwdziałać Drewniakowi, wpłynąć na chłopów, ująć sobie wyborców...

— Mówisz, Antoni, tak, jak gdybyś nie znał naszego chłopa — zaśmiał się właściciel Bruśnika: — tego zastraszy egzekutor, tamtego lustrator, innym każe starosta, a reszta będzie głosowała za tym, który da kiełbasę i wódkę.

— Do tego rodzaju wyborów ucieka się w ostateczności—rzekł z niesmakiem marszałek—może i nam przyjdzie użyć tych środków, ale, mojem zdaniem,

takie wybory demoralizują lud, uczą frymarki sumieniem, lekceważenia obowiązków i ustaw... Taka gospodarka może mieć dla nas kiedyś fatalne następstwa, my teraz bijemy tą bronią chłopskich kandydatów, kiedyś oni nas pobiją.

— A co zrobiłbyś ty, mój katonie? — zaśmiał się drwiąco pan Świetnoski. — Podaj inny sposób trafienia do chłopów; może go użyję.

Marszałek zmarszczył czoło, zabłysnęły mu oczy gniewnie, ale wnet się uspokoił i mówił tonem swobodnym:

— Nie kandyduję, więc nie zastanawiałem się nad tem... ale kto wie, czy nie użyłbym sposobu Drewniaka.

— Jakiego? — spytał gość z uśmiechem sceptycznym.

— O ile wiem, zwołał on już sześć zgromadzeń poufnych, prawdopodobnie utworzy rodzaj komitetu wyborczego z chłopów, sam agituje pośród prawyborców i prawdopodobnie przyrzeka im wstawiennictwo swe w sejmie w różnych sprawach.

— No, nie zechcesz przecież, mój Antoni — mówił z lekkiem oburzeniem kandydat — abym stawał przed chłopami i kaptował ich obietnicami.

Nawet panie spojrzały zgorszone na marszałka.

— Źle mnie zrozumiałeś, Stefanie, przecież nie przypuszczasz, abym spiskował potajemnie z chłopami na poufnych zgromadzeniach. Jeślibym coś robił to otwarcie, w jasny dzień, głośno. Może... ale tylko może, zwołałbym wiec chłopów przed wyborami delegatów z gmin, wysłuchałbym ich żądań i skarg... Wytłómaczyłbym i wyjaśnił, co mogę zrobić dla nich w sejmie, powiedziałbym, co jest słuszne i sprawiedliwe z ich wymagań i nadziei i... i ręczę ci, że poważniejsi gospodarze byliby za mną, bo wiedzą, że szlachcic nie rzuca słów na wiatr, to nie żaden obieżyświat, który dziś jest, a jutro szukaj wiatru w polu, tyl-

ko każdej chwili mogą się zgłosić i zastaną go na miejscu.

— A ja bardzo wątpię, aby to odniosło jakikolwiek skutek—uśmiechnął się ironicznie pan Świetnoski.—Chłopi są rozwydrzeni, rozpolitykowani, a widząc, że dbam o nich, dopiero wsiedliby na mnie, sądząc, że boję się ich delegatów,.. Nie, nie tędy droga, mój Antoni; chłopstwo musi znać rygor i posłuszeństwo... Powiedz sam, w jaki to sposób odbywają się wybory do rad powiatowych... Zostaw tylko chłopom wolną wolę, zobaczysz, ilu chłopów zasiądzie w twej radzie i co poczniesz z nimi?

— Co innego rada powiatowa, a co innego sejm. Dziś i tak mam w radzie dwóch chłopów, obaj niczego; na razie nie mogli wejść do wydziału, ale jak się przyuczą, sam poprę ich wybór, bo z chłopem trzeba iść zwolna; najpierw niech będzie radnym gminnym, potem wójtem, nareszcie wpuściłbym do sejmu... Ale gdy nagle takiego chłopa od pługa chcą dać do wydziału rady, albo do sejmu, muszę się sprzeciwić, a cóż dopiero takiego przemądrzałego syna chłopskiego, jak Drewniak.

— To zapewne nieudany Robespierre — dorzuciła złośliwie panna Irena, co obecni przyjęli uśmiechem uznania.

Pani Zawierzycka watała; podnieśli się goście.

— Może pozwolisz cygaro? — spytał uprzejmie gospodarz.

— I owszem, wypalę w ogrodzie.

— I my pójdziemy przejść się — rzekła głośno panna Irena.

Całe towarzystwo skierowało się ku drzwiom do ogrodu, a marszałek, nawiązując dalej rozmowę, mówił głośno:

— Bądź co bądź, trzeba, Stefanie, działać i przeciwdziałać temu Drewniakowi,..

— Radź-że: jak? — odpowiedział z uśmiechem ironicznym.

— On pochodzi z twojej wsi i jest synem twego chłopa, należałoby wpłynąć na poważniejszych chłopów, na jego ojca, aby go powstrzymali w jego zapędach... A możebyś sam z nim pogadał. Na takich ludzi, jak on, działa grzeczność, stanowisko, majątek...

— Hm... moi chłopi z powodu wyrąbu mają do mnie żal; potrafię jednak wpłynąć na nich... Jakoś to będzie.

Gospodarz, spostrzegłszy, że gość jego niechętnie rozmawia o swym wyborze, zmienił temat i zaczął pogawędkę o zbliżających się żniwach.

— Jakież piękne kwiaty!—chwaliła pani Swietnoska.

— A widzi mama, co za śliczny dobór braków—zawołała panna Irena, która z dwiema pannami szła o kilka kroków naprzód i przystanęła.

— Zobaczy pani floksy—odezwała się Julcia.— Brat pani mówił, że tak pięknych niema nawet we Lwowie.

— Zauważyłam — uśmiechnęła się panna Irena do Zosi — że Władzio wrócił zachwycony wszystkiem w Miłoszycach i ciągle nam opowiadał o swych wrażeniach.

Zosia zarumieniła się leciutko i spuściła oczy na kwiaty.

— Dawno wyjechał pan Władysław? — spytała pani Zawierzycka.

— Na drugi dzień po powrocie od państwa — odpowiedziała pani Świetnoska—i bardzo żałował, że obowiązki zmusiły go do wyjazdu, co, przyznam się pani, trochę mnie zdziwiło.

— Dom rodzinny zawsze jest miły, ale dzieci to poznają wówczas, gdy muszą go opuścić — mówiła z odcieniem smutku pani Zawierzycka.

— Tylko my, kobiety, odczuwamy, co znaczy dom rodzinny — uśmiechnęła się — dla mężczyzn on obojętnieje. I Władzio dawniej rwał się do Lwowa;

wpadał do nas na dzień, na dwa... A teraz widziałam, że mu się bardzo nie chciało odjeżdżać, zwłaszcza po powrocie z Miłoszyc... Bo istotnie, tak miłego domu, jak państwa, napróżno szukać.

— Pani zbyt łaskawa—odpowiedziała z uśmiechem zadowolenia.

— Idźmy dalej, Irenko—zachęcała zarumieniona Zosia.

Pani Świetnoska, patrząc na młode panny, mówiła:

— Nie mam zwyczaju prawienia komplementów, ale istotnie u państwa bardzo miło... A jak Zosia wypełniała i jaka zgrabniutka, nie dziwię się teraz wcale, że patrząc na nią można głowę stracić.

— To jeszcze takie dziecko — uśmiechnęła się rada matka. — Irenka pani, to prawdziwa piękność: jaki śliczny odcień mają jej włosy, bardzo lubię czarne, a moje obie blondynki.

— Ja znów wolałabym, aby Irenka miała takie złotawe włosy, jak Zosia.

— Czy tę różową sukienkę Irenki kazała pani robić we Lwowie?— spytała pani Zawierzycka.

— Tak jest, posłałam tylko stanik na ręce Władzia i on zajął się dopilnowaniem.

— Pan Władysław?—zdziwiła się.

— Nie uwierzy pani, jak on się zna na damskich strojach... Np. opisywał nam szczegółowo blado-niebieską sukienkę Zosi, i nie miał dosyć słów pochwały, że taka elegancka a skromna... A gdzie była robiona?

— Model sprowadziłam z Wiednia, a w domu kazałam szyć.

I panie zaczęły mówić o zaletach i wadach: mody, kroju, krawczyń.

Panny weszły w cienistą aleję, rozmawiając głośno i wesoło o ostatniem zebraniu, na którem były. Wtem panna Irena przystanęła, mówiąc:

— Daj mi, Zosiu, twoją rękę.

Podała trochę zdziwiona żądaniem, a panna Irena, uścisnąwszy raz i drugi raz, puściła rękę mówiąc:

— Tak... to prawda!

— Ale co, moja Irenko? Jaka prawda?

— To, że w dotknięciu masz rękę nadzwyczaj miłą i przyjemną.

— Ja?

— Mówił mi ktoś, kogo i ty znasz, że twoja ręka jest piękna, a w dotknięciu aksamitna.

— Kto mówił?—spytała zarumieniona, bo przeczuwała, że to pan Władysław.

— Kto?—zaśmiała się.—Zgadnij, Zosiu... Ktoś taki, który zachwyca się nietylko twoją ręką, ale tobą całą.

— Nie wiem—odpowiedziała cicho.

— Jskaś ty niedomyślna... Przypomnij sobie, kto uścisnął twoją rękę... Nie wiem, czy w pokoju, czy w ogrodzie, bo tego mi nie mówił. Wiesz już?

— Może się i domyślam — szepnęła zaróżowiona.

— Może?... Więc już ci powiem... To Władzio mówił, że ręka twoja jest zachwycająca...

Zosia spojrzała mimowoli na swe ręce, szczerze się zdziwiła, że one mogły wzbudzić zachwyt, i bezwiednie po chwili spytała:

— I co więcej mówił pan Władysław?—powiedziawszy, pożałowała pytania, bo Irena była taka rozbawiona i uśmiechała się ironicznie.

— Cały dzień następny, aż do odjazdu, nieustannie mówił mamie i mnie o tobie... „A jej niebieska sukienka była cudowna... Włosy błyszczały, jakby osypane pudrem złotym..."

— Nigdy nie używam pudru—zawołała.

— I on i ja wiemy o tem, tylko zrobił porównanie takie, a potem mówił o oczach, rysach, figurze... o wszystkiem, tylko skarżył się, że... — umilkła nagle, chcąc widzieć wrażenie swych słów.

— Na co się skarżył? — zdziwiła się. — Powiedz mi, Irenko...

— Że byłaś oschła i bardzo ceremonialna.

— Zdawało się panu Władysławowi; byłam jak zwykle...

— Coś jednak musiało być, bo ty się czerwienisz, a on się skarżył.

— Ależ nic... Tylko po tak długiem niewidzeniu czuje się pewne skrępowanie...

— To prawda—zaśmiała się filuternie.—Skrępowałaś go, jak niewolnika.

— Ja? Nie myślałam o tem wcale i jestem pewna, że pan Władysław nie czuje się niczem skrępowany.

— O tem ja wiem lepiej, jako jego siostra — uśmiechnęła się, i biorąc ją pod rękę, szeptała:—Powiedz mi, moja Zosiu, o czem rozmawialiście?... Bo Władzio wrócił od was taki zmieniony, jakiś smutny, rozmarzony... Co on mówił?

— Zwykła rozmowa—odpowiedziała wymijająco, nie chcąc zdradzać swej tajemnicy — o kwiatach... Lwowie... o karnawale ostatnim...

— Ty mi, Zosiu, nie ufasz... Kryjesz się przedemną... a jednak ja cię tak kocham, jestem twoją przyjaciołką..:

— Nie mam nic do ukrywania... Rozmawiałam zresztą mało z panem Władysławem, bo byli goście i zaraz po kolacyi wyjechał.

— Kto był wówczas?

— Panowie Dobieradzki i Grzaliński.

— Ach, prawda, wspominał o nich i Władzio... Czy który z nich stara się o ciebie?

— Ani jeden, ani drugi.

— Słyszałam, że wzdychają do ciebie—zaśmiała się—i nic dziwnego, jesteś taka ładna.

— Tyś o wiele piękniejsza—mówiła szczerze— a co do nich, to obydwaj są mi najzupełniej obojętni,

nie podobają mi się i zapewne ja im, bo tak zwykle bywa w życiu.

— A wiesz, Zosiu, podobno pan Grzaliński farbuje sobie włosy i wąsy.

— Tak wyglądają... A nie znoszę pretensyonalnych mężczyzn.

— I ja... Ale Władzio doskonałe mi rzeczy opowiadał o swych kolegach, jak oni się stroją, noszą sznurówki jakieś, godzinami siedzą przed lustrem, jak stare kokietki—zaśmiała się złośliwie.

— Czyż to możliwe?—zdziwiła się Zosia.—I to ci opowiadał pan Władysław?

— Tak jest.

— W takim razie to prawda, ale jakie to dziwne, Irenko; i co więcej o nich mówił pan Władysław?

Panna Irena opowiadała półszeptem, ze śmiechem, o sztucznych i troskliwych staraniach elegantów utrzymania nastroszonych, dziwacznie zakręcanych wąsów; o pielęgnowaniu cery i włosów i t. d.; nie zapominała jednak o zaspokojeniu swej ciekawości i spytała znienacka:

— A nie mówił ci Władzio, jak mu smutno i tęskno we Lwowie?

— Tak, wspominał o tem.

— To zapewne i to mówił, że gdyby się zmieniły jego warunki, porzuciłby to nudne, samotne, kawalerskie życie.

— Wyraźnie tego nie powiedział, ale tak ogólnikowo.

— A widzisz, Zosiu! — zaśmiała się wesoło. — Już teraz wiem wszystko; nie chciałaś mi powiedzieć sama, lecz domyśliłam się.

— Gdybyś się była spytała wręcz, jak teraz, byłabym ci szczerze odpowiedziała, bo przed tobą nie chcę nic ukrywać.

— Wiesz, Zosiu, byłabym bardzo ciekawa widzieć was oboje razem; sądząc z tego, co on mówił

o tobie, musi mieć zabawną minę takiego kotka, przymilającego się do ciebie.

— Nie wiem... Pan Władysław był, jak zwykle, uprzejmy.

— Irenko! Irenko! — zawołała pani Świetnoska.

A gdy panny wróciły, mówiła zwrócona do pani domu:

— Noce teraz są ciemne; musimy jechać do domu.

— Nie zrobi pani nam tej przykrości, aby zabawić u nas tylko kilka chwil — prosiła marszałkowa.

— Na drugi raz bardzo chętnie zostanę, ale dziś... ale teraz.

Pani Zawierzycka zwróciła się do opodal idących panów:

— Antosiu!... Państwo Świetnoscy chcą już odjeżdżać!

— To niemożliwe! — zawołał, zbliżywszy się.— Jeśli państwo zrobicie nam tę krzywdę, to przyjechawszy do was, nie każemy wyprzęgać koni.

— Kiedyż ja istotnie boję się jechać w noc ciemną—przemówiła pani Świetnoska.

Marszałek spojrzał na zegarek i rzekł:

— Teraz jest siódma, o dziewiątej zachodzi słońce... Zaraz podadzą kolacyę, i przed zachodem wyjedziecie państwo.

— Zostaniemy, Celinko — uśmiechnął się pan Świetnoski.—Ale pamiętaj, Antoni, nie puścimy i my ciebie przed kolacyą.

— Zgoda. Dróg powiatowych ja się nie boję, bo są pod moim zarządem—zaśmiał się wesoło.

— Pójdę na chwilkę i każę podawać — odezwała się pani Zawierzycka, odchodząc w kierunku domu.

Marszałek rozpoczął ożywioną rozmowę z pan-

nami o zabawnych wypadkach podróży nocną porą w czasie zawiei śnieżnych.

Pani Świetnoska zwróciła się do męża:

— Zapewne nie widziałeś goździków; są bardzo piękne — wskazała na klomb o kilka kroków. — Może zobaczysz.

Gdy oboje znaleźli się przy klombie, szepnęła:

— Mój drogi, zrób tę formę i przyjm rady marszałka.

Spojrzał na nią chmurnie, mrucząc:

— Mam swój rozum, rad nie potrzebuję.

— Ale, mój kochany, poparcie rady powiatowej bardzo ci się przyda, a uprzejmość dla marszałka nie zobowiązuje cię do niczego.

— Już ja sam wiem, co robię.

— Więc zrób to dla mnie, proszę cię bardzo o to.

— Hm... niech i tak będzie.

— Dziękuję ci — i podnosząc głos, mówiła. — Widzisz ten ciemny gwoździk; jakaż to śliczna odmiana!

— Hm... prawda, prawda—i wkrótce wrócili do towarzystwa.

Podczas kolacyi pani Świetnoska przemówiła do męża:

— Czy porozumiałeś się już z panem marszałkiem w sprawach wątpliwych?

— Jakich?—spytał zdziwiony.

— Nie znam się na polityce — uśmiechnęła się — ale coś usłyszałam, gdy mówiłeś z Władziem.

— A, o tych—mruknął—hm... hm... nie mogłem zbytecznie trudzić.

— Nie godzi się, Stefanie, robić takich ceremonij!—zawołał gospodarz.—Wiesz najlepiej, że interesuję się wszystkiem, co dotycze kraju... Cóż mówiliście z panem Władysławem?

— Hm... hm... mówiliśmy o różnych kwestyach, np. o braku egzekucyi powiatowej...

— To rzecz bardzo pilna i ważna—przemówił żywo marszałek.—Narzekają na radę, że nic nie robi, nie pilnuje gmin, dróg, szkół i t. d., ale róbże tu coś, gdy nikt nie chce słuchać dobrowolnie, a chcesz coś przeprowadzić, proś starostę, aby raczył poprzeć swą powagą twoje rozporządzenie... Trzeba dużo cierpliwości i wyrozumienia, aby być w instytucyi bezsilnej, a mimo to odpowiedzialnej za różne nieporządki i niedokładności.

— To uważasz, Antoni, trzeba koniecznie zmienić... Już ja poruszę to w sejmie — mówił zadowolony ze swego pomysłu — jeśli tylko mnie wybiorą.

— Dlaczegoż nie miałby pan zostać posłem? — wmieszała się pani Zawierzycka.

— Hm... to zależy, pani marszałkowo, od różnych okoliczności...

— Myślę, że jako kandydat komitetu centralnego przejdziesz—dodał marszałek—a gdybyś w sprawie rad powiatowych potrzebował materyału statystycznego, ile to podań i próśb wpływa, a jak mało z tego się załatwia, bo poprostu sił niema do wykonania, służę ci chętnie.

— I owszem, mój Antoni, liczę w tej sprawie na ciebie.

— Będąc w mieście, wpadnij kiedy do biura rady, najlepiej w czasie sesyi; porozumiemy się i każę przygotować dla ciebie materyał... O czemże więcej rozmawialiście?

— Ano... wiesz... jak to bywa, potrąca się o to, o owo... Mówiliśmy o drogach naszych...

— Co do dróg... to mówiąc tak szczerze, ale tylko między nami, chłopi płacą za drogo, a my za mało.

— Bój się Boga, zważ, ilu ich jest we wsi, a ilu nas—obruszył się kandydat.

— Hm... zapewne... tylko ile my z tych dróg korzystamy, a ile chłopi... Zależy przecież od obszaru ziemi dworskiej i chłopskiej... Policz, ile ty zboża dostawiasz kupcom? ile buraków? ile drzewa z lasu?... Naturalnie, gdyby mię chłop skarżył, znalazłbym argumenty, że podział ten jest słuszny i sprawiedliwy, bo tego wymaga porządek społeczny, nie mogę przecież pozwolić, by chłop krytykował ustawy i prawa: któż będzie ich słuchał i ulegał im?... Jednak z drugiej strony, my, którzy rządzimy i stoimy na czele, powinniśmy być sprawiedliwi.

— Trudno mi się zgodzić z tobą — mówił z powagą pan Świetnoski — policz tylko, ilu chłopów jeździ na jarmark, a ilu ze dworu? Albo też do kościoła, na odpust? Hm... tu potrzebaby statystyki ścisłej, dokładnych obliczeń, a wówczas możeby mnie cyfry przekonały.

— Tak... tak... — westchnął marszałek — może ty masz słuszność, a może ja, ale na wszystko trzeba mieć dowody. Może kiedyś dojdziemy do ścisłej statystyki; dziś idziemy prawie naoślep.

Lokaj zaczął nalewać wino w kieliszki, marszałek, lekko zdziwiony, spojrzał na żonę, gdyż do kolacyi było piwo; odpowiedziała mu, wskazując oczyma na pana Świetnoskiego.

Wstał z krzesła gospodarz, mówiąc:

— Zdrowie przyszłego posła, aby wszystkie swe projekta i plany dążące do poprawienia społecznych stosunków, przeprowadził szczęśliwie, sobie na chwałę, nam na pożytek.

Pan Świetnoski przyjął ten toast bardzo mile, odczuł szczerze już teraz, jak ważną i wpływową zostaje osobistością, zdawało mu się, że losy kraju trzyma w ręku, że utrzymanie porządku społecznego zależy od jego przemówień, że wstąpiwszy na arenę publiczną, w sejmie, pokaże wszystkim, co zrobi i znaczy Świetnoski herbu Gryf. To też z godnością, ale

i z łaskawą przyjaźnią trącał się kieliszkiem, wreszcie przemówił:

— Może zawcześnie pijesz, Antoni, moje zdrowie, jako posła, ale spodziewam się, że coś nie coś dla dobra kraju potrafię zrobić. Pracując ciężko na roli, w chwilach wolnych badałem nasze stosunki i niejedno się przemyśliło, co teraz w sejmie w czyn przeprowadzę. Zanim to jednak się stanie i cokolwiek nastąpi, jesteśmy w przyjaźni... i wnoszę zdrowie gospodarstwa.

Nowe dźwięki kieliszków, nowe ukłony i uściski rąk.

Wkrótce po toastach skończyła się kolacya i państwo Świetnoscy zabierali się do odjazdu, wyprowadzani przez gościnnych gospodarzy na werendę.

Nastąpiły czułe pożegnania, zwłaszcza pań i panien. Marszałek na odjezdnem jeszcze raz przypomniał panu Świetnoskiemu:

— A nie zapomnij o Drewniaku...

— Cóż takiego?

— Trzeba przeciwdziałać i wpłynąć na wyborców.

— Dobrze, Antoni, już ja to zrobię, byle rada pomogła mi także.

— O ile będę mógł, postaram się o to.

— Kiedyż możemy się spodziewać państwa u siebie? — spytała pani Świetnoska z wielką uprzejmością.

— Zapewne wkrótce... o ile mężowi czas pozwoli...

— Prosimy, bardzo prosimy! — zawołali z powozu.

— Do miłego widzenia.

Konie ruszyły i powóz znikł za bramą wjazdową.

— Dlaczego tak westchnąłeś, Antosiu? — spytała z czułością marszałkowa.

— Martwi mnie, że podałem go na kandydata... To ciasna głowa.

— Mój kochany, zawsze on lepszy od wielu innych... Kogoż miałeś zaproponować?

— Hm... zapewne... ten ma przynajmniej zasady, od których nie odstąpi, a inni i tego nie mają.

— Jeśli sam to uznajesz, po co się trapisz?

— Widzisz, coraz mniej u nas ludzi, dążących do czegoś wielkiego, pożytecznego dla wszystkich... Każdy zacieśnia się w swojem kółku, w swoich interesach, i z braku ludzi Świetnoski zostaje posłem.

— To dobry, uczciwy człowiek... Zauważyłam przy kolacyi, że ciebie słucha i uważa na twoje słowa.

— Hm... póki przy mnie... Chyba, że syn wpłynie na niego, a wówczas może i zrobi coś dobrego w sejmie.

— I napewno tak będzie, a w każdym razie on nie zrobi nic złego, a taki Drewniak...

— Ten nie powinien i nie może być wybrany... Już chociażby tylko dlatego będę popierał Świetnoskiego.

— To i dobrze, Antosiu... A kiedy pojedziemy do nich?

— Nie wiem; teraz przy wyborach będę miał dużo zajęcia.

— W każdym razie wypada pojechać.

— To też i pojedziemy.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

p. 186
— 70 t. 1+2

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
229615

Biblioteka WSP Kielce
0086213